ZYGMUNT KISIELEWSKI

BŁĄD

POWIEŚĆ

WARSZAWA — 1927
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

BŁĄD

TEGOŻ AUTORA:

ŚWITY — Powieść 1911
WĘDROWIEC — Nowele 1912
ŻOŁNIERKA — Nowele i dramat 1913
KRWAWE DROGI — Utwory legjonowe 1916
JULJUSZ SYREŃ — Powieść 1918
SIOSTRA MARJA — Opowieść 1921
PASKARECZKA — Nowele 1922

ZYGMUNT KISIELEWSKI

BŁĄD

POWIEŚĆ

WARSZAWA — 1927
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ W KRAKOWIE

I.

Juljusz Syreń, wysiadłszy na dworcu głównym z pociągu bezpośredniego Paryż—Warszawa, kazał posługaczowi zabrać bagaż, upstrzony nalepkami kolejowemi w rozmaitych kolorach i językach, oraz sprowadzić dorożkę. Czynił to machinalnie, wzrokiem natarczywym wpatrując się w ciżbę pasażerów z pod daszka podróżnej czapeczki, jakby kogoś czy też czegoś z naprężeniem szukał. Ciżba kotłowała się krzycząc, swarząc się niesfornie, nerwowo i pchając ku wyjściu — lecz on stał wciąż niezdecydowany. Łomot i huk odjeżdżających albo wekslujących pociągów, gwizd parowozów, rozdzierających harmider powszechny piskiem przeraźliwym, wzmagały bezład i popłoch. Tylko tu i tam migające sine i błękitne plamy żołnierzy lub ciemne mundury kolejarzy widniały w szarej, skłębionej masie niby rzadkie punkty orjentacyjne na warszawskim przystanku światowej magistrali, wiodącej kiedyś, ongi, z Londynu, Paryża i Rzymu do Moskwy i Władywostoku.

Muśnięcie tej myśli wzbudziło na twarzy Syrenia uśmiech ironiczny, godzący żądłem kędyś w przestrzeń, na północ...

Posługacz, ospowaty blondyn, pilnujący już od chwili swego pasażera, obrzucił Syrenia chytrym uśmiechem.

— Bagaż władowałem na dorożkę. Ino jechać.

— Dokąd? — zapytał Syreń.

— A mnie co do tego...

Syreń zajrzał przelotnie w twarz człowieka, uśmiechnął się dobrodusznie i krokiem ostrym ruszył ku wyjściu. Spojrzenie jego nie świdrowało już przestrzeni, lecz skupione zdawało się mierzyć w cel wyraźny.

— Do hotelu!—krzyknął dorożkarzowi i, wesoło machając laseczką, zagwizdał sobie jakąś aryjkę.

W hotelu błysnął „mocną walutą" i natychmiast dostał pokój — okazyjnie.

Umywszy się, wypadł na miasto i szedł żwawo, jak człowiek śpieszący dokądś w zamiarze określonym. Nagle stanął. Zatrzymał go widok chłopaka w czapce uczniowskiej, który uczepiwszy się tylnej platformy tramwaju, pędził obok, koniecznie usiłując wtargnąć na stopień. Już już zaczepi stopą i znów odpada, jakby go ktoś odtrącał, ale — zawzięty — na nowo próbuje ataku. „Dobrze, mały — nie daj

się!" mruknął Syreń zadowolony i poszedł dalej, wmieszawszy się w tłok ludzki, szumiący w korycie odrapanych, poplamionych liszajami kamienic Krakowskiego Przedmieścia. Zanurzył się w potoku ludzkim i podsłuchiwał, ciekawie wglądając w twarze, niby lekarz, badający rekonwalescenta. „2 do 1 — ofermy!" szydził jakiś rozgorączkowany student, komentując widać klęskę klubu. — „Człowiek kradnie musowo, jak tyle płacą" — wpadło w ucho Syrenia z ust mijających go robotników.

Jakieś zbiegowisko. Zbliżywszy się ujrzał mężczyznę nędznie odzianego, który bezsilnie zawinąwszy pod siebie nogi, leżał pod ścianą domu rzężąc. Sino-żółtą plamą narzucała się oczom jego twarz. Gapie uliczni zaglądali lękliwie i, napasłszy oczy cudzem nieszczęściem, przechodzili, ale nikt nie kwapił się z pomocą. Dopiero policjant, znęcony zbiegowiskiem, zajął się umierającym.

Inny znów obraz pociągnął Syrenia. Środkiem ulicy maszerowała kompanja wojska. Przodem, dwa kroki przed pierwszą czwórką kroczył kapitan. Syrenia chwycił spazm rzewności na widok siwej, płaskiej czapeczki strzeleckiej, przykrywającej głowę oficera o twarzy chłodnej, surowej, ciasną skórą obciągniętej, który szedł, lewą ręką przytrzymując szablisko na wysokości biodra. Za każdem stąpnię-

ciem korpus jego bezwładnie spadał na prawy bok, wspierający się na protezie. Piechury, młode, pyzate, jędrne chłopaki, świadomie miarkowali tempo marszu podług kalectwa swego dowódcy, prowadzącego ich tak uroczyście na front.

Ale że nikt z przechodniów nie zwraca uwagi na ten oddział bojowy! Nikogo widać nie zastanowił, ani nie poruszył ów bohater o nazwisku nieznanem, na martwym kikucie idący w bój — rozmyślał i dziwił się Syreń, śledząc wzrokiem wojsko. Nerwy zużyte tyloletnią wojną reagują już tylko na łechtanie podniet wyrafinowanych.

— Toś ty się nie wykopyrtnął, brachu? — usłyszał naraz za sobą głos dobrze znany.

Obok niego stał oficer wysoki, o twarzy chudej, zapiekłej, oczach szarych, małych, spokojnie sobie leżących w głębokich oczodołach. Syreń odwrócił się, zdumionym wzrokiem spojrzał i poznał w oficerze Siodłowskiego, krajana z rodzinnej Czypławy, szewca-bojowca, z którym razem wyruszył był wonczas na wojnę pod strzeleckim sztandarem.

Padli sobie w objęcia.

— Machnąłem kozła na tamten świat, ale św. Piotr zdradził mi tajemnicę, że będzie Niepodległa, wobec czego jeszcze prędzej dałem drapaka z powrotem na ziemię — odpowiedział

wesoło Syreń, uwolniwszy się z objęć przyjaciela.

W cukierni, dokąd wstąpili na prędką pogawędkę, Siodłowski zlustrował najpierw Syrenia ze wszystkich stron, poczem, łyknąwszy „madery“, oświadczył:

— Patrzysz mi coś na burżuja. Dawnoś tutaj?

— Od trzech godzin.

— Skąd?

— Skąd? Z Paryża, Londynu, Piotrogrodu i od świętego Pieterka, jakem ci mówił, bo mnie już ten święty trzymał za kubrak przedziurawiony pod Łowczówkiem, w czternastym... pamiętasz?

— Jeszczeby!

— Dwa lata lizałem się po tym słowiańskim, gorącym pocałunku w piersi, alem się wylizał. Potem niewola, rewolucja, bolszewiki... Syreń zawahał się chwilę. — A potem czmychnąłem do Europy. Tam, coś niecoś czasu napsuwszy i pieniędzy, nie mogłem dłużej już wysiedzieć. Niech mędrki mądrzą, jak chcą, ale błoto ojczyste ma dla nas taką siłę przyciągającą, że chcesz tu być, żyć i tu zginąć, choćby co drugi rodak był złodziej, a co druga spódniczka ćmą.

— Hm — mruknął Siodłowski. — No, toś się wykaraskał. Ino nie łżyj, piorunie, a rżnij pra-

wdę, jak na odprawie przed Dziadkiem — zagadnął dwuznacznie.

— A co, majsterku? — zerknął nań Syreń uszczypliwie. Jużem z terminu wyszedł, chociaż nie wstydzę się, że jestem inteligentem. Alem się wyzwolił i nie posiadasz już władzy nijakiej nademną, panie majster. No, gadaj, stary, wygarnij z wątroby, co cię tam drapie, panie poruczniku!

— Kapitan jestem, łaziku, nie porucznik.

— Ho! ho! — Szybko się tu u was awansuje!

Siodłowski zamiast odpowiedzi odgarnął rękaw z lewego ramienia. Kość przedramienia szczerzyła się z taką dokładnością, że mogłaby służyć na pokaz anatomiczny. Jeszcze gdzieniegdzie kryły się pod zwiotczałą skórą, pomarszczone reszteczki mięśni. Również teraz dopiero Syreń zauważył brak jednego palca u ręki lewej a inne zwinięte w trąbkę zwisały z jakąś miną żałosną.

— Jeszczebym ci to i owo pokazał, ale że to na siadaczce, tobym nie chciał robić tu defilady z paradą — objaśniał Siodłowski. A na dokładkę powiem ci, piorunie, że mię Niemcy psiekrwie tak sprały w Szczypiornie, żem się potem zębów nie dorachował. Ale nie bój się! Ja im też potem wsoliłem, szwabom. Dwóch „zrobiłem", jakem w nich plunął z mego sta-

rego, beckiego bronka, już w lecie 18 roku. No to i jak teraz pan sędzia uważa? — Kapitan jestem wedle sprawiedliwości, czy nie?

— Niema co, przeprowadziłeś dowód prawdy sumiennie, jak na dolinie Jozafata.

— A teraz ty mi tu nie zamiataj ogonem, inteligencie zatracony. Bo to mądre, uczone a byle świństwo przywrze to do takiego, co myrda łbem na wszystkie strony i węszy, gdzieby swoje serce skapiałe dać na przechowanie. Coś tyle czasu nie wracał? Coś się tam flańtał po świecie?

— Majsterku, oj majsterku! — śmiał się Syreń. Tyle ci powiem, że się tej bolszewickiej szui najadłem po grdykę. Przepaliłem się w tem piekle, jak stal, i powiem ci, bracie, że wolałbym tu zostać hyclem, niż tam ministrem.

— No to chodź do wojska!

— Nie. Zacznę od fundamentów. Mój Chrystus górą, ten z oczami jak niebo zasiane gwiazdami, nie twój, wędrujący z bombą na pochylonych plecach, wołający o miecz. Jeślim wtedy z tobą poszedł za nim, to dlatego, że były czasy, kiedy nawet z djabłem trza się było kumać. Duch był mocniejszy, niż kalkulacje mędrków świata, co dbali jeno o swoją skórę, niż rachuby polskich zgniłków, którzy nie czuli cichego świtu Polski, i do niej nie tęsknili, nie żyli dla niej, bo wiary w sobie nie mieli. Wiara

gorzała tylko wśród tej garści, co 5-go sierpnia 14 roku ruszyła w bój. A przecie Niepodległa jest. Duch pobił głowy, rozumy, rachmistrzów, dyplomatów. Więc trza murować z ducha.

— Klechą mi śmierdzisz — chlasnął po swojemu Siodłowski.

— Nie, majsterku. Kościół dzisiaj, to też tylko rozsądek, cyfra, pieniądz — płaz, co jeszcze po stokroć głowę podniesie i po stokroć zostanie starty stopą ducha.

— I — i — nie klep mi różańców!

Syreń uśmiechnął się.

— Tyś z tego samego cechu, chociaż nie wiesz o tem.

— No, dobra, dobra. Zawsze byłeś ofermą. A żonę widziałeś?

Syreń szarpnął się całem ciałem.

— Czyją żonę?

— Przecie że nie moją, bo ja przy babach nie tańczę, chyba one koło mnie.

— Moja żona w Warszawie?!

— Spotkałem ją ze dwa razy.

— Gdzie mieszka?

— Nie wiem.

— Skąd ona się tu wzięła?

— Widzisz, brachu — rzekł Siodłowski miękkim głosem, tak u niego niezwykłym, że Syreń zląkł się. Puściłeś ją przecie kantem, jakeś ze mną wyemigrował z Czypławy.

— No tak! — potem kiedy mnie zasuspendowali w gimnazjum, jeszcze w 13-tym.

— Zostawiłeś ją samą, z dziewuchą... powiadałeś, że z nią skończone...

— Ale miała przecie otrzymać posadę?!... — krzyknął prawie Syreń.

— Ja nic nie wiem.

— Czego nie wiesz, bój się Boga, nie dręcz mnie!

Ale Siodłowski nie odpowiadał.

— Cóż milczysz? — gadajże!

— Nic ci nie będę gadał, bo się plotkami ludzkiemi nie trudnię. Sam zobaczysz.

Syreń nerwowo pocierał dłońmi twarz, jakby chciał spędzić rój złych myśli, które go zamroczyły. Ale otrząsnął się i wstał.

— Idę.

Po raz pierwszy zniknął z twarzy Siodłowskiego oschły, szyderczy jej wyraz. Przez pory stwardniałej skorupy skóry zdawały się przeciskać ukryte wewnątrz promyczki, a na ustach zjawił się obłoczek rozrzewnienia.

— Idź, brachu! A trzymaj się...!

Dopiero nazajutrz udało się Syreniowi odnaleźć adres żony, o której od lat blisko sześciu nie miał żadnej wieści. Rzecz szczególna. Dotąd, ilekroć wspomnienie przywoływało obraz żony, wyłaniał się z głębi wewnętrznego przeświadczenia wizerunek czysty, tonący

w mgle świetlistej. Jego Stasia wychylała się z błękitnych oparów w jasnościach uśmiechu dobrotliwego, w tęsknocie wyczekiwania, niekiedy smutna, w towarzystwie ślicznej dziewuszki. Tak one we dwie czekały dotąd w jego wyobraźni niezmiennie na powrót męża i ojca. Teraz ciemne słowa Siodłowskiego: „sam zobaczysz“ brzmiały mu złowrogo. Teraz dopiero, jak to bywa, uprzytomnił sobie, że rojenia wszelkie i plany na przyszłość, jakie snuł w ciągu tyloletniej tułaczki, mogą rozprysnąć się, jak szkło rozbite, o szorstkie zrosty spraw, które czas pracą swą urobił w łonie życia niby rafy koralowe. Obraz jaśniejący dotąd zmętniał już pod działaniem słów Siodłowskiego, zblakł, zostawiając po sobie przestrzeń jałową, kędy niby ugorem przemykały pogmatwane plamy, kształty, jakieś nieuchwytne cienie podejrzeń i żółte błyskawice zwątpień migających w bezładzie. Twardo skrystalizowana pewność wewnętrzna rozsypywała się w boleści niszczenia w kurzawę drobinek „wiecznego potoku“ zjawisk i rzeczy, którego nikt nie wstrzyma oprócz złudy schlebiającego nam rozumu.

Ale Syreń nie cierpiał już pławić się w żywiole i dawać ponosić tam, dokąd ślepemu prądowi zachciałoby się ponieść go. Gotów był w ramy osierocone wpuścić rzeczywistość

choćby nawet okrutną, byleby nie poddać się przemocy znanej mu ongi aż nadto tęsknicy ssącej, nieokreślonej. Tyle się już wytęsknił w lewo i w prawo, w górę i w głąb, że mu na zawsze obrzydły posępne, pustynne krużganki, katakumby i labirynty bytu, czarujące kłamstwem, jakoby tam hen u ich kresu, w komnacie turkusowej, pośród odwiecznych pluskań morza odwiecznego, pod strażą Sfinksa znachodziły się wyryte na płycie marmurowej odpowiedzi na zapytania wieczyste. Poznał tę mądrość nad mądrościami, że Sfinksowi odpowiedzi wydziera się, nie odczytuje.

Zatem wstępował na kręte, wytarte schody oficyny spokojnie i uważnie, nawet powoli, jak zapaśnik czatujący na przeciwnika, co lada chwila wyskoczy z poza węgła. Bombonierka z cukierkami niegląźnie jakoś telepała mu się po kolanach. Zdjąwszy kapelusz zapukał w drzwi brudno-żółte, obsiane chmurą czerniejących dołków, i ujął za drewnianą klamkę.

— Kto tam? — zapytano z mieszkania.

Drzwi otwarły się. Znalazł się w izbie — rzekłbyś — wydłużającej się aż do nieba, bo wąska ściana opatrzona była oknem nieproporcjonalnie do jej szerokości wielkiem, przez które wpadał rdzawy, schorzały słup październikowego słońca. Przy stoliku pod oknem bawiło się dwoje dzieci, starsza dziewczynka

i młodszy, trzyletni może chłopczyk. W kurytarzu utworzonym przez dwa biało zasłane łóżka stała szaro ubrana kobieta, która w miarę zbliżania się do niej gościa wyprężała przed sobą ręce jakby zamierzając się bronić. Duszący zapach kawy palonej i przydymionego mleka uderzył Syrenia w nozdrza.

Bronzowe oczy kobiety rozszerzały się niepomiernie. Chaotycznie zawirowały jej ramiona. Syreń podbiegł, aby ją podtrzymać i usadowić na łóżku. Wtedy szepnął do niej: — to ja, Stasiu, to ja, żywy...

— On — on! Chryste zmiłuj się! To on! — przerabiała wargami jak w śnie gorączkowym.

Dzieci obserwowały sprawę w milczeniu, ale nawet najdrobniejszy ruch rzęs u obojga starszych nie uszedł ich uwagi. Dopiero gdy Syreń obrócił na nie wzrok, chłopak zląkł się i krzyknąwszy: — mamo! — podreptał do Syreniowej i przytulił się do jej kolan. Dziewczynka ostrożnie obeszła obcego, rzuciwszy weń trwożliwe, niechętne spojrzenie, i również oparła się o matkę.

Syreń z naprężeniem przeprowadzany wzrokiem wszystkich, przesunął się do okna, ułożył na parapecie najpierw kapelusz, potem bombonierkę i usiadł. Zwrócił wprawdzie w ich stronę twarz, lecz raz tylko popatrzył, natomiast zabrał się z gorliwą dokładnością do odwiązy-

wania bombonierki. Szarpnął jednak palcem tak mocno, że sznurek pękł z głuchym hukiem. Jakby zmięszany tem odważył się podnieść wzrok po raz drugi. Żona jego z oczyma płonącemi, jak dwie gwiazdy drgające ogniem na białej twarzy, trwała w milczeniu tak natężonem, jak muskuły atlety, co w chwili największego wysiłku nie wibrują już, lecz kamienieją.

Wtedy Syreń odezwał się do dziewczynki szeptem pieściwym, jak wołanie tęsknoty: — Juleczko!

Mała spłoszonym ruchem przycisnęła się do matki i po raz pierwszy zatrwożyła się jej twarzyczka.

Matka leciutko trąciła ją w ramię i rzekła głosem zaledwie słyszalnym: — Twój tatuś...

Syreń uśmiechnął się do córki i, ciężko zatoczywszy oczyma na chłopczyka, zapytał:

— A tobie, malutki, jak na imię?

Chłopiec schował głowinę na kolanach matki, która z suchym trzaskiem załamawszy dłonie, krzykliwie jakoś zawołała:

— Także Julek. Stanisław - Juljusz.

Syreń na te słowa raptownie poderwał się z krzesła, jak sparzony prądem elektrycznym, ale zmiażdżył wzruszenie i tylko wyrzekł:

— To dziwne.

Odemknął pudełko i nachyliwszy je tak, aby dzieci ujrzały słodkie skarby, poprosił:

— No podejdźcie do mnie, dzieci.

Julcia wzniosła główkę ku twarzy matki i, znajdując w jej rozgorzałych źrenicach przyzwolenie, włożyła paluszek do ust i zbliżyła się do Syrenia. Ale na krok przed nim zatrzymała się i, oglądając go podejrzliwie, zapytała z namaszczoną powagą dziecka:

— A dlaczego pan, kiedy tatuś, to Julcia go nigdy nie widziała?

— Bo, moja Juleczko, ty byłaś o tycia! kiedy tatuś wyjechał.

— A dlaczego pan, kiedy tatuś, nie pisał?

— Bo była wojna i twój tatuś dostał się do niewoli.

— A dlaczego tatuś do Julci nie pisał?

— Bo to było bardzo, bardzo daleko i między tatusiem a Juleczką postawili armaty i druty i straszne płomienie, które nie puszczały listów.

— Bo tatuś jednej Zosi, to on był w niewoli i pisał i wrócił.

Pani Syreniowa, siedząca dotąd bokiem, całą twarz obróciła teraz na męża. On również spojrzał na nią. Źrenice mu pociemniały, cofając się w głąb oczodołów, mięśnie twarzy znieruchomiały i bladość wybieliła usta i szczęki. Poprzeczna głęboka rysa wypłynęła na czoło, dotąd gładkie, a głos przedtem pieściwy dźwięknął oschle i zgrzytliwie:

— Może źle postąpiłem, Juleczko moja...

Pani Syreniowa wydała jęk, który zabrzmiał niby owe tajemnicze głosy rodzące się nocami w przyrodzie. Odsunęła chłopca i przypadła do kolan męża, zanim zdążył temu przeszkodzić.

— To ja, ja — załkała i nie dokończyła.

Chwyciła jego ręce i obsypywała je pocałunkami, tuliła się doń i przygarniała. W oczach dotąd struchlałych zapłonęła łuna promienista.

— O, to ja, ja... jesteś!!!... żyjesz!... wróciłeś!... to ja zwątpiłam... serce mnie oszukało... o ja nieszczęsna!... jakaż jestem szczęśliwa! — Wiem, że odejdziesz, ale widzę cię! Co za cud, że cię widzę tu żywym, tu na ziemi... O — o — o — szlochała. Ty, to ty sam. Co za szczęście! Jaka okropność!

Z trudem podniósł ją i, głaszcząc po głowie, mówił: — Stasiu, spokoju! Dzieci...

— Ach, dzieci! Czemu dzieci? — czemu nie tylko twoje, jedyne! Chciałabym roztłuc to serce, bo mnie oszukało, wyrwać podłe, fałszywe...

— Nie, droga! Uspokój się, kochanie... ono było tylko biedne.

Te słowa nadto już przepełniły miarę. Łzy polały się strugą gorzką, nieutulone. Szlochania szarpały nią, rozdzierały, jak płomień dobywający się z chaty zamkniętej i walący najpierw przez okna, które pękły pod jego huczącym i parzącym oddechem. Łkała już i płakała

w ramionach męża, poniesiona bólem i radością, szczęściem niespodziewanem i rozpaczą zionącą z paleniska duszy niby posępny wąż dymu. Nie pamiętała już o niczem, oddając się na pastwę wichrowi, który wyzwalał się w niej z groźnem szaleństwem.

Syreń teraz dopiero zorjentował się, jak nieopatrznie postąpił, zjawiając się bez uprzedzenia. Z urywkowych wyznań żony wyczuł raczej, niż dowiedział się, że miała go za umarłego. Jego nagły powrót wstrząsnął nią gwałtownie i brutalnie wyrywał z nieznanych mu manowców życia, o których świadczył ten czyjś chłopczyk, a jej syn. Ale nie miał nawet kiedy zastanowić się nad tem wszystkiem. Żona drgała w jego ramionach konwulsyjnie miotając się i zanosząc. Bezradny, zgubiwszy dostęp do jej duszy, nie wiedział, co począć, zwłaszcza, że każde jego słowo pociechy zdawało się tylko rozjątrzać zabliźnione może już rany.

Myślał już biedz po doktora, gdy dzieci spłoszonemi oczami śledzące niepojętą dla nich sprawę, widząc matkę płaczącą i wykrzykującą coś niezrozumiałego, same wybuchnęły płaczem. Julcia objęła ją w pół prawą ręką, a lewą odpychała Syrenia wołając coraz żałośniej — „mamusiu“! Chłopiec rwał się do matki, która po raz pierwszy w życiu zapom-

niała o nim. Owładnął niemi strach. Targały ją za suknie, piszcząc i krzycząc. Wreszcie dłoń matki natrafiła przypadkiem na spłakaną twarz Julci i Syreniowa, sama zachłystując się łzami, położyła kojącą dłoń na jej głowie. Osunęła się z objęć męża i, przytuliwszy dzieci, zaczęła im ocierać twarze i oczy, chociaż sama nie umiała spętać bezładu wichrzącego w jej świadomości. Zrywana skurczami nagłemi, czyniła to raczej odruchowo, w ślepem posłuszeństwie instynktowi.

Dopiero, gdy uciszyła nieco dzieci, bezsilnie upadła na krzesło i, przymknąwszy oczy przepalone, siedziała, raz po raz drgając pod naporem ciosów wezbranego uczucia.

Podniósłszy powieki zobaczyła Syrenia zmierzającego ku drzwiom. Cień strachu przemknął w jej spojrzeniu, ale on rzekł:

— Idę po lekarza.

— Nie, już nie potrzeba. Czuję, że lepiej... ale gdybyś chciał odejść, Julku, to ja nic...

Łzy pozbawiły ją głosu.

Wówczas Syreń zbliżył się do niej ruchem szybkim, znanym już zdawna, ujął jej rękę i pocałował.

Na jej twarzy udręczonej, zwiotczałej zajaśniał uśmiech błogi, zwisający niby tęcza nad wyblakłemi ustami, drgającemi jeszcze chaosem rozszczepionych uczuć.

II.

Dopiero po kilku godzinach Syreniowa uspokoiła się nieco. Z trudnością namówił ją, ażeby poszła się z nim przejść. Wymawiała się, jako że dzieci samych nie może zostawić w domu, aż musiał sprowadzić córkę dozorcy, która miała ją zastąpić. Ukradkiem rzucała nań spojrzenia, a spotkawszy jego wzrok odwracała się i zapadała w odrętwienie. To znów twierdziła, iż nie ma się w co ubrać albo, że jest zapóźno. Wreszcie, gdy już włożyła kapelusz, naraz przypomniała sobie, że małemu trzeba umyć główkę i już zabierała się do tej roboty, ale Syreń, zrozumiawszy, że ona lęka się wprost tego sam na sam z nim, wziął ją za rękę:

— Boisz się, Stasiu? Przejedziemy się w Aleje i zaraz odwiozę cię z powrotem.

— Tak dawno nie byłam już na przechadzce, bo to z dziećmi, to tak jest. Wciąż trajkoczą i chwili spokoju niema. Ja się nie skarżę, o nie! ale, ale...

— Ale co, Stasiu?

Usta ściągnęły się jej żałośnie. Kurczowo uścisnęła go za rękę i zawołała:

— Jedźmy prędko. Zaraz wrócimy, prawda?

— Kiedy tylko zechcesz.

Ale w dorożce milczeli. Mrok ulic skąpo oświetlonych pogrążył ich w ciemność, która zdawała się przysłaniać nietylko twarze lecz i serca. Stasia, odsunąwszy się od męża, wbiła się w kąt dorożki.

Syreń teraz dopiero uprzytomnił sobie ból sączący się z rany wewnętrznej. Zajęty żoną zapomniał o sobie, lecz teraz zbudził się w nim szatan. Przypomniał mu się obraz — ten najpierwszy — Stasi... z dwojgiem dzieci. Zazdrość rozlała się po żyłach i nerwach, a gorzki smak poniżenia zaślinił myśli. Jakże się mylił! Mniemał, że już raz na zawsze jest obwarowany przeciwko temu, aż tu niespodziewanie wychynęło z duszy zahartowanej zło, zarzewie bólów, walk i nieszczęść, istny płód szatana — zazdrość, nienawiść, mściwość. Zło, które jadem swym warzy korzenie bytu a świat zamienia w ogrójec maszkar nienawistnych i nieszczęsnych.

Jęknął w sobie, jak człowiek wijący się w katuszy. Stoczył się na dno marności i leżał tam rozciągnięty martwo niby robak wylęgły ze szlamu błot odwiecznie gnijących, niby stwór nikczemny sił samowładnych z okrutną ironją wyrzucających z siebie mrowia nieprze-

liczone istnień, by je za chwilę wśród poziewań wchłonąć.

Był sam. Jak owej nocy mglistej, gdy w ciemnych komnatach zamku cesarskiego zrywał iskrzące grona potęgi ziemskiej, kosztowności carów. Nie! Wówczas nie czuł się samotny. Wtedy była z nim żądza władzy i potęgi, wściekłe pragnienie zdobycia skarbów, porzuconych przez dotychczasowego właściciela, zanim ocknie się żarłoczne oko straży czerwonej... Nie. Wówczas, gdy w Pałacu Zimowym rabował w pierwszą noc rewolucji, podtrzymywał go cały porządek praw społecznych, korzących się u stóp Złotego Cielca. Wtedy był silny, bo czuł, iż rabując siłę zdobywa.

Ale teraz! Teraz jest sam. I nikt mu nie dopomoże, kiedy złodziej obrzydły kradnie mu kosztowności jedynie tego miana godne — serce żywe!

Zazdrosna nienawiść nie ułożyła się w sobie, nie usnęła, jak wąż zwinięty w kłębek, ale sycząc, tnie go, drażni, truje, gdy on leży martwo rozciągnięty...

Nie mógł się przezwyciężyć na tyle, by słowo jedno wyrzec do żony.

Wtedy poczuł na swej dłoni dotyk rozpalonych warg i usłyszał żarliwy, spieczony od bólu głos:

— Julek, przebacz...!

Porywczo zasłonił jej usta.

— Nie mów! Jaż to mam przebaczyć tobie, ja, com ciebie opuścił, rzucił samotną z dzieckiem mojem w obłęd złego świata?

Sam zadziwił się obłudzie słów i błogosławił mrokom, co go ukrywały. Albowiem równocześnie zazdrość zezem przeszyła go nawskróś, mordując pulsujące serce tamtych słów, które spadły zimne i martwe niby te liście zwiędłe z cmentarnem szypieniem szeleszczące pod drzewami Alei.

Wlekli się z powrotem ku domowi. Gdy dorożka stanęła przed bramą, Stasia już podniosła się, aby wysiąść, ale jakby powziąwszy nagłą decyzję, usiadła z powrotem i z gorączkową natarczywością zapytała:

— Gdzie mieszkasz? Zawieź mnie do siebie. Ja muszę...!

W pokoju hotelowym opadło ich milczenie zastygłe, szare i biedne, niby te meble wyświechtane, co służyły już tysiącom ludzi. On siedział sterany jakiś, zgryziony i upokorzony uczuciami, miotającemi nim naprzekór jego woli. Ona, pół leżąc na otomanie, ślepo błyszczącemi oczami spoglądała przed siebie, czekając struchlała na to, co przyjść musiało.

Naraz Syreń powstał wręcz tuż przed nią,

wprost twarzą w twarz stanął tak, że nie podobna było go ominąć.

Jej twarz spłonęła. Owszem, Syreniowa wyprostowała się nawet, a policzki jej, pomacerewane zmarszczkami cierpienia i trwogi, ścięły się w linje zdecydowanej na wszystko odwagi. Spojrzała na męża otwarcie, śmiało, z odcieniem wyzywającym i rzekła:

— Granowski.

Syreń doznał wrażenia takiego, jakby go uderzono w twarz. Ale dumę, która pod ciosem tego nazwiska skręciła się w sobie, jak zwierz zraniony, uratowało szyderstwo wykrzywiające usta.

— Granowski! Ten pajac zarozumiały, nicość swoją kryjący pod wzgardliwym uśmiechem? Nędzarz, czerpiący poczucie swej wartości z wysokiego wzrostu i twarzy lalkowatej? Ten chłodny, pospolity mięczak bez charakteru, gotów zawsze podstawić nogę temu, coby mu przeszkadzał do zrobienia głupiej jakiejś karjery? To haniebne! Granowski! Przypominam sobie jego sztywny krok i ten uśmiech wyższości wobec wszystkiego, co się nie mogło zmieścić w ciasnocie obskurnego zakątka Czypławy. Był on poprostu głupcem, gorzej — zerem, niczem!

— Mimo to był moim kochankiem — rzekła nielitościwie.

Syreń zaciął szczęki i milczał już, napięciem woli pętając huragany myśli piętrzących się i wzajem zagryzających, urągań, przekleństw, wyzwisk. Słaniał się pod ich naporem bezsilny i rozdarty, nie wiedząc, co czynić, jak zaradzić złu, które szamotało nim jak żywioł. Oparł głowę na dłoniach i czekał.

Wtedy ona zaczęła głosem jakimś protokularnym, bezdźwięcznym, jakby zdawała sprawę ze zdarzenia, które przytrafiło się komuś obcemu:

— Wkrótce po twoim wyjeździe z Czypławy otrzymałam posadę w szkole ludowej. Byłam bardzo znużona. Poświęciłam się pracy i wychowaniu Julci. Mijały miesiące, a ty nie dawałeś znaku o sobie. Myślałam, że moje życie osobiste skończyło się i że jedynym moim obowiązkiem było dobrze wychować dziecko. W niecały rok po twoim wyjeździe wybuchnęła wojna. Dowiedziałam się od ludzi, że razem ze strzelcami Piłsudskiego przekroczyłeś granicę. Ale nawet wtedy nie napisałeś do mnie ani słówka! Coraz bardziej upewniałam się w sercu mojem, że już niema się czego spodziewać. Niepokoiłam się jednak o ciebie, chociaż nie miałam odwagi pisać i prosić o listy; nie chciałam się narzucać. Cierpiałam, ale milczałam. Powoli wojna, która dotąd toczyła się gdzieś daleko, zbliżyła się i do nas. Za-

częli powracać chorzy i kaleki, a życie stawało się coraz trudniejsze. Jednego dnia doniesiono mi, że podobno zginąłeś. Uczyniłam wszystko, ażeby sprawdzić tę straszną wiadomość, ale zarówno ze strony urzędów, jak od znajomych, otrzymałam odpowiedź potwierdzającą. Wtedy zrozumiałam, czem byłeś dla mnie i że obojętność, jaką w sobie wyrobiłam, była pozorem. Zdawało mi się, że ten świat jest cmentarzem i już tylko jedna Julcia wiązała mnie z życiem.

— Nie wiele zresztą czasu miałam na rozmyślania, bo wojna przyszła do nas i Czypława w ciągu trzech tygodni znajdowała się pod ogniem. Przez ten czas kryłyśmy się z dzieckiem i z twoją matką w piwnicy. Już nawet nie pamiętam, jak to się stało, żeśmy wtedy nie pomarły z głodu, ale gdy front przesunął się nareszcie dalej, nastały czasy jeszcze gorsze. Miasto było zrujnowane, z naszej szkoły zostały jedne ściany, mieszkanie spustoszone, meble, odzież, wszystko rozkradzione albo spalone. Była zima, a my nie miałyśmy ani żywności, ani opału. Byłabym z chęcią opuściła Czypławę, ale matka twoja oparła się temu, mówiąc, że woli umrzeć na swoich śmieciach, niż jechać w świat nieznany. Zostałyśmy więc na mróz i głód. Ja, młoda, przetrwałam jeszcze jakoś, ale matka zachorowała na tyfus plami-

sty. Zabrano ją do szpitala i tam umarła. Zostałam więc na świecie samiuteńka, z dzieckiem dwuletniem, w mieście spalonem, po którem zrzadka wałęsali się ludzie bardziej podobni do nieboszczyków. Nie czułam już ani ochoty ani sił do wyjazdu. Zresztą dokąd było jechać i po co, gdy z wiosną wojna rozgorzała jeszcze gwałtowniej. Pożywieniem naszem były jagody, grzyby, szczaw i cośmy tylko mogły znaleźć w lesie, bo władze mało dbały o ludność cywilną. Czasami rzadki bochenek chleba „kartkowego", to był nasz jedyny przysmak. Jabym się nie skarżyła, ale dziecko chudło mi w oczach.

— Dopiero w lecie życie w Czypławie przestało nam tak już strasznie doskwierać, jak dotąd. Powstały komitety i wróciło trochę ludności zamożniejszej. Podarowano mi suknię i trochę łachów dla Julci. Później przyjechał inspektor szkolny, wypłacił pensję za cały rok i zapowiedział, że na jesieni rozpoczną się w szkole lekcje. Pobudowano też kilkanaście baraków, dano mi zasiłek, który obróciłam na wyreperowanie kuchni w dawnem mieszkaniu. Teraz miałyśmy przynajmniej dach nad głową i ciepłą strawę prawie codziennie. Mogłam się wprawdzie starać o stały zasiłek, jako wdowa po tobie, ale sama nie wiem czemu, ale i tego nie zrobiłam. Byłam taka zmęczona i jakaś

zmartwiała, że tylko chyba obowiązek wychowania dziecka utrzymał mnie wtedy przy życiu.

— W tych czasach jakoś spadł do Czypławy Granowski. Nie wiedziałam, gdzie się dotąd obracał i co porabiał, ale wrócił w mundurze kapitana austrjackiego i objął urząd komendanta miasta. Spotkał mnie raz na ulicy, gdy niosłam do domu koszyk z zapasami. Ukłonił się, podszedł, ze współczuciem zapewniał mnie o twojej śmierci i dodał, że jest na moje usługi. Wstąpił nawet do naszej kuchenki i bawił się z Julcią. Zdziwiło mnie to nawet, bo go znałam dawniej jako człowieka skąpego i złego. Myślałam, że go może odmieniła wojna. Nazajutrz znowu wstąpił do nas, a za nim ordynans dźwigał kosz pełen różnych przysmaków i łakoci, jakich nie widziałyśmy Bóg wie jak dawno. Wzbraniałam się naturalnie przyjąć taki prezent, ale kiedy zaczął prosić, że to dla wdowy po swoim koledze, ja głupia, niczego nie podejrzewając, przyjęłam. Od tylu miesięcy zresztą pierwszy raz zbliżył się do mnie ktoś z przyjaźnią. W parę dni potem przysłał Granowski saperów, którzy prędko odrestaurowali dwa pokoje i połatali dach. Potem wystarał się dla mnie o miejsce kierowniczki szkoły i na podstawie rozmaitych praw wojennych wyrobił mi dość znaczne zapomogi za straty,

jakie poniosłam. Mogłam teraz ubrać siebie i odżywić dziecko. Zaczęłyśmy żyć dostatnio. Wzięłam nawet służącą.

— Mimo to jednak chęć do życia nie wracała. Czułam się wciąż zmartwiała i przybita. Nic mnie nie cieszyło, ale również niczem się nie martwiłam. Jedna choroba Julci mogłaby mnie chyba wzruszyć, ale dziecko po tym okresie nędzy i okropności rosło ślicznie i nie dawało mi powodu do niepokoju. Całe godziny, wolne od pracy, przesiadywałam przy oknie, nie pragnąc zmiany albo ruchu. To tak, jakbym leżała w grobie.

— Potem jakoś Granowski wprosił się na obiady, a później i na kolacje. Zachowywał się uprzejmie, delikatnie i nigdy nie zapominał o Julci. Byłam mu za to wszystko zobowiązana, ale nawet wdzięczność okazywałam mu w sposób apatyczny. Ile razy rozmowa zeszła przypadkowo na ciebie, wyrażał się o tobie z wielkim szacunkiem, nie ukrywając zresztą, żeście się z sobą w wielu sprawach różnili.

— Jesienią tego roku, dokonała się we mnie dziwna, niespodziewana zmiana. Smutek mój, dotąd pełen rezygnacji, zwiększył się i stał się jakiś ostry, okrutny, zły. Doznawałam ataków rozpaczy, której nic uspokoić nie mogło. Po nocach płakałam a we dnie wybierałam się na spacery sama albo z Granowskim.

Nieraz zajeżdżał sankami i brał mnie na dalekie wycieczki, aby mnie rozerwać. Wtedy dopiero zauważyłam, że mu się podobam i sprawiło mi to przyjemność. Zaczęłam się bawić nim, dokuczać mu, a nawet pastwić się nad nim. Naprzemian opanowywała mnie śmiertelna melancholja, to znów nerwowa, hulaszcza wesołość. Nie wiem jak to opowiedzieć, ale jakby we mnie wstąpił djabeł, wyśmiewający wszystko, nawet mnie samą. Nie doznawałam już dawnej skamieniałości i apatji. Gdy nadszedł atak rozpaczy, rzucałam się wtedy na łóżko, gryzłam palce i usta, biłam się po głowie, wyłam, a potem wpadałam w odrętwienie na krótko.

— Raz, kiedy byłam w takiem usposobieniu, właśnie zajechał Granowski i powiózł mnie w lasy śniegiem zasypane. Pamiętam to dobrze. W pewnem miejscu, na polanie oświetlonej księżycem, ukazał się nam wojenny cmentarz, ogromny, pełen białych krzyżyków, rosnących jak drugi las jakiś ale las martwy, pokryty grubym śniegiem, przerażający, milczący. Granowski mówił, że w tej mogile pogrzebano sześć tysięcy poległych. Patrząc na tę okropność miałam najpierw uczucie, że się w lód zamieniam, potem gdzieś w sercu błysnął jakby płomyk zły a palący. Zaśmiałam się w głos i powiedziałam do Granowskiego: —

„Oni próchnieją, on spróchniał — ciebie miałam na myśli — i my kiedyś spróchniejemy. Wszyscy zgnijemy, i ja i pan, panie kapitanie. Kochasz mnie, kapitanie?“

— Tego dnia został już u mnie późno w noc i odtąd bywał wciąż, a nigdy nie zapominał przynieść z sobą wina...

— W maju otrzymał kapitan Granowski rozkaz udania się na front i wyjechał. W jesieni urodził się chłopiec.

— Wtedy zaczęło się jeszcze straszniejsze. Ludzie — o ci ludzie! ludzie! — którzy łasili się do mnie, kiedy byłam panią w komendzie, teraz wytykali mnie palcami, stronili odemnie, a wkrótce inspektor dał mi do poznania, ażebym się wynosiła z Czypławy. Gdyby nie dzieci z pewnością odebrałabym sobie wtedy życie. Ale dzieci! Tylko kobieta zdolna to pojąć. Więc dla dzieci postanowiłam żyć, a że posadę musiałam opuścić, trzeba było szukać jakiegoś utrzymania. Pomógł mi jeden człowiek, od którego najmniej chyba mogłam się spodziewać pomocy i mówił, że czyni to przez pamięć dla ciebie, swego ulubionego ucznia. To ten „zatabaczony belfer“, jak go nazywałeś, bigot i świętoszek, Sałabucha. Także już umarł. On to mnie zaprotegował i za jego wstawiennictwem otrzymałam posadę nauczycielki w War-

szawie. Tutaj, w pokoiku, który poznałeś, mieszkamy już trzeci rok.

Skończyła.

Syreń wsłuchiwał się w słowa swej żony, odwrócony bokiem, jak spowiednik w konfesjonale. Nie drgnął nawet, zimny i surowy niby figura kamienna. Kiedy teraz spojrzała nań źrenicami rozszerzonemi, oblicze jego promieniało a w zaczerwienionych oczach lśniły jeszcze łzy. Zbliżył się i obiema rękami, pieszczotliwie i zabiegliwie ujął jej głowę, jak się bierze drogocenną wazę lub relikwię i rozświetlonem spojrzeniem wglądał w nią w milczeniu. Jakby tem światłem oślepiona zamknęła oczy, twarz jej ściągnęła się w maskę bledziutką, a na usta wypłynął uśmiech szczęśliwy i cichy. Gdy odemknęła oczy znikło już z nich przerażenie i trwoga, ale osnuła je mgła niby siatka jedwabna unosząca się z rana nad jeziorem, kiedy słońce wschodzi.

Syreń usiadł obok żony.

— Zanim się jeszcze wyspowiadałaś już wiedziałem — mówił. Przeczułem to wszystko w chwili gdy wszedłem do pokoju, gdzie przeżyłaś te trzy lata. Teraz już wiem. Był to mój instynkt samczy, bezwzględny i dziki, jak wszystko, z czego wyrasta wojna między ludźmi i dlatego milczałem tak długo, a nawet przeklinałem, znowu i jeszcze raz przeklina-

łem — jak dawniej — pamiętasz? Stara moja skóra, którą dawno już odrzuciłem wśród łamań się i mąk, w niewoli, w chorobie, w udręczeniach życia, oglądając piekło ludzkie, jakie przeżyłem w Rosji... Kiedy ujrzałem ciebie i to dziecko twoje, owoc mojego błędu, wąż zła wślizgnął się i po raz ostatni skoczył na mnie, niby konający gad. Spadłem znowu w tę otchłań, gdzie przebywałem w tamtych czasach, pamiętasz? Przechadzka dzisiejsza z tobą było to ostatnie kuszenie szatana, który uczynił jeszcze jeden wysiłek, aby mi świat mój zniszczyć. Doznałem w tę godzinę katuszy potępieńca, który wszystko dokoła rwie, gryzie, rozsadza, sycąc się nieszczęściem własnem i cudzem. Odgadłaś to sercem i dlatego ofiarowałaś się pójść do mnie, gdy ja leżałem na dnie błotnistej otchłani. Ja jestem winien, żem ciebie opuścił i zmarnował dla błędnego ognika szczęścia nie istniejącego poza nami, jeśli niema go w nas. Nie da go człowiekowi kobieta, kochanka, rozkosz, pusty omam, czarujące złudzenie młodości nieustalonej jeszcze w sobie. Tyś była moją żoną, a żona to więcej, niż kochanka, niż miłość, rozkosz, szczęście, bo to jest oddanie się na wieki wieków i zapamiętanie się na śmierć dla innej istoty, to prawda duszy i przyjaźń wieczysta w siostrze i bracie, którzy są dla siebie mężem i żoną, ojcem i matką. Żona,

żona z duszy i ciała, to kobieta, co przestała być dla męża sfinksem, ale z nim razem idzie w bój, z raju na ziemię wygnana, by w pocie pracować i wzajemnie sobie służyć bez walki płci i bez szału chuci, domagającej się wiecznie strawy, wiecznie pragnącej i nigdy nie nasyconej. W takiej żądzy tkwi zaślepienie, iż dostępną jest tutaj pełnia doskonała, spokojna i trwała, gdy to zaślepienie jest oszukaństwem wzroku niemocnego znieść prawdy zaczynającej się krzykiem bólu a kończącej śmiercią. Tylko błysk chwili rozkoszy, akt woli bohaterskiej albo natchnienie twórcy, tylko uniesienie wiernego, tylko samotność na wyżynach w obliczu majestatu świata, tylko spokój serca pośród rozwścieklenia wojennego, gdy ludzkość sama z siebie drze pasy wyjąc w bólu i szalejąc w pijaństwie krwi, tylko takie chwile jasnowidzenia dane są czasem duchowi, by ujrzał to, co jest szczęściem. Ale szukanie go poza sercem własnem jest próżne i nadaremne, jak żądza wyczerpania morza. Poznałem i uznałem konieczność i dlatego dziecko twoje biorę jako swoje, jeśli ty będziesz moją żoną, jak pragnąłem.

— Ale jak to się stać mogło, że ja...? — pytała łkając.

— To moja wina. Byłaś prosta i słoneczna,

a ja zaraziłem cię moją rozpaczą. Ja spaczyłem twoją duszę i wznieciłem w niej zamęt.

— Czułam przecie, że ty żyjesz a nawet gdybyś był zginął, to ja tamtego przecie nie kochałam.

— To moja wina. Dopiero po latach pojąłem swój grzech, ale wtedy było już zapóźno. Nie mogłem pisać, skoro nawet nie miałem pewności, że wrócę. Potem było już zapóźno. Czułem to, że cię zostawiam samą a mimo wszystko...

— Co? — nie ukrywaj niczego, błagam!

— Mimo wszystko miałem przeświadczenie, że jeśli wrócę, zastanę ciebie taką samą, jaką cię opuściłem. To była pycha. Wierzyłem, że mnie nikt zastąpić nie potrafi, bo jestem jedyny.

— Tak jest, zaklinam się! Zawsze tam byłeś w mem sercu nietykalny i jedyny, mimo rany, jakie mi zadałeś.

Ucałowała jego rękę.

— Nie, to nie wyrzut. Tyś mój ze wszystkim bólem, jaki przez ciebie przecierpiałam. Ale teraz Julku, czy teraz możemy z sobą zostać? Czy ty się nie łudzisz?

— Moje dziecko, po tylu cierpieniach, jakich doznałem, łudzić się już nie potrafię.

III.

Syreń usadowił się w fotelu naprzeciw żony i przymknął na chwilę oczy zamglone, jakby światło ich posyłał niby gońca w odległej dziedziny wspomnienia.

— W bitwie pod Łowczówkiem otrzymałem ciężką ranę. Kula przebiła mi piersi na wylot i straciłem przytomność, prawdopodobnie skutkiem upływu krwi. Kiedy się ocknąłem znajdowałem się już w szpitalu w Smoleńsku i ze zdumieniem odczytałem na tabliczce nad łóżkiem, że jestem żołnierzem pułku rosyjskiego. I rzeczywiście traktowano mnie jak sołdata. Dopiero na drugi dzień odkryto mi tajemnicę. Sanitarjusze, Polacy, podjęli mnie z pola bitwy, przebrali w mundur rosyjski i zaraz na punkcie opatrunkowym wciągnęli w spis jednego z pułków carskich na miejsce żołnierza, również Polaka, który zginął w tej samej bitwie. W intrygę tę wtajemniczyła mnie lekarka szpitala, Marja Ratyńska, Polka, dzięki cudownemu zbiegowi okoliczności dawna moja znajoma jeszcze z czasów studenckich. Możesz sobie wyobrazić radość i szczęście „leguna“ w niewoli

i przytem ciężko rannego. Oboje mieliśmy łzy w oczach. Jeszcze z dawnych czasów nazywano Ratyńską „Marynką". Była ona niska, pulchna i zwrotna, niby kulka bilardowa, bardzo rozmowna, o okrągłych czarnych oczach, iskrzących nieustannie.

— Jakże śmierć wyrównuje sądy ludzkie i prawdę wydobywa na wierzch. Marynka bowiem umarła niedawno, jak doniosły dzienniki, w lekkomyślny sposób wysłana na kresy celem zwalczania tyfusu plamistego, ona, kobieta tęga i zagrożona chorobą serca. Dopiero we wspomnieniach pośmiertnych nazywano ją bohaterką, lecz w istocie ona była nią zawsze. Mnie, ale nie tylko mnie jednemu uratowała ona życie.

— Otóż kiedy odzyskawszy przytomność ujrzałem nad sobą Marynkę, zdumienie moje i radość nie miały granic. Marynka wyjaśniła mi, że się nazywam Zygmunt Ruciński, „praporszczyk zapasa" jakiegoś pułku, którego nigdy nie miałem ujrzeć i opowiedziała, jak się to wszystko stało. Rana moja wprawdzie goiła się, ale płuca przebite nie pozwoliły mi w ciągu całego roku opuszczać łóżka. Zagrażała mi gruźlica. Ale gdy wpadałem w melancholję, Marynka burczała na mnie, chodziła koło mnie, jakbym był jej bratem, wyrobiła prawo do menaży oficerskiej i po roku niebezpieczeństwo

minęło. O tem wiedzieliśmy tylko my oboje. Wobec władz uchodziłem wciąż za chorego śmiertelnie. Ciężki, posępny, nudny był to rok. Jedna Marynka swą energją, twarzą zawsze żywą i wesołą, swem łajaniem i żartami rozjaśniała mi te czasy ponure. Z końcem roku 1915-go przeniesiono ją do wojskowego domu zdrowia, położonego w lasach tej samej gubernji, ale ta kobieta niezrównanej dobroci i energji uczyniła wszystko, aby i mnie zabrać tam z sobą. Wysłała mnóstwo raportów, gdzie trzeba, że jako ciężki chory na płuca i do służby niezdatny, powinienem być przeniesiony właśnie do owej leśniczówki, gdzie powietrze z pewnością postawi mnie na nogi i uczyni zdolnym do „dalszej służby wojennej". Marynce udawało się wszystko. Posiadała ona rzadki talent zyskiwania sobie ludzi, obok sprytu i uporu prawdziwie kobiecego. „Już tam pan nie chlipaj do poduszki — mówiła do mnie — pojedziesz na wieś i basta!"

I pojechałem. Rozkoszne powietrze lasów niezmierzonych, cisza, wytrwała opieka Marynki oddziałały na mnie nadzwyczaj uzdrawiająco. Zmężniałem, utyłem i trzeciego roku wojny wyglądałem zdrów i mocny, jak nigdy. Marynka obrzucając mnie swemi błyszczącemi oczkami mawiała: „udał mi się chłopak jak złoto". Naturalnie, że byłem w niej zakochany,

ale miłością braterską, która niczego nie pragnie. Marynka była świecką zakonnicą. Nigdy nie widziałem jej modlącą się, niemniej była ona kobietą nawskroś religijną i na wszystkie brednie ateistyczne odpowiadała krótko: „at głupstwo“!

— W czasach, kiedy ludzkość niejako obnaża się, zrzucając z siebie szaty kultury, odsłaniają się prawdziwe, istotne wartości i głębie w całej swej wspaniałości. Marynkę nazwałbym kryształem, nie rysującym się pod naporem najcięższych okoliczności. Duch jej w ogniu najgorętszym zachował swe linje proste, niewymyślne, ale twarde i wyraziste. Wielkie to szczęście spotkać w takich czasach człowieka, co się nie złamał ani nie roztopił jak wosk w płomieniach. Niewielu takich, poznałem i — rzecz szczególna — ci, których poznałem, nie byli to ludzie głośni, sławni i na stanowiskach wybitnych, ale przeciwnie skromni, nieznani i pozbawieni próżności. Tacy ludzie są to jakby ukryte baterje siły społecznej, dla organizmu socjalnego niezbędne i dlatego może niewidzialni, jak niektóre siły natury.

— Więc Marynka strzegła mnie i broniła, ale kiedy na początku roku 17-go nawet jej wynalazczość wyczerpała się i trzeba było wyjeżdżać, opatrzyła mnie jeszcze na drogę w listy rekomendacyjne do różnych potentatów

w Moskwie. Zresztą właśnie nastąpił wybuch rewolucji więc chociaż nie znałem kraju, to i tak wśród mnóstwa rodaków dałbym sobie sam radę. Rosja zachwiała się a tem samem możliwość naszej niepodległości jęła nabierać kształtów realnych. Imperjum rosyjskie, upiór świata, waliło się. Znaleźli się jednak łatacze pragnący skleić je napowrót — Kiereński i jego rząd. Z początku rewolucji ogarnął mnie entuzjazm, ale teraz zrozumiałem, że należy wszystko uczynić, aby zdychającego potwora dobić, a więc poprzeć bolszewików w ich rozkładowej robocie. To też gdy ta krwawa legja demonów wystąpiła zbrojnie przeciwko rządowi tymczasowemu, znalazłem się pośród niej, na jedną coprawda tylko dobę, ale doba ta zaważyła na mojem życiu fatalnie.

— Stało się to jakoś żywiołowo, niezależnie od mej woli. Przebywałem właśnie w Piotrogrodzie, dokąd w sprawach organizacyjnych wysłał mnie polski komitet z Moskwy. Bolszewickie powstanie wisiało w powietrzu. Kiedy 17 października udałem się na miasto, poraziła mnie cisza panująca na ulicach, pozamykane sklepy, strach i popłoch w oczach nielicznych przechodniów. Tu i tam, jakby za miastem czy nad miastem rozlegał się jakiś głuchy i błędny huk strzałów.

— Naraz ujrzałem watahę zbrojną wyła-

niającą się z za rogu. Tej chwili nie zapomnę nigdy. Nie było to właściwie wojsko. Szli przez środek ulicy stadem, umundurowani rozmaicie, jeden w szynelu sołdackim, inny w bogatem futrze, tamten opatulony w ponsową kołdrę, ale wszyscy nieśli karabiny. Twarze nie twarze ale mordy i pyski brodate, jakieś kolorowe, oczy kłujące piekielnym ogniem, a na kozackiej pice wielka czerwona płachta. Byłato jakaś luźna formacja, bez widomego dowódcy, ale płomień rozpasania, żądza krwi i grabieży pchała ją ku nieznanemu mi celowi.

— Tak, oni zburzą Rosję — pomyślałem — oni bez wahania wyprują szwy, jakiemi zmurszałe państwo łata Kiereński. To jedno łączyło mnie z tą hałastrą, buszującą po ulicach stolicy niby sfora szakali i wyjącą: „Dołoj Kiereńskij“! Wicher rozpustny, chuć zniszczenia, zionąca z tej kupy zbrojnej owionęła mnie jak podmuch szaleństwa. Przyłączyłem się do nich. Nikt nie zwrócił nawet uwagi na mnie. Rwali środkiem ulic zdrętwiałego miasta, jak żywioł ciemny, chciwy i zły. Przymknąłem do ostatnich szeregów i zlałem się z nimi, jak iskra z płomieniem, który jęzorem ognistym lizał stolicę imperjum.

— Wataha parła w stronę Pałacu Zimowego, gdzie podobno urzędował Kiereński. Artylerja ostrzeliwała siedzibę carską zdaleka a ci

czyhali na chwilę, która otworzy przed nimi bramy cesarskie. Ten plan wprawił mnie w zachwyt. Zdobyć pałac carów Wszechrosji! Nie posiadałem żadnej broni prócz rewolweru, ale niektórzy z grasantów, nieśli po dwa karabiny i po kilka plecaków. Za rubla dostałem karabin i ładownicę pełną naboi, plecak oraz czerwoną kokardę na czapkę. Nikt mnie nie dopytywał, kim jestem, skąd się wziąłem i po co. „Oczyszczona“ krążyła z rąk do rąk. Ja i bez wódki byłem już pijany.

— Kiedy stanęliśmy u mostu, rzuconego ponad głębokie, nie zamarznięte jeszcze koryto Newy, mgła jęła zasnuwać miasto. Tumany, wynikające z rzeki, oblepiały kolosalne cielsko pałacu zdobne w kolumny, w okazałe wrota wjazdowe, karjatydy i posągi na dachach mdławemi cieniami zaznaczające się w zmierzchu. Od czasu do czasu gwizd albo wycie pocisku działowego nad nami a potem cisza i Newy uroczysty poszum i fal złowrogi szelest.

— Pałac nie bronił się. Ani jeden strzał nie padł w naszą stronę. Wobec tego my zaczęliśmy palić w mgłę. Milczenie. Potem ktoś wydał rozkaz i horda runęła przez most, już bez wrzasków i wiwatów, ale zanim przebyliśmy go, pałac ledwo, ledwo już majaczył, wreszcie zatonął w morzu mgły jak widmo. Wymacawszy pod stopami bruk uliczny zatrzymaliśmy

się wytężając wzrok i słuch w stronę, gdzie powinien znajdować się pałac. Cisza. Rytmem wieczystym szumiąca, groźna cisza. Artylerja również przerwała ogień. Banda czyhała w mroku niby stado wilków zanim wytnie z kopyta.

— Przypuszczaliśmy, że Kiereński ze swoją służbą, — który zresztą, jak przekonano się później, wcale tego dnia w pałacu nie kwaterował, — musiał go już chyba opuścić. Wreszcie zaczęliśmy sunąć naprzód, ostrożnie, jak oślepieni przez mgłę, osaczającą nas zewsząd niby noc zwilgła i dusząca. Chwilami zdawało się, że potężny masyw Pałacu Zimowego mrocznieje w przestrzeni bezkształtnej, niby majak tajemniczy. Nikt nie orjentował się nawet czy jesteśmy już przy nim, czy pałac znajduje się daleko.

— Brakowało mi już tchu a mgła zimna, szczypiąca wdzierała się w płuca i tumanem upiornym wślizgiwała się w myśli. Widziało mi się, że brodzę w niezgruntowanej otchłani bez żadnego kierunku i że moje ja pełga coraz niklej w odmęcie bez imienia i formy. Skradałem się za innymi kierując się słuchem, wyciągając przed siebie lewą rękę, w prawej mocno zaciskając karabin, gdyż każdej chwili mógł się skądś, znienacka, wyłonić nieprzyjaciel. Nagle ciemność mleczną przewiercił snop

światła z dalekiego reflektora i teraz dopiero spostrzegłem nad głową kontury gzymsów pałacowych.

— Pomruk zadowolenia zachybotał zgrają. Czepiając się palcami kamienia namacaliśmy wkońcu bramę t. zw. „Tryumfalną" i z hukiem werwaliśmy się do wnętrza. Pałac carów martwy, zimny i milczący, jak grób, stał przed nami otworem. Wkrótce przekonaliśmy się, że jest pusty i czereda rozpełzła się w poszukiwaniu ciepła, napitku i jadła.

— Ale wszędzie było głucho i mroźnie, jak w kostnicy. Grasanci rzucili się nie wiele myśląc, na ciężkie dębowe, inkrustowane stoły, na kanapy złocone i fotele, obite adamaszkiem i wnet w jakieś sali obszernej, jak kościół, zapłonął ogień w kominku, zdobnym w marmurowe sztukaterje. Meble wysuszone w ciągu lat długich, może w ciągu wieków, z jakąś lubą skwapliwością dawały się pożerać płomieniom, trzaskając i prychając ochoczo. Dokoła kominka skupiła się gromadka obszarpańców, wyciągających ręce zgrabiałe, rozkosznie posapujących i parskających, aby wytchnąć z płuc zjadliwy chłód mglistej nocy październikowej.

— Nie wiem, czy błogie ciepło, czy nerwowe wyczerpanie, czy łyk wódki sprawił to, ale obraz ten wydał mi się zarazem fantastyczny

i djabelski. Sala była olbrzymia, długa bardzo i jednocześnie szeroka, ale mimo swój ogrom, powabna i lekka, niby okręt na morzu. Podpierały ją filary malachitowe, potężne i mroczne. Podstawy urn oraz wielkich zegarów, również z malachitu, ćmiły w półmroku głuchym blaskiem, gubiącym się w niszach ciemnych i w głębi portyków, gdzie czaiła się noc czarna, osłaniająca tajniki niezbadane.

— Spocząłem na posadzce w pobliżu kominka, rozglądając się błędnie wśród tłuszczy i bezmyślnie obserwowałem zwierzęce, wyuzdane i ciężkie twarze czerni ludzkiej, rozcierającej sobie ręce i wzrokiem trwożliwym, ukradkiem myszkującej dokoła. Nie wiedziałem, co mnie tu sprowadziło, oraz w jakich to celach tajnych mi a straszliwych? Jakowaś moc silniejsza, wyższa odemnie, wtrąciła mnie w tę pustkę marmurową, w której krzyki chrapliwe, przekleństwa i tłusty śmiech rozlegały się echem posępnem.

— Naraz tuż przy mnie coś krwawo błysnęło, niby spojrzenie czyjeś. Odstrychnąłem się gwałtownie i ujrzałem szczęki dzioba, głowę i czerwono jarzące ślepia orła dwugłowego. Była to poręcz złoconego fotela, wyrzeźbiona w kształt orlej głowy.

— Teraz dopiero zdałem sobie sprawę w pełni, że wtargnąłem do środka słynnego pa-

łacu carów. Ja, Juljusz Syreń, pyłek wichurą wojny zamieciony hen na północ, stoję w samem centrum imperjum rosyjskiego, w gnieździe, kędy przez wiek żyli, rozkazywali i umierali carowie i stoję tu nie jako niewolnik, ani jako żebrak z prośbą, lecz jako zwycięzca i pogromca. Mocniej ścisnąłem kolbę mego karabinu. Tu stoję ja, władca i mściciel! W gruzy rozsypie się ta sala, poczwarna w swej lodowatej zieleni, w ruinę te pilastry, bronzy, marmury, zegary, urny, tarcze srebrne, plafony. Będzie z nich żwir na szosy. Głowicami kolumn wybrukuje się ulice, a na tych miejscach, gdzie jeszcze kilka miesięcy temu carował Mikołaj ze swoją Niemką, wicher zaszlocha archangielski, ten sam wicher-grabarz, co zmroził tyle serc polskich wygnańców, żołnierzy, rewolucjonistów. Krew zawrzała mi w żyłach. Gniew bez przyczyny widomej, dziki i święty gniew furją zawichrzył mą duszę.

— Zerwałem się, karabin chwyciłem za lufę i wyrżnąłem kolbą w rzeźbiony, złocony, carskim majestatem ociężały fotel. Obraz ten i czyn swój ujrzałem wtedy w zwierciadle i dotąd go widzę. Srebrzyło się ono swą nieskazitelną taflą na ścianie między dwiema żłobkowanemi, ciemno-zielonemi kolumnami. Ujrzałem w niem i dotąd widzę siebie w bluzie

wojskowej brudnego koloru, z twarzą zielonkawą — bladą, skrzywioną z wściekłości, z oczami pałającemi szaleństwem, jak wznoszę karabin wysoko, wysoko i spuszczam go z rozmachem na poręcz fotela i jak rzeźbiona głowa orła rozpryskuje się w drzazgi i trzaski. Na widok odbicia w zwierciadle mej postaci i czynu, zaskoczony przez tak niespodziewanego świadka, znieruchomiałem przez mgnienie oka. Lecz zaraz, jakby pragnąc wymazać nawet ślad mego postępku, podbiegłem do ściany, wzniosłem kolbę ponownie i owo zwierciadło, od posadzki sięgające aż do plafonu rozleciało się w kawałki z szypieniem, zgrzytem i brzękiem. Syk i pękanie lustra, świst i zgrzytanie tłukących się płyt połyskliwych odezwało się po sali rozległej takiem echem, jakby ściany i filary, zegary i bronzy, jakby cały gmach zaniósł się chichotem szyderczym, płaczem i jękiem bolesnym.

— W półmroku wydało mi się, że jestem sam, więc błyskawicznie odwróciłem się, aby stanąć twarzą w twarz temu, co poza mojemi plecami parsknął śmiechem piekielnym, lecz ogień podsycony właśnie na kominku buchnął jaskrawo i wśród migających cieni i plam świetlnych zobaczyłem tylko pyski mych kompanów uśmiechające się zagadkowo. Z cieka-

wością, zadumą i w milczeniu przyglądali się mojej robocie.

— Wtedy, zakręciwszy w powietrzu karabinem niby sztandarem, zawyłem: „Dołoj cary Romanowy, wieszatieli! Wsio w drebiezgi!“ Horda zawtórowała mi triumfalnie i rozbiegła się na wszystkie strony.

W ten sposób rozpoczęła się najważniejsza noc mego życia. Zbiry rozproszyli się po sali, roztrzaskując marmurowe blaty stołów, bijąc lustra, drąc w strzępy obrazy a sprzęty drewniane rzucając w ogień. Oszołomiony, przez długi czas przypatrywałem się orgji i dopiero może po jakiejś godzinie założyłem karabin na ramię i powędrowałem w głąb pałacu. Banda łupiła już wszędzie. Sale niezmierne: „Biała“, „Tronowa“, lśniące od złoceń, błyskające bronzem, iskrzące się żyrandolami, które zwisały od sufitu niby złote drzewa koronami w dół, pełne były rabusiów i niszczycieli. Ogień gorzał na kominkach, a przy nich grzali się i pili dziwni goście.

— Zapuszczałem się wciąż głębiej w labirynt pałacu. Zabrnąłem wreszcie w jakiś korytarz, słabo oświetlony refleksem światła zabłąkanym z przytykającego krużganka, skąd dobiegły mnie histeryczne, wyuzdane rżenia. Wydostawszy się z tego zaułka, zobaczyłem kilkunastu ludzi, całkiem już pijanych, wytrzesz-

czających oczy na ścianę. Jakiś pleczysty, brodaty drab trzymał za kark cesarskiego lokaja i aż przewalał się w tył w śmiechu basowym. Lokaj, jeszcze z galonami złotemi na dworskim fraku, trzęsąc się, naciskał sprężynę ukrytą w ramach obrazu i wtedy z pod usuwającej się listwy wyskakiwały miniatury rżnięte w kości słoniowej, przedstawiające nagie, śliczne dziewczęta w pozach lubieżnych, pary splecione w uścisku miłosnym i obrazy, przypominające rzymskie specjalności z muzeum neapolitańskiego. Były to dzieła sztuki, stworzone przez doskonałego artystę nieznanego imienia, dla Aleksandra II, który schodami tajemnemi przemykając się do komnat swej żony morganatycznej, księżny Jurjewskiej, temi wizerunkami łaskotał swe nerwy. Tuż obok mieścił się przestronny, nieforemny gabinet tegoż cara, nietknięty przez jego następców i utrzymany w takim porządku, w jakim zostawił go cesarz w chwili śmierci. Jeszcze krwawiło łoże krwią jego zbroczone, a wskazówka zegara, w chwili śmierci zatrzymana ręką Aleksandra III, zastygła na godzinie drugiej minut trzydzieści pięć.

— Zaledwie jednak miałem czas objąć okiem komnatę, bo w jednej chwili, ze sprawnością, właściwą Moskalom, rozpoczęło się dzieło zniszczenia. Jakiś oberwaniec zdzierał ze ścia-

ny gobelin i czyścił sobie nim zabłocone, cuchnące buty. Inny sołdat roztrzaskał zegar historyczny, któryś wykłuwał carowi oczy, tam znów kacap z rudą brodą zdzielił kolbą srebrne popiersie Piotra Wielkiego, ustawione na biurku, na którym car podpisał sławny dekret o oswobodzeniu włościan. Łupieżcy opychali sobie kieszenie pieczątkami kosztownemi, złotemi medaljonami, zrywali miniatury dzieci carskich, zawieszone na drzewku lanem ze srebra. Rozlegał się łomot kolb, pękanie prujących się szwów, brzęk tłuczonego szkła, porcelany sewrskiej, srebrnych talerzy, hałas iście nieludzki, któremu towarzyszyły „trzypiętrowe“ wyzwiska, charkanie, plucie, rechot śmiechu. W krótkim czasie gabinet mocarza, co wywieszał, rozstrzelał, skazał na wieczną katorgę dziesiątki tysięcy powstańców i rodzin polskich, zamienił się w plugawy śmietnik, pełen szmat krwawych, okruchów, szczerb i strzępów. A na tym śmietniku wśród grubej warstwy kłaków, skorup, jedwabiu, kawałków porcelany, czołgały się niedawne psy carskie, zbuntowane raby, węsząc za grudkami złota, srebra i kosztowności, zagubionemi w tych bebechach wypatroszonego gabinetu Aleksandra II.

— Był to tak przerażający obraz i tak niepodobny do niczego w mem życiu, że dotąd,

ilekroć go sobie przypomnę, nie wiem, czy widziałem to na własne oczy, czy może tylko śniła mi się kiedyś w gorączce ta komnata bezkształtna, hucząca rykiem bestji ludzkiej, rozpalonej wódką, śmierdzącej, ociekającej śliną i z furją obłąkaną obracającej w niwecz wszystko, co jej wpadło w ręce. Ale to, co stało się później, przekonywa mnie zawsze, że nie był to koszmar, ale historyczna prawda. Nie mogę jednak powiedzieć, ażebym przy całym wstręcie, jaki mnie przejmował, nie doznawał uczucia ostrej rozkoszy na widok pieleszy carskich przez samych Moskali wdeptywanych w błoto.

— Ostatnie wspomnienie z tej komnaty wbiło mi się w pamięć wrażeniem chyba najgłębszem. Niski, ale barczysty mużyk w rozchełstanym szynelu, w czerwonej rubaszce, w jałowicznych, zagnojonych butach, klęczał na posadzce i chciwe łapska, niby pogrzebacze śmieciarza, zanurzył w łachmanach i strzępach, przepatrując każdy kłak, czy nie świeci zeń kruszyna złota. Naraz wpadł mu w rękę kawał płótna, z którego patrzyły oczy i uśmiechały się usta Katarzyny Wielkiej. Mużyk spojrzał na ten szmat portretu wielkiej carycy, zmiął go pazurami, wstał i, dostrzegłszy pod łóżkiem naczynie, rzucił w nie oczy światowładne i te usta nienasycone, rzucił, jeszcze raz dźgnął je wzrokiem, splunął i dopiero wró-

cił do swej roboty. Było to ordynarne, ale nie bezwiedne. W ruchu mużyka, w pasji dokumentnej jego gestu odczułem świadomość czynu, demoniczny i zrozumiały rewanż wiekowego niewolnika.

— Jak oczadziały, opuściłem wreszcie apartamenty Aleksandra II. Znużony, drzemiąc, błądziłem po korytarzach, wypływałem na jakieś sale, teraz pełne blasku i wrzawy, mijałem białe posągi, stojące na kolumnach wysokości dwupiętrowej. Czasem, zobojętniały doszczętnie, przykucnąłem sennie gdzieś na fotelu. W majaczeniach widziałem, że świat trzeszczy w posadach niby okręt przegniły, a na jego pokładzie żerują stada myszy, szczurów, szakali. Zacisznie było tylko w powyginanych, wijących się przejściach z jakichś pokoików sekretnych na dół i w górę, bez końca, jak w labiryncie. Skoro tylko wynurzałem się z poplątanych sieci na sale recepcyjne albo w komnaty pałacowe, zagarniała mnie wrzawa łupieżców pijanych, goniących z bagnetem nastawionym, jak do ataku, śmiechy i piski lubieżne. Znęciły się bowiem skądś dziewki, a z niemi jadło, wódka, bałałajki i piszczałki, śpiew hulaszczy i wyuzdanie, czochające się o adamaszki rzeźbionych otoman i puchowych łożnic.

— Potrącony kolbą pędzącego sołdata, ocknąłem się z gorączkowej drzemki w kącie

jakiejś niszy i, nie myśląc o tem, dokąd mnie zaprowadzi los, powlokłem się przed siebie. Korytarzyk wywiódł mnie na szerokie schody. Zdecydowałem się wejść na nie, sądząc, że się w ten sposób oddzielę od rozszalałej czeredy i wynajdę gdzieś kącik przytulny do wypoczynku. Tak dostałem się na najwyższe piętro.

— Okna, wyglądające stąd na plac, były połamane od pocisków bolszewickich, szukających głowy Kiereńskiego. Cierpka, brudna mgła, wepchnięta przez wicher, zapełniała korytarz. Co parę kroków natrafiałem na jakieś drzwi masywne, nie ustępujące nawet pod uderzeniem kolby. Gruz, miał wapienny, okruchy kamienne zawaliły mi drogę. Spustoszenie było tu widoczniejsze, niż na piętrach niższych, ale pochodziło ono tylko od bombardowania, bo horda jeszcze się tutaj nie zakradła. Wśród ciszy i nocy, przesyconej mgłą, zło hulające na świecie szczerzyło tu swe kły upiorne z każdej wnęki pokaleczonej, z każdej ramy okiennej, wyrwanej z zawiasów i skrzypiącej żałośliwie niby naderwane ramię żywego ciała.

— Pewne drzwi jednak pod zwykłym naciskiem ręki otwarły się przedemną. Zdziwiony wsunąłem głowę, lecz narazie dostrzegłem zaledwie jakieś bezkształtne zarysy przedmiotów rozrzuconych na podłodze, a stopa pośliznęła

się o coś twardego, jak kamień chropowaty i kolący. Przymknąłem drzwi i zaświeciłem kieszonkową latarkę elektryczną. Na widok tego, co ujrzałem, włosy zjeżyły mi się na głowie. Przedemną, na wysokości głowy jakaś paszcza potworna rozdziawiła szczęki, ukazując kły białe, krwiożercze. Prawdopodobnie wrzasnąłem ze strachu, bo usłyszałem krzyk, a jak się później przekonałem, ani w tym pokoju, ani w następnych nie było żywej duszy. Żachnąwszy się w tył, uderzyłem głową o kant drzwi i ból wrócił mi przytomność. Podługowaty łeb potwora wybałuszał na mnie krwawe, nieruchome ślepie, ale coś jeszcze dziwniejszego znajdowało się w jego paszczy. Z pomiędzy kłów tryskały, niby z czeluści, iskry, światełka, promyki mieniące się odcieniami przeróżnych barw. Nic bardziej fantastycznego nigdy nie widziałem. Struchlały i zahypnotyzowany, nie mogłem oderwać oczu od kolorów i blasków, lejących się z paszczy, niby z gardzieli legendarnego smoka. Smok nie dawał jednak znaku życia. Wycelowałem promień latarki wprost w jego paszczę i odkryłem źródło cudownych blasków. Na dolnej szczęce i na ozorze potwora leżało mnóstwo drogich kamieni, zwłaszcza brylantów, rubinów, opali, wielkości rozmaitej, nawet wielkości orzecha laskowego.

— Mój strach paniczny zniknął. Ogarnęło mnie gorączkowe podniecenie. Straciłem doszczętnie poczucie rzeczywistości, a w rozigranym mózgu zatliło się podejrzenie obłąkane, że podania o skarbach, strzeżonych przez smoki, nie są baśnią. Nieufnie zerkając na przerażający łeb, nerwowo puszczałem światło latarki na wszystkie strony. Na posadzce, pośród gruzów, kawałków marmuru, pokruszonych kafli i terakoty walały się potargane tkaniny wzorzyste, gobeliny, dywany, a na nich grudy, bryły złota, srebra, platyny, potrzaskane szable, klingi rzeźbione, drogie kamienie, perły, potłuczone skorupy chińskiej porcelany, korale jakby krwią opite. Cały ten śpiący Sezam ocknął się pod muśnięciem światła mej lampki i zagrał nieopisanym przepychem blasków i promieni różnobarwnych. Na gzymsie kominka stał złoty świecznik z kilkunastu świecami. Dygocącemi rękami odstawiłem karabin, odpiąłem plecak i zapaliłem świece. Co za widok! Komnata buchnęła wprost pożarem ogni, tęcz, pęków promieni krzyżujących się, tańczących, przyćmionych i miękkich albo jaskrawych i oślepiających, a na środku rozparło się cielsko... wypchanego krokodyla, którego paszcza tak mnie przeraziła. Niezdolny uporządkować wrażeń, przeglądałem pokój spojrzeniem ściemionem od tej orgji żywych blasków. Ktoś, ktoby

mógł obserwować mnie zdala, orzekłby z pewnością, że zwarjowałem. Ślizgałem się wzrokiem po misternych resztkach naczyń cudnie polerowanych, przyklękałem, aby napoić oko skrzeniem brylantu czystego jak dusza bezgrzeszna, w osłupieniu badałem bryły złota i srebra, migocące blaskiem drgającym, podziwiałem cudowną krągłość pereł, upajałem się widokiem tych skarbów bezcennych i pięknych.

— Zrazu nie pojmowałem nic, jak człowiek, który obudził się w zupełnie nowym, absolutnie nieznanym sobie świecie. Dopiero po jakimś czasie z napisu, wyrytego na srebrnej piramidzie, doszedłem, że wpadłem do skarbca, gdzie umieszczano dary zdetronizowanego Mikołaja II. Dowodził tego napis: „Cariu Imperatoru Wsiej Rossiji Nikołaju II“, widniejący na marmurowych urnach, wysadzanych drogiemi kamieniami, na karabelach, srebrnych solniczkach, złotych kubkach, wazach i na skórze krokodyla. Przyczynę gruzów, wyjaśnienie, jakim sposobem i kto porozsypywał te klejnoty i pogruchotał karabele, urny, wazy, porcelanę, sprawiając ten dziki i nieprawdopodobny rozgardjasz i zniszczenie — znalazłem, zauważywszy kilkanaście kul, tkwiących w skórze krokodyla, oraz ułamki żelaziwa, wbite w ściany i w podłogę. Zapewne podczas ostrzeliwania trzeciego piętra pałacu szrapnel

trzasnął w drzwi skarbca, wyłamał rygle, wdarł się do środka i pękł wśród tych skarbów, rozszarpując tkaniny, tłukąc porcelanę, wazy, kubki, gruchocząc popiersia złote i srebrne. Siła pocisku wyłuskała również z obsad drogie kamienie, część ich rozsypała, a część wmiotła w paszczę krokodyla.

— Teraz dopiero przejął mnie ohydny niepokój, ażeby mnie tu nie przyłapano. Dokładnie obejrzałem drzwi kute, masywne i stwierdziłem, że od wewnątrz są one zaopatrzone w stalowe, potężne zasuwy. Jeśli pocisk nie wysadził drzwi z zawiasów mogę bezpiecznie zamknąć się nie spostrzeżony przez kompanów, buszujących zresztą jeszcze na niższych piętrach. Zacząłem z gwałtownym pośpiechem próbować i na szczęście obie zasuwy udało mi się wepchnąć w klamry. Byłem więc obwarowany i sam pośród skarbów wartości nieobliczalnej. Spojrzałem teraz na nie, jak ich pan i właściciel. Tylko krokodyl zdawał się naigrawać rubinami swych krwawych gał.

— Stałem tak przez chwilę, wstrząsany nerwową drgawką. Nagle, jakby na czyjś rozkaz, skoczyłem do krokodyla i zacząłem z paszczy wybierać klejnoty, drżąc zabobonnie, aby nie kłapnął szczękami i nie odciął mi ręki. Garść najpiękniejszych kamieni włożyłem do kieszeni. Następnie padłem na klęczki i zgarniałem

grudki złota i srebra, kamienie co większe, klingi, srebrne i złote kubki i pakowałem to w plecak. Wtem zauważyłem w rogu komnaty drzwi. Oblał mnie zimny pot. Ze świecznikiem w lewej ręce, z karabinem w prawej pobiegłem potykając się na gruzach do następnych pokoi, ale żadnej istoty żywej w nich nie znalazłem. Wisiało tam pełno gobelinów, makat, kobierców, oraz wszelkiego gatunku, rozmiaru i treści obrazów i portretów. Ale ja, co później długie godziny mogłem spędzać w Sykstynie, całe dnie przebywać w Luwrze, czy „Museo Antico" w Rzymie, nie straciłem jednej sekundy nawet na obejrzenie tych płócien cesarskich. Na stołach stały porcelany, urny, wazy, w rogach popiersia marmurowe, bronie paradne, otomany, kozetki, fotele, wszystko nietknięte ale ciężkie i niezdatne do zabrania. Śpiesznie wróciłem do pierwszego pokoju obu rękami ściskając skronie gwałtownie pulsujące i rozgrzane, jak lufa karabinu podczas bitwy.

— Podniosłem plecak ale był tak ciężki, że go nie mogłem udźwignąć. Przeciążyłem go. To mnie otrzeźwiło. Dotąd postępowałem bez planu. Teraz dopiero błyskawicznie zorjentowałem się, na co się ważę i co przedsiębiorę. Nie wątpiłem zresztą ani przez chwilę o tem, czy mam prawo przywłaszczyć sobie te skarby bajeczne. O tem nie myślałem nawet. Trze-

ba się było tylko zastanowić, jak to zabrać i gdzie ukryć. Uświadomiłem sobie, że się natknąłem na źródło potęgi, jedynej potęgi, przed którą „świat“ bije czołem. Podemną i dokoła mnie spoczywała zmaterjalizowana energja pracy tysięcy, dziesiątków tysięcy ludzi, którą ja będę kierować podług swej woli. Poczułem się wielkoludem o tysiącu ramion i serc. Z tych rozważań wstąpiła we mnie siła i myśl planowa. Wszystko, co wpakowałem już do plecaka, wyrzuciłem na podłogę i zacząłem na nowo ale już systematycznie układać najpierw kosztowności, którym przypisywałem największą wartość, a więc kamienie drogie, perły, korale wyłuskane siłą pocisku, potem klingi wysadzane klejnotami, rzeźbione kubki i solniczki ze szlachetnych metalów, o ile nie posiadały napisów, wkońcu bryłki złota i srebra. Postanowiłem, że nie zabiorę z sobą więcej, niż dwadzieścia funtów, a to ze względu na trudności ukrywania takich bogactw, oraz ponieważ musiałem zachować lekkość ruchów zwłaszcza na moment wyjścia z pałacu. W ładownicy schowałem kilkanaście brylantów wielokaratowych wartości takiej, że ocenić jej wprost i nie umiałem i nie ważyłem się nawet!

— Już byłem prawie gotów, gdy w korytarzu zadudniło. Czerń atakowała trzecie piętro. Zgasiłem świece i przywarowałem u drzwi. Sypnęli

się wzdłuż korytarza kolbami wyłamując drzwi jedne po drugich. Odezwały się i moje dźwięcznem echem żelaziwa i dębu ale nie puściły. Zabiegliwy i mądry skarbnik w mocne zasuwy opatrzył swój skarbiec! Z karabinem w pięści czatowałem spokojny, surowy, zdecydowany na najgorsze. Ale korytarz ciągnął się w nieskończoność i pałac olbrzymi, mieszczący setki komnat, nęcił tajemnicą niezliczonych pokoi, więc szajka zniecierpliwiona dała za wygraną i popędziła dalej. Odetchnąłem. Zapaliłem tylko jedną świecę i dokończyłem swego.

— Oparłem się o piramidę złotą, aby nieco wytchnąć po ciężkiej robocie, ale nie mogłem usiedzieć na miejscu. Plecak parzył mnie rozgrzewając krew i wyobraźnię. Ha! Ha! — śmiałem się w sobie zuchwale — jestem bogaczem, jestem miljonerem, jestem multimiljonerem, przed którym „świat“ skuli się pokornie jak pies, w uniesieniu śpiewając „hosanna“ na cześć mej różdżki czarodziejskiej, kwitnącej brylantami. Jak pies! Koniec prywacyj, upodlenia, poniżeń, zależności. Jestem mocny, jak wy! Hola, kapitanowie! I ja dostałem się na pokład! Ho-ha! ha! Równy wam wezmę teraz za ster okrętu i tam go pchnę, dokąd zechcę.

— Tymczasem trzeba było jednak uciekać, bo lada chwila mogła wpaść banda. Wściekłość mnie żarła, że muszę tu zostawić taki bezmiar

bogactw, żal, że nie jestem Herkulesem, coby cały ten skarb zarzucił sobie na plecy jak zabawkę. Szybko przebiegłem myślą rozmaite sposoby jakby to, co tutaj zostawiam, zabezpieczyć dla siebie, ale już na tyle panowałem nad sobą, że uznałem to za rzecz niepodobną do wykonania. W godzinę po mnie lub jeszcze prędzej nadejdą tu łupieżcy, albo władza — jeśli już powstał jakikolwiek rząd — odkomenderuje do pałacu straż. Trzeba uciekać i to bezzwłocznie. Mgła będzie moim orędownikiem.

— Na korytarzu było spokojnie, tylko w pokojach huczało jak w warsztatach. Odciągnąłem zasuwy i wytknąłem głowę, rozglądając się podejrzliwie. Teraz dopiero, wymykając się jak złodziej, odczułem, że się zrównałem z bandą podłą i pogardzaną przeze mnie. Ale nie pora była na wyrzuty sumienia. Należało działać ostro i szybko a spryt wysilić na pokonanie śmiertelnych niebezpieczeństw, które mi odtąd groziły. Ziemia tańczyła mi pod nogami. Dałem nurka w ciemność korytarza. Nikt mnie nie zauważył. Przy schodach zatoczyło się na mnie dwóch jakichś drabów. Bili się o złotą dziesięciorublówkę. Groza sytuacji uprzytomniła mi się jaskrawo. Gdyby wiedzieli...! Puściłem się cwałem po schodach. Pałac wrzał jak kocioł. W salach recepcyjnych, którędy przebiegałem szukając wyjścia na ulicę,

szalała orgja. Żołnierze dobrali się do piwnic pełnych win starych i mocnych. Ujrzałem tego samego brodacza, co parę godzin temu rechotał przed miniaturami, jak przyssał się do butelki zapleśniałej i nie odjął jej od ust aż wychylił do dna. Butelka wypadła mu z łapy, oczy zaszły bielmem, nieprzytomnie zamachał rękami i runął jak pień. Wyborny trunek zwalił w ten sposób już kilkunastu chłopów i dziewek chrapiących albo jak trupy rozciągniętych na carskich marmurach. Dzięki powszechnemu rozpasaniu udało mi się wywikłać niepostrzeżenie z labiryntu pałacowego i odnaleźć nareszcie bramę na ulicę.

— Mgła gęsta już bielała, bo zaczynało dnieć. Byłem ocalony. Ominąłem jeszcze ostatnie niebezpieczeństwo w postaci kompanji marynarzy, spotkanej na moście. Podszedłem do komendanta oddziału i zameldowałem bezczelnie, że pałac wpadł w ręce rabusiów, których jeden pluton „krasnoarmiejców" nie jest w stanie opanować i że śpieszę do głównej kwatery bolszewickiej złożyć w tej sprawie raport. Uwierzył mi i jeszcze w swojem imieniu kazał żądać pomocy.

— Tak zakończyła się najdziwniejsza, fatalna noc w mem życiu. Ja, człowiek wolny, zamieniłem się odtąd w stróża, sługę i niewolnika skarbu, który niebacznie wziąłem na swoje ple-

cy. Gorączka podniecająca mnie w nocy ustąpiła prędko. Rozpoczęła się dwa lata trwająca wstrętna i niebezpieczna praca zamiany skarbu na kapitał płynny, stosunki i szacherki z paserami i urzędnikami sowieckimi. Przyjrzałem się wówczas zbliska przeniewierczej ohydzie, zwanej „rządem sowietów“, sprzedajnej od stóp do głów. Złoto wprawdzie odmykało mi, jak wytrych, drzwi wszystkich biur, ale musiałem postępować nader ostrożnie, bo ten sam paser-komisarz, co mi ułatwił zmianę surowego złota na dolary, zadenuncjowałby mnie bez wahania i odesłał do „czerezwyczajki“, gdyby tranzakcja wyszła na jaw. „Pracowałem“ zresztą za pośrednictwem agentów, zazwyczaj żydków polskich a także przez Polaków, członków „czerezwyczajek“, którzy zaciągali się do biur bolszewickich, aby się obłowić a potem przy sposobności dmuchnąć. Obrzydliwe były to czasy. Musiałem ocierać się o figury najnędzniejsze, musiałem być z niemi za pan brat. Oni uważali mnie za swojego, za jednego z potentatów międzynarodówki złodziejskiej, w nieustannem oblężeniu trzymającej międzynarodówkę kapitału i dlatego z własnej woli podsuwali mi koncepty i sposoby, torowali drogi a wreszcie dopomogli do wyjazdu z Rosji. Znajdowałem się już w posiadaniu walorów najrozmaitszych krajów do wysokości półtora

miljona franków w złocie ale przy mozolnej zamianie zdobyczy na walutę wartościową traciłem tyle, że postanowiłem część skarbu najcenniejszą, owe brylanty wielokaratowe i kilka garści drogich kamieni wywieźć do Europy, aby je spieniężyć bez pośrednictwa agentów.

— Główną kwaterę założyłem w Londynie, skąd robiłem wypady do Paryża i Rzymu, Hamburga i Berlina, obawiając się, aby sprzedaż w jednem mieście klejnotów tak wspaniałych nie podała mej osoby w podejrzenie. Przeważnie uchodziłem za kniazia, emigranta z Rosji bolszewickiej. W miarę wzrastania majątku nabrałem pewności, że z czasem powiedzie mi się spieniężyć i brylanty, ponieważ mogłem żyć na stopie odpowiedniej, ubierać się, mieszkać i wyzyskiwać okazje nadarzające się wyłącznie ludziom bardzo bogatym. Tak np. w hotelu na Rigi-culm w Szwajcarji podczas rozmowy o brylantach rzadkiej wielkości, jaką prowadziłem z pewnym miljonerem amerykańskim, wygadałem się niby przypadkiem, że mi się udało ocalić przed rabunkiem z mego skarbca rodzinnego brylant szczególnie wielki i piękności niezwykłej, znachodzący się w naszej rodzinie jeszcze od czasów Katarzyny. Na wielkie prośby pokazałem jeden z mych brylantów, z którym nie rozstawałem się nigdy, jak nigdy nie mogłem również rozstawać się z rewolwe-

rem. Bisnesman lubował się tylko kamieniem, ale córeczka jego wpadła w zachwyt cielęcy i ubłagała ojca, aby go dla niej nabył. Ja, naturalnie odmówiłem. Niemniej Amerykanin sprowadził z Luzerny złotnika, który wartość brylantu ocenił na 90 tysięcy franków. Wciąż nie ustępowałem. Wprawdzie zrabowano mnie, straciłem włości niezmierne — łgałem — ale tej ostatniej pamiątki nie pozbędę się za żadną cenę. Miljoner, a zwłaszcza jego córunia, oblegali mnie bez ustanku, podnosząc wysokość oferty i napastowali z energją amerykańską. Ale ja nie dałem się namówić prędzej, aż kiedy zawzięty Amerykanin ofiarował mi 50 tysięcy dolarów.

— Chociaż nie zawsze trafiała się taka gratka, jednakże w ciągu roku zbyłem wszystkie kosztowności. Całkowity mój kapitał, złożony w Banku Angielskim, wynosi z górą miljon funtów. Jestem więc człowiekiem bardzo bogatym.

Syreń umilkł. Jego wyrazista, ostro rzeźbiona twarz rozprzęgła się i wypełzło z niej znużenie. Stasia, splótłszy ręce na kolanach, w zadumie zdawała się spoglądać w strumień krwi, co z ich serc przez ten wieczór spłynął.

— Często, nie mogąc znieść ciężaru przeklętego bogactwa — podjął Syreń — przejęty obrzydzeniem do siebie i świata, toczonego

przez rak pieniądza i jego wpływ — a tę sprawę poznałem, Stasiu moja, na wylot — otóż nieraz rzucałem się w odmęt zabawy. Miałem kochankę, kochanki. Owa zazdrość, co mnie uderzyła znienacka zła była i zatruta. Nie miałem prawa ja, co w Paryżu...

— Nie chcę o tem słyszeć, nic nie chcę wiedzieć — przerwała mu gwałtownie. Kochałam ciebie i kocham. Nie zawiodłeś mnie. Serce mówiło mi prawdę. Ty jesteś jedyny. Cokolwiekbyś uczynił na każde twoje zawołanie poszłabym do ciebie na koniec świata. Ale myślałam, że już nie żyjesz a właściwie nie to. Grzech mój odebrał mi wiarę i sama w sobie wykopałam twój grób. Za to spotkała mnie kara. Kobieta sama cierpi najwięcej gdy zdradzi.

Syreń uśmiechnął się: — Wszystkie przecie zdradzają.

— Nie, Julku. Zdradzić mogą tylko te, które kochały, a takich jest mało.

— A wiesz, że to prawda. Świat, który poznałem, świat pieniądza, uczynił z kobiety, towarzyszki mężczyzny, tylko przedmiot rozkoszy. Tyś inna...

— Byłam...

— Byłaś i jesteś. Tamto to moja wina. Ale teraz rozpoczniemy na nowo.

— Jakto?

— Mam życie rozpocząć na nowo i dlatego

wróciłem. Odzyskałem spokój i młodość, ponieważ nareszcie pojąłem przyczynę mej męki i nędzy ostatnich lat, od czasu wykradzenia skarbu. Do niedawna jeszcze zdawało mi się niekiedy, że te bogactwa są moją osobistą własnością. Ale to nie są pieniądze moje. Jestem tylko mandatarjuszem z woli losu. Wolno mi było zabrać nietylko tyle. Miałem prawo zrabować i wywieźć z Rosji wszystkie jej skarby, ale obowiązkiem moim jest oddać je prawemu właścicielowi.

— Komuż zamierzasz je oddać?

— Tego jeszcze jasno nie widzę. Mój przywilej, zdobyty na zasadzie cierpień przeniesionych od chwili znalezienia skarbu pozwala mi tylko na jedno a mianowicie wybrać tego, komu skarb mam oddać.

IV.

Syreń został w Warszawie i, jak się wyraził, puszczał się na zwiady, albo „węszył“, nawiązywał nowe znajomości albo odnawiał stare, myszkując niby za „posadą“.

Po długoletniej nieobecności w kraju, zwłaszcza zaś po kilkuletnim pobycie na Zachodzie, zdumiewała go brutalność ludzi i stosunków. Tłumaczył to sobie młodością demokracji polskiej, ale trudniej już było mu pojąć nieuczciwość obywateli względem młodego państwa, patrzących na nie, jak na bankiera, mającego dostarczać jak najwięcej drukowanych banknotów. Szukał przyczyny, jak lekarz badający puls chorego, wdając się w pogawędki z każdym nowym czy starym znajomym.

Do świeżych znajomości zaliczał wcale nieświeżą zresztą osobę niejakiego Kotelskiego, urzędnika, który oto właśnie popijając w cukierni swoje „pół czarnej“ perorował:

— Ale cóż pan na to powiesz, że w pewnym „wydziale“ pewnego ministerjum urzęduje notoryczny przestępca, znany z Rosji paskarz i złodziej węglowy? Niedawno również stwier-

dzono, że na kresach stanowisko starosty zajmował rzeczywisty członek dawnej ochrany rosyjskiej? Słyszałem o pewnym ziemianinie w Siedleckiem, który w pierwszych dniach niepodległości, kiedy Niemcy robili „Rückzug“ do swego Vaterlandu zarekwirował dla siebie około trzystu koni i sprzedał Żydom na szmelc pontony niemieckie. Słowo honoru! Przysięgali na to jego sąsiedzi.

— Musieli chyba ci sąsiedzi — wtrącił Syreń — złożyć w tej sprawie zeznania do odpowiednich urzędów.

— Jeszcze co! A cóż ich to obchodzi. To należy do policji.

— Albo co pan na to — rozkoszował się bajczarz kawiarniany — że za rządów Paderewskiego wysyłano np. do Francji jako agentów handlowych ludzi nie mających żadnego pojęcia o rzeczy, którzy przy zakupach musieli posługiwać się pośrednikami — oczywiście Żydami — i przepłacali towar kilkakrotnie. Tak, tak, panie. To nie to, co dawniej. Wtedy żyło się spokojnie. Na lato człowiek mógł jechać zagranicę. Teraz siedź jak w zakorkowanej butelce. Saison - Staat. Ja też wolę swe oszczędności umieszczać w dolarach.

Kotelski mówił to z manierą kawiarnianych gębaczy, uważających, że do stylu ich należy kpić ze wszystkiego. Z ust wydętych nie scho-

dził mu sardoniczny uśmieszek, spowijający gorzkie słowa jakby w konfitury.

Syreń słuchał, ukrywając z trudnością obrzydzenie.

— No i cóż pan na to — he? he? — brzęczał Kotelski wyjmując papierosa i starannie obdzierając koniec gilzy z bibułki ze względów profilaktycznych — jak wyjaśnił — aby zapobiedz możliwej zarazie, jako że z rąk robotników przenoszą się na gilzę mikroby.

— A jakżebyś pan nazwał człowieka — podjął Syreń obserwując operację z papierosem — który pozwoliłby siebie okradać, chociaż rozporządza normalnemi sposobami obrony?

— Chyba warjatem — odpowiedział Kotelski, rozkoszując się dymkiem.

— Właśnie, właśnie! — Syreń poważnie kiwał głową na bajczarza nie przeczuwającego zresztą aluzji.

— Co tu wiele gadać — oświadczył naraz Kotelski i ruchem heroicznym wydobył z portfelu dwa paszporty: niemiecki i rosyjski. — Rozumie pan? — mrugnął pukając w dokumenty. — Wygląda pan na człowieka rozsądnego, któremu nie imponuje frazes. Rozumie pan?

— Nic a nic — odpowiedział Syreń obserwując plotkarza z coraz bardziej wzrastającem zdumieniem.

— Przechowuję to na wszelki wypadek...

Syreń zlustrował teraz przygodnego znajomka baczniej... Twarz to była pospolita, banalna, niby kostka brukowa, w oczach zaledwie tlił płomyk życia roślinnego. Cera blada i gesty sflaczałe czyniły z tego okazu coś bezgranicznie nudnego i nędznego.

— Czy pan nie... tego...? — zagadnął Syreń bębniąc palcami w czoło.

— Przyznam się, że nie wiem, o co panu idzie...

— O to idzie właśnie, czy pan nie jest „aby“ warjatem?

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Ściśle to samo, co lekarze, niestety...

— Daruje pan, ale to szczególny żart! — skrzywił się Kotelski.

— O! — nie daruję nic — Syreń uśmiechnął się dobrodusznie. Czy pan nie doznaje czasami ucisku w potylicy?

— Ależ panie! — protestował rozdrażnionym głosem pacjent.

— No nic, spokojnie, proszę się tylko nie gorączkować, bo to panu zaszkodzi. A tak nie latają panu ni stąd ni zowąd w oczach iskierki zielone, czerwone, żółte?

— Mnie?

— Panu, tak jest, panu. Czy pan nie przechodził kiedy sy...sy...sy...? — syczał Syreń.

Kotelski spopielał na twarzy.

— Albo też, być może, ma pan idjosynkrazję względem płci pięknej?

Kotelski na gwałt ładował dokumenty do portfelu.

— Jesteś pan stanowczo paranoikiem — ciągnął Syreń. P a r a n o i a c h r o n i c a! O, ten błysk w oczach, to drżenie rąk... Czy nie miewa pan halucynacyj słuchowych? Na prawym policzku pańskim dostrzegam malusienki pryszczyk. To, to! — wskazywał Syreń palcem, gdy Kotelski nerwowo obmacywał twarz.

Głos pacjenta łamał się:

— Co też panu? — gdzie? — mój Boże! — ale skąd ja! Co panu wogóle przychodzi do głowy?

— Mnie nic nie przychodzi do głowy, ale panu, według wszelkiego prawdopodobieństwa, coś wkręca się w sam środek mózgu. Ou, nic znowu takiego...! Luesik nabyty własną pracą albo w spadku po dziadku dobrodzieju. O, to się zdarza, kaducznie często zdarza się...

— Co się zdarza?! — bełkotał Kotelski zapinając palto zwiotczałemi, latającemi rękami.

Syreń podniósł palec do góry:

— Wierz mi pan. Liznąłem coś niecoś medycyny. — Syreń wbił w Kotelskiego spojrzenie hypnotyzera. — Idź pan natychmiast do lekarza chorób skórnych albo do neurologa. Pokaż mu pan te papiery...

— Jakie pap... papiery...?

— Te papiery, te dwa paszporty. Albowiem nie jest rzeczą wyłączoną, że uległeś pan chorobie innej, pochodzącej od „b a c c i l u s s c l a v i e n s i s“, który nam wszczepiali pokryjomu Moskale i Niemcy.

— Panie, ja już nic... Istotnie zdaje mi się, że jestem trochę słaby. Garson, garson — prędzej... B a c c i l u s s c l a v i e n s i s...?!

Syreń, zniżywszy głos, szeptał wnikliwie:

— No, spokoju, spokoju, kochany panie. Widzę, że pan studjował historję tylko z Iłowajskiego. Tej nikczemnej operacji dokonywano w szkołach rosyjskich i niemieckich, oczywiście potajemnie, pod pozorem szczepienia np. ospy. Zamiast krowianki lekarz szczepił dziecku zarazek zwany „b a c c i l u s s c l a v i e n s i s“, zawierający szczyptę, malusienką odrobinę kiły, działający zwolna i niewidocznie. Na razie pacjent stawał się tylko baranio potulny zwłaszcza na widok pikelhauby albo papachy, poprostu jak ptaszek wobec okularnika. Bywało, że organizm pokonywał straszliwe — pojmuje pan! — straszliwe działanie szczepionki ale często — och panie! jakże często zarazek przyjmował się. Ile pan ma lat?

Kotelskiemu szczęki skakały jak w febrze.

— Ja — ja — zaraz... 45 lat... tak... nie... 44 lata...

— Ou! — Syreń mlasnął — właśnie w tym wieku...

— W tym wieku? — pytał Kotelski a jego bezbarwne oczy błyszczały.

— W tym wieku najczęściej. Zarazek wędruje i chrup! chrup! przegryzie sobie drzwiczki do serca od strony arterji wieńcowej, a r t e r i a c o r o n a r i a. Znam się coś niecoś na medycynie. Wtedy serce huk - puk i koniec!

Kotelski płacił.

Syreń wciąż atakował: — Natychmiast, natychmiast idź pan do lekarza! — a kiedy kpiarz żegnając się już spojrzał nań błagalnie, dodał:

— Zaraz! — albo chrup - puk — i koniec.

Syreń opuścił cukiernię zły, przesycony pogardą i udał się do Sejmu. Odnalazłszy w restauracji sejmowej posła Węgrzeckiego, swego przyjaciela z dawnych lat, przytoczył mu rozmowę z Kotelskim.

— Takich drabów, jak ten urzędniczek powinniście pakować do kryminału — zakończył swoją relację.

— Powinniście? — to pakujcie! — uśmiechając się zaakceptował Węgrzecki.

— Kto wy? — jacy wy? — rzucił się Syreń.

— Powiedziałeś przecie sam — powinniście...

— Myślałem o was, o Sejmie, o rządzie.

— Jaki mi wygodniś! — mruknął poseł. Wy sobie, wy, panowie moralizatorowie, powiada-

cie: tak i tak, to i tamto, lecz ilu z was capnie ptaszka za kark i zaprowadzi do policji?

— Może masz słuszność.

— Ale wiesz jakby się zachowała policja?

— No?

— Uwolniłaby gałgana nawet nie spisując protokułu — oświadczył poseł.

— Ależ to cynizm ze strony pana posła.

— Nie, mój drogi, ja stwierdzam tylko istnienie choroby, która zginie dopiero ze śmiercią pokolenia złajdaczonego w niewoli.

— Cóżbyś, wobec tego, poradził np. człowiekowi, który np. posiadając ogromny majątek, pragnąłby go np. oddać ukochanej ojczyźnie, zasię ukochana ojczyzna znajduje się pod kuratelą takich Kotelskich?

— Musiałbym wiedzieć kto to taki oraz ile pragnie ofiarować ojczyźnie?

— No więc, dajmy na to, że ja i że miljon funtów...

— Miljon funtów... Opowiem ci pewną anegdotę. Pewien bardzo zamożny pan, wróciwszy niedawno z Ameryki, ofiarował sto tysięcy dolarów na ufundowanie ochrony dla sierot po żołnierzach poległych, kładąc za warunek, że państwo udzieli pod ochronę swego gruntu. A trzeba ci wiedzieć, że posiadamy dość dużo ziemi odebranej różnym generałom rosyjskim i niemieckim, nagradzanych majoratami na pol-

skiej ziemi. Całe miesiące minęły, zanim ów dobrodziej odszukał urzędnika, któremu przydzielono tę sprawę. Referent studjował najpierw rzecz dokumentnie i drobiazgowo, referował, proponował, przepuszczał przez wszelkie instancje, aż wreszcie po kilku miesiącach oznajmił ofiarodawcy, że ministerjum przyznało dziesięć morgów gruntu pod ochronę. Amerykanin nasz natychmiast pojechał obejrzeć habendę. Była to jałowizna na bagnie, oddalona 50 kilometrów od stacji kolejowej. Ofiarodawca obraził się na ukochaną ojczyznę, zwinął manatki i wrócił do Ameryki. Musiałeś już spostrzedz pewną najświeższą cechę polskiego charakteru, iż ludzie potulni dawniej i lojalni względem zaborców, jak baranki, o byle co dąsają się na ojczyznę. Bacz, aby ten twój miljarder również nie obraził się. Niechaj sobie wytapetuje ściany sentencją bardzo pożyteczną: „Jacy obywatele, taki rząd.“

Do sali bufetu sejmowego hurmem napływali posłowie. Sesja skończyła się. Twarze znużone. Obsiedli stoły i z poufałością gospodarzy zamawiali posiłek u fertycznych panienek. Ten i ów konspirował z sąsiadem, z uśmiechem złośliwości komunikując mu ostatnie posunięcia na szachownicy politycznej — a może tylko najświeższe kombinacje giełdziarskie? Większość jednak, większość nie zawodząca nigdy, spoży-

wała z niewzruszonym spokojem. Przy stoliczku w samym kącie usiadł polityk o twarzy cytrynowej, wyschnięty i, nerwowo szarpiąc binokle, suflerował coś dziennikarzowi notującemu skwapliwie. „Kresówki“ przebiegały z tacami, uśmiechem przyjmując figlarne zaczepki, albo marsem zdeklasowanej dumy odpierając nazbyt sielskie przymówki. Przeważnie jednak oblicza posłów przytłaczała ciężka, obojętna powaga, knująca coś w ukryciu, a może pokrywająca tylko pustkę doskonałą. Tam biegł jakiś młokos i, aby wiedziano, że poseł, wpakował sobie pięść w kieszeń. Naraz zjawił się chłop w butach palonych, z nosem dużym, węszącym — wieści najważniejsze bo znikąd, o spojrzeniu tak utajonem, że trudno je było złowić i przymusić do wyraźnej, jasnej postawy. Dyndając rękami, ociężałym krokiem zmierzał do stołu, a już gromadka dziennikarzy osaczyła go krzyżowemi racami spojrzeń. Były to na razie zwiady tylko, bo sejmowy potentat nie lubił nagabywań gawiedzi dziennikarskiej, ruchliwej i wścibskiej, podstępnej i natrętnej. Ówdzie prześlizgiwał się wśród tłumu, wijąc się wężowato, dostojnik kościelny w fioletach, o twarzy ascety i spojrzeniu lisa. Przemknął się, przysiadł tu, poszeptał tam i zczeznął jak mara. Mnóstwo kręciło się wszędzie czarnych sutann. Posłowie chłopi cichcem łykali gorzałę. Wielo-

ryby, najtężsi nurkowie morza politycznego, zrzadka ukazywali się na powierzchni i, przetrąciwszy coś szybko, gubili się w kurytarzach i zaułkach, kędy rozgrywały się walne turnieje. Za nimi to, za nimi śmigłe oczy dziennikarzy biegły na wyścigi, lecz chwaci omijali je wstydliwie lub wręcz odpychali opryskliwie.

— Mój drogi — ciągnął dalej Węgrzecki do Syrenia, obserwującego z ciekawością mechanizm tego piorunochronu Rzeczypospolitej — mój drogi, w pierwszych miesiącach było naprawdę źle. Do urzędów, do żandarmerji, do najtajniejszych skrytek aparatu państwowego wcisnęło się mnóstwo pospolitych zbójów, rzezimieszków, oszustów, których burza dziejowa naniosła nam niby chmury szarańczy. Nie mogliśmy poprostu dać sobie rady z tą szajką, która bezczelnie przyjmowała najzyskowniejsze posady. Państwo było niezorganizowane. Wczepił się taki ptaszek niebieski, niby kleszcz, i siedział. Była to mafja zorganizowana mocno, wspierająca się wzajemnie, groźna i niebezpieczna. Wówczas to czterdziestu ludzi uczciwych z różnych partyj zorganizowało stowarzyszenie tajne do walki z opryszkami. Nazwano je ironicznie „Herkulesem“, ale była to praca iście herkulesowa. Czyściliśmy przez długie miesiące i przynajmniej z grubsza zdarliśmy to robactwo. Naturalnie nie wszystko. Z grubsza,

z grubsza; i to złodzieji. Gorzej z matołami, a tych jest bez liku. W starych państwach rutyna zastępuje wrodzoną inteligencję. U nas rutyny jeszcze niema. Tak mój miljarderze! Państwa rozpadają się i budują wiekami. Popatrz-no! Widzisz tego mikrusa o krętych nóżkach i zamyślonej twarzy? Pomyślałby kto, że to statysta dumający nad dobrem publicznem, a to tymczasem poseł handlujący blankietami wywozowemi. Nakopi sobie majątek zanim udowodnią mu, że okrada państwo. Bo to łatwiej krzyknąć „złodziej", niż udowodnić! Szachraje sprytniejsi są od ludzi uczciwych i mają rozmach. Zauważyłeś pewnie, że ludzie uczciwi to zazwyczaj niedorajdy i miętoły. Zanim poczciwiec obejrzy się, już mu „klawisznik" świsnął kuferek z przed nosa. Szczepanowski był unikatem.

Węgrzecki pochylił głowę i zmarszczka niby cień zawisnęła na jego czole, ale wnet podniósł twarz spracowaną, wychłostaną przez wichury żywota ofiarnego i w jego oczach szarych zajaśniał płomyk. Trącił Syrenia w ramię:

— Pamiętasz, stary, jakeśmy to rwali pod Kielce w czternastym? A ten pierwszy strzał z Werndla, wymierzony w łeb krowiny, co to ją dłubinosek jakiś wziął w ciemności za patrol kozacki? Ha! Ha! A jak to ziemiaństwo kieleckie, szlachta nasza kochana nie chciała

nam dawać prowiantu, magazynując zapasy dla Moskala i Austrjaka, że trzeba było brać z bronkiem w garści? Ha! Ha! A dzisiaj, dzisiaj... Gdzie kanarki, fjoły, cary, cesarze? Ha! Ha! Stary! U lali, u lali na amen! Dzisiaj Polska a jaka jest, to jest. Będzie lepsza, coraz lepsza — będzie!

Węgrzecki uścisnął rękę Syreniowi i wstał.

— Powiedz swemu miljarderowi, że jeśli nie jest idjotą, to mu nietrudno będzie znaleźć lokatę dla kapitału. A zresztą! — machnął ręką. — Takie kapitały — pożytek niewielki. Ten kapitał, co rośnie z mozołu, ten Polskę zmuruje. Mózgi, chłopi, robotnicy, kapitał charakterów, jeśli...

Ale nie dokończył i ruszył. Wysoki, przygarbiony, odziany byle jak, przepychał się przez tłum i wydało się Syreniowi, jakby ten pracownik niestrudzony dlatego się przygiął, bo w jednej ręce trzyma worek z ziarnem a drugą sieje w te ugory ludzkie, od wieku zapuszczone...

Bufet sejmowy opróżniał się. Przy stołach tkwiło jeszcze po parę osób, zajętych głównie flirtem z panienkami. Czasem wybiegał ktoś z kuloarów, szybkiem spojrzeniem obganiał salę, jakby komuś, kogo szukał, miał przynieść jakąś wiadomość ważną, nie cierpiącą zwłoki i, nie znalazłszy go, tak samo prędko uciekał. Jeszcze gdzieś w kącie dolewał sobie ktoś

w ukontentowaniu sapiąc przytem a pocąc się pracowicie. U drzwi do kuchni przykucnęło kilka panienek rajcując na umór, ale zresztą spokój gnuśny, zaspany po pracy i po jedzeniu, owładnął jasno oświetloną salę.

Syreń, pożegnawszy paru znajomych, co wyczerpani emocjami walk po komisjach, kończyli dzień rakietami dowcipów i wzajemnych, przyjacielskich uszczypliwości, opuszczał już salę, gdy od właściwego bufetu spłynął nań gentleman. Gentleman — przeważnie z tego powodu, że wygolony, na różowiutko, jako też z powodu nienagannego kroju ubrania — głowę niósł górnie a spoglądał bystro i bezczelnie, niby kogut na płocie. Twarz rumianą, jakby obtoczoną krąglutko na brukach miast, obrócił na Syrenia i z pod binokli mrugał doń, ironicznie potrząsając głową:

— Ach nie poznajesz, nie poznajesz?

Syreń badał uważnie, ktoby to mógł być ten lśniący tłuszczem i czystością gentleman, tykający go z protekcjonalną swobodą.

— Hej — juhej — Juhecki...! — zapiał gentleman. Niech mu ziemia będzie lekką. Z pewnością na jego grobie bohaterskim kwitnie łoza winna.

Syreń poznał i podał rękę gentlemanowi. Był to Kegelbaum, redaktor „Kielni“ z owych dawnych, bardzo dawnych czasów.

— Juhecki? A cóż stało się z Juheckim?

— Jest na kolacji, jak powiada Hamlet.

— Nie żyje?

— Jak miljony bohaterów, do których i ciebie zaliczałem, — mówił Kegelbaum wciąż chichocąc i klepiąc Syrenia w łopatkę. Uniknąłeś jakoś — no! no! — mlasnął wargami — bohaterskiego dołu.

Kegelbaum obrzucił Syrenia taksującym wzrokiem.

— Kort angielski, autentyczny! Nosisz na sobie co najmniej dwadzieścia funtów. Znam się na tem. Zrobiłeś majątek? Ho! ho! — wojenka poobcinała idealistom skrzydła a nauczyła ich obcinać kupony, co jest bez wątpienia o wiele racjonalniejsze i przyjemniejsze.

— A tobie zaokrągliła brzuszek, Kegelku.

— I dlatego stałem się optymistą. Siadajże. Pamiętaj o trzech przykazaniach. Pierwsze — żołądeczek. Powinien działać niby werk zegarka. Drugie — to! — poklepał się po czole. Zaś jedno i drugie ożywia i pobudza — to! — W tem miejscu uczynił gest pekuniarny. Voila tout!

— A to? — zapytał Syreń szturchnąwszy Kegelbauma wielkim palcem w kamizelkę.

— Pod kamizelką? — Kegelbaum przymrużył oczy wyniośle. — Po tym ruchu poznałbym

cię na dolinie Jozafata. Jednakże ludzie nie zmieniają się nawet pod wpływem kortu — no! — no!

— Ty jednak, zdaje się, Keglu...

— Ja, ja? Ja rozwijam się normalnie. Od lewicy, odpowiadającej z natury rzeczy młodości, głupocie i płótnu w kieszeni sterowałem do centrum trzydziestoletniego, aby następnie zawinąć do portu złotodajnej męskości, króla rozsądku i majątku.

— Jesteś poetą.

— Tak, nowoczesnym poetą. Nigdy nie zapominam o rynku i o kierunku wiatru. Pieniądz, władza, siła — oto trójca moja.

— A czemże trudnisz się, poeto?

— Mówisz z ministrem siódmego mocarstwa, korespondentem do pism przeważnie zagranicznych. Eksport kalkuluje się lepiej, ale bez hurtowni w ojczyźnie brakłoby mi towaru na szmugel. Znam konto każdego posła i każdego ministra, wiem gdzie jada i z kim sypia, e r g o wiem wszystko i każde przesilenie przepowiadam na tydzień zgóry.

— Podziwiam cię.

— Podziwiaj i ucz się. Jeżeli posiadasz trochę grosiwa radzę ci rób teraz w cukrze. Pieniądz i siła jako się rzekło... są wszystkiem.

— Taką jest istota bolszewizmu. W rynsztok ideę, byle utrzymać władzę i pieniądze.

— Nie przerazisz mnie. Bolszewicy to inteligentni ludzie. Idea, podobnie jak komplementy wobec kobiety, służy dla zamaskowania i uwiedzenia, ale jak kochanek odurzywszy samiczkę, zrzuca w chwili właściwej ubranie i bierze się do miodu, tak samo postępuje dobry polityk. Znałem osobiście niektórych dygnitarzy bolszewickich jeszcze kiedy byli pauprami jak ja. Wyobrażam sobie jak dzisiaj używają darów bożych — co?

— O, tak! Widziałem ich przy korycie.

— Boski to musi być widok...!

— Zgoła bydlęcy, bądź pewien. Mlaskanie i chłeptanie przy akompaniamencie mordowanych rozlega się na cały świat.

Kegelbaum obmacał Syrenia wzrokiem badawczym.

— To ty naprawdę pozostałeś romantykiem? Z tym brylantem w krawacie?

— Nie wiem, Kegelku, co nazywasz romantyzmem, ale to, co ty mówisz, brzmi jak seplenienie staruszka. Musiało cię życie tęgo wymaglować.

— Bądź spokojny, dzisiaj ja magluję. Mam lat czterdzieści i ani jednej zmarszczki.

— Bo należysz do organizmów, które Kostucha zmiata jednem machnięciem kosy. Ciach — i już! Serce jest twoją piętą Achillesa, Keglu.

— Nie powiem, żebyś był delikatny.

— To właśnie interesujące, że wszyscy mocarze twego stempla denerwują się, gdy przypomnieć im śmierć.

— Ty się tylko nie boisz?

— A ja mam ją wciąż przed oczyma i dlatego w słowach, poglądach i cynizmie takich, jak ty, czuję głupotę, pustkę i strach. To tak jakby wam się wydawało, że policjant i złoto ocalą was od konieczności wejścia w bramę wieczystą i dlatego wszelkie wasze kombinacje, wasza postawa życiowa pryska w nic, gdy surowa powaga życia do was zagada. Tchórzostwo jest źródłem waszej filozofji i dlatego jesteście marni i nikczemni, a w historji odgrywacie rolę histrjonów, jak wszyscy tchórze i cynicy. Świat rodzi się z ducha, z nieskończoności płynie w nieskończoność...

— Jesteś mistykiem — przerwał Kegelbaum.

— A ty nożowcem w modnym garniturze — odparował Syreń, wstając. Bądź zdrów, Alfonsie. W chwili śmierci gorzko zapłaczesz nad sobą i nad światem, ale będzie to już zapóźno.

V.

Syreń wyszedł z Sejmu rozdrażniony i niespokojny. Od północy dął wiatr natrętny i złośliwy, niósł kłęby pyłu i, szepcąc zgrzytliwie, szeleścił i potrząsał śmieciem ulicznym. Pochwycił i Syrenia w swe wiry, wcisnął się w duszę niecąc nieład i wzmagając zdenerwowanie. Zdawało się Syreniowi, jakby się jego zwoje mózgowe rozkręcały a kości wymykały ze stawów. Stracił poczucie wagi i miary. Wyszarzałe czworoboki martwych kamienic, zbrudzone mrokiem wieczoru, napawały go obrzydzeniem a ludzie śpieszący płochliwie, skwaszeni i zniechęceni, podobni byli do koślawych cieni. Tramwaj szpetnie brudny wlókł się jak pies wyleniały, cherlawy, zdychający.

Z archiwum duszy wyłonił się i przemknął obraz kawiarenki przy bocznej ulicy Wielkich Bulwarów paryskich, gdzie Syreń spędził jeden wieczór ze swoją rozkoszną gryzetką. Rozdokazywanej dziewczynie zachciało się zaimprowizować taniec. Zerwała z siebie kostjum i w różowych trykotach, jak w obłoku, tańczyła, całusami i uśmiechami częstując wszystkich

obecnych oklaskujących ją wesoło i serdecznie. Nikt się nie gorszył i nie wstydził. Mężczyźni żartowali a panie uśmiechały się pobłażliwie i uprzejmie.

Syreń przychwycił się na oszustwie. Ażury, kwiatki, szampan, vogue la galere... byle zapomnieć... Dobre to dla młodzieniaszka albo dementyka. „Djonizyjski szał“, byle nie myśleć o tem, że każdej minuty tysiąc ludzi umiera, tysiąc kul zbójeckich rozszarpuje wnętrzności ludzkie a dusze z przestrzeni gwiezdnych spływające na ziemię pozdrawiają ją krzykiem cierpienia. Zapomnieć, że konieczność oręduje światu niby anioł o twarzy z czarnego marmuru i ślepych a niemiłosiernych oczach.

— Myśleć! — właśnie myśleć! Właśnie wiedzieć i wyobrażać sobie wszystką dolę ludzką od pierwopłazu aż do Chrystusa i od Napoleona do — Dzierżyńskiego. Nie mamić się niczem i do dna spełnić kielich, a na dnie samem znaleźć tajemniczy gram radu, wrącego energją nieśmiertelną. Kegel? — Cóż Kegel! Skopany, nieszczęsny pies. Służy temu, służy owemu. On jest biedny i boi się, przedewszystkiem boi się... Więc gdy mu wpadnie w rękę kańczug — mści się. Skoro ludzkość słońce potęgi swej rozpromieni, wtedy i Kegle zajrzą w siebie i odkryją gram radu.

— Ale tyczasem ja. — Ja! — Ja! — do krocset. — Ja!

— Ty? — Sam w sobie musisz odszukać. Skoro nie pozbawiłeś się życia za młodu, skoro żyjesz i chcesz żyć — wiedz, że do ziemi obiecanej ty, taki, jaki jesteś teraz, nie wejdziesz. Ale czujesz jak popod osadem goryczy i zwątpienia pełga ziejąc promienie niewidzialne dla oka? Rad! Perpetuum mobile ducha! To nie zwodne iskry złota w Pałacu Zimowym, to nie smok złudy — ale iścizna, miłość poprzez śmierć, nędzę, chorobę, wojnę! Któż wyrównał krzywdę męczeńskiego narodu, jeśli nie ona? Kto? Zgraja idjotów, którzy co innego zamierzali a co innego wykłuło im się pod rękami w tyglu wojny światowej? Któż jeśli nie Duch świata słoneczny prześwietlił krwawiące pożogi i stanął ognisty, widomy dla oczu — tęczą nadziei —? I cóż, że go szatan północny zakrył krwawą szmatą? Tyś go dojrzał jak zstępował z błoń gwiezdnych na ziemię i palce w jego rany włożyłeś... Przysłuchaj się! Wniknij! Patrz!... drga...! W łonie ziemi, w głębinach ducha formowany przez wieki nieogarnione — drga i jest! Czemuż go nie dostrzegasz w tej chwili? Wichry wieją takie i owakie, stąd i stamtąd, lecz on trwa a wiedzący mnożą go, aby stał się jak słońce, by go nawet Kegle

i Kotelscy kiedyś objęli i uwielbili, jak wielbią rad, znaczenia jego nie pojmując.

— Cóż się trapisz o nich, trap się o siebie...!

Szkielet domu wybudowanego do połowy zagrodził Syreniowi widnokrąg. Przez jamy puste okien czerniły się belki żelazne pułapów oddzielających cele. Ciemność jałowa gnuśniała w przestrzeniach zamkniętych, przeznaczonych dla istot, co w tych kazamatach będą żyć, kochać się, rodzić. Ponura cegła warstwami zimnemi odgraniczała kwadraty i prostokąty od świata. Przez mroczną gardziel sieni widać było wąskie, głuche podwórze, które nie dopuści światła i powietrza. Trumna pospólna.

Syreń doznał nagłego olśnienia. Już wie, tak, już wie, co uczyni, na co obróci swój skarb! Domy będzie stawiał, domy przejrzyste, niby koronka, wypromienione szkłem, rozgrzane zielenią, nasycone powietrzem. Pobuduje kołyski dla dusz ludzkich, niby drzwiczki na kwiaty, zwilżone dżdżem niebieskim, napełnione ziemią pulchną, wygrzane przez stwórcę-słońce. Domy dla ludzi! Domy dla ciał i dusz! Schronienia przed siłami konieczności i kolebki piękna. Ludzie byli dotąd niby krzaki róż więdnące w piwnicach. Od pięknych domów rozpocznie się nowa epoka. Odrodzenie musi zacząć się od kołyski!

Ukoiła się dusza Syrenia.

Wiatr północny kulił się teraz u jego nóg jak wyżeł zmiatając ogonem puszystym kurz i śmiecie. Postanowienie wpadło w omroki duszy i niby kula ognista zalało je światłem. Nareszcie ruszy z martwego punktu, na którym stanął od czasu powrotu.

Tak! Domy! Miasto całe wzniesie niby oazę, gdzie popasają wędrowcy, by zaczerpnąć sił na podróż daleką. Kolebkę społeczeństwa przyszłego, które dzisiaj zabijane jest przez wilgoć, cień i brud. Ustanowi prawidła budowli nowoczesnej, niby owo prawo wieńcówki wrodzone dłoni cieśli polskiego. Przez ciemności czasu wydrąży tunel, kędy lunie światło z niewidzialnej jeszcze dla ogółu przyszłości. Stworzy turbinę potężną, która puści w ruch koncentrujące się i niezużyte od wieku masy energji duszy gromadnej, zapleśniałej i niewolnej. Wyzwoli entuzjazm, radość twórczą, wiarę w życie!

Wzniesie miasto - słońce, miasto - przyszłość!

Deszcz chlustał z nieba popielatego, pałającego rudą łuną nadmiejską, lecz Syreń go nie czuł. Brnął chodnikiem wpatrzony w swe miasto dźwigające się w wyobraźni różowiejącemi kubami budowli.

Nie zauważył nawet kiedy znalazł się przed drzwiami pokoju swej żony:

— Julek! — zawołała ze ździwieniem.

— Co?

— Jak ty wyglądasz? Gdzieżeś ty chodził?

— A — to nic! — rzekł przyciskając jej dłoń z czułością, która ją zmieszała. Wtedy objął ją i ucałował w oczy. — Już wiem napewno — mówił wzruszony. Jestem jak Archimedes, gdy trafił na punkt oparcia.

— Ale on nie trafił przecie.

— On nie, ale ja trafiłem.

— Co tatuś trafił? — zaseplenila Julcia, wysuwając głowę z pod kołdry.

Wziął główkę dziecka na rękę i mówił:

— Znalazłem na ulicy słońce wielkie, jak twoja główka. Leżało sobie pod murem i świeciło.

— A gdzie masz to słońce?

— Schowałem w kieszeni.

— E, tatuś bla. Piłsudski jeden bandyta także schował koronę i nie chce pokazać nikomu.

— Co ty pleciesz, Julciu?

— Nie zważaj na to — wtrąciła się matka. Musieli jej znowu coś nagadać w szkole i dziecko powtarza.

— W szkole?

— No tak. Takie to szkoły...

— Nie wiedziałem. Trzeba będzie tam pójść...

Kąciki ust dziewczynki ugięły się płaczliwie.

— No nic, kotku — pogładził małą po wło-

sach i ucałował ją. Śpij a my z mamusią pójdziemy. Za to tatuś przyniesie ci jutro ładną lalę.

Ujął rękę żony:

— Tylko nie sprzeciwiaj się. Trzeba się nieco rozerwać. Julcia pozwala?

— Takom duzom, coby mrugała oczkami?

— Będzie nawet mówiła.

— No to idź, mamo. Jak się Staś obudzi, to mu dam klapsa i będzie spał albo zadzwonię na Józefową.

Syreń uśmiechnął się rzewnie i zawołał:

— Zakwitnął?

Krzaczek cyklamenu wypuścił z jednej gałązki ponsowe motylki kwiatu.

— To ten, co go przyniosłem drugiego dnia po powrocie?

— Ten... Julcia zobaczyła popołudniu i aż klaskała i piszczała z radości. Rozwija się. Dobrze mu tutaj... dodała Stasia, spoglądając na męża.

Cichy spokój promieniał od Syreniowej. Z dawnego przemęczenia pozostała tylko zmarszczka na czole, ale twarz wyglądała świeżo, oczy błyszczały. Gorące wargi nieco rozchylone ukazywały rząd białych, zdrowych zębów a pełne ramiona i łagodnie rysująca się linja bioder świadczyły o jędrnej dojrzałości kobiecej.

Przeniósł oczy z kwiatu na nią:

— Tak właśnie...

— Co mówisz?

Zamknął jej wargi pocałunkiem. Omdlewającym ruchem wsparła się o niego i tak rozkoszowali się kwiatkiem ciemno-ponsowym na tle gąszczu żyłkowanych liści.

— Mamusiu! — przywołała ją mała.

Oczy dziecka bronzowe, jak u matki, były w tej chwili szerokie, świetliste. Objęła matkę za szyję i skierowała myślące spojrzenie na ojca, który nachylił się nad niemi. Drugą rączką gładziła policzki ojca.

Spoglądali na siebie w milczeniu. W kącikach oczu Syreniowej zalśniła łza szczęsna i toczyła się powoli. Ocierając ją zawadziła okiem o chłopca spokojnie oddychającego na drugiem łóżku i dreszcz zwichrzył jej twarz, ale Syreń wziął rękę żony i tulił ją pieszczotliwie. Obróciła nań swą twarz mieniącą się wzruszeniem i zaciągniętą obłokiem rzewności:

— Jakbym dzisiaj zobaczyła cię pierwszy raz — rzekła.

Wyściskawszy się z córeczką „na dobranoc“ zaczęła się ubierać. Syreń gaworzył tymczasem z małą. Długo trwały układy, z których wyniknęło, że lala Julci, dotąd przedmiot zazdrości małego, zostanie przeniesiona na rachunek chłopca i złożona na stołku naprzeciw-

ko śpiącego, aby obudziwszy się z rana mógł odrazu stwierdzić wielkość swego szczęścia. Przytem tatuś zdradził małej tajemnicę, że oprócz tego braciszek jeszcze coś otrzyma a mianowicie dwa pudełka żołnierzy, co przez kontrahentkę zostało przyjęte z uznaniem.

Syreniowie udali się do hotelu, gdzie on wciąż jeszcze mieszkał.

— Że też nie mamy swego mieszkania — żaliła się. Ty się tłuczesz po hotelach, ja znowu sama z dziećmi...

— Będziemy mieli jeszcze tego lata.

— Tego lata?

— A tak. Ruszę moje kapitały a wtedy życie dokoła nas rozpędzi się. Dopiero dzisiaj stanąłem na twardym gruncie realizacji. I czuję jeszcze coś...

Spragnioną dłonią otulił jej kibić. Oparła się plecami o poręcz otomany i w rozkosznem, biernem przyzwoleniu przymknęła powieki. Przywarł do jej piersi wargami a ona wplotła się weń i, przylgnąwszy jak fala do fali, wybuchnęła namiętnie:

— Co każesz, to zrobię. Każesz — odejdę, zażądasz — wrócę. Należę do ciebie, bo zawsze byłam tylko twoją. Ty Jul, ty Jul, ty Jul — szemrała taczając po nim głową jak nieprzytomna. — Każesz — wyskoczę przez okno.

Kocham cię, jak na początku. Wynagrodzona jestem za lata cierpienia. Kocham...

Syreń wstał, otwarł żelazną kasetkę i wydobył z niej naszyjnik brylantowy, który zakrzyknął ogniście rojem iskier, bujnością barw, migań i błysków drgających. Zbliżył się do żony i, rozpiąwszy kolję zawiesił ją na jej szyi.

Zdumiona zawołała:

— Co robisz, Jul?

— Oddawna był przeznaczony dla mej żony, jeśli ją odnajdę. Dzisiaj właśnie wróciła do mnie...

Gdy nad ranem weszli do pokoju Stasi, posługaczka już ubierała dzieci. Syreniowa śpieszyła na lekcje, bo mimo namów męża, nie rzuciła ich, a Syreń odprowadził Julcię do szkoły, aby przy tej sposobności poinformować się o systemie pedagogicznym, stosowanym na „pensji".

Szkoła mieściła się w kamienicy stylu warszawskiego, czyli poprostu w budzie ceglanej, skleconej bez jakiegokolwiek względu na ludzi. Drewniane schody, oplute, zaśmiecone i ciemne nasuwały przypuszczenie raczej o jakiejś spelunce podejrzanej niż o „świątyni wiedzy". Zawilgłe, tłuste plamy na ścianach, piwniczny chłód i ciężki odór poczekalni oraz sali gimnastycznej napełniały melancholją. Brudne, jakby nigdy nie myte okna wyglądały na podwórko,

które łacniej możnaby wziąć za loch katowni, niż za rezerwoar odświeżającego ozonu, chociaż o takiem jego przeznaczeniu świadczyły schorzałe badyle akacji, zakutej w kraty. Syreń wlókł się z Julcią przez mroczne i niechlujne zakamarki, ciekawie śledzony przez stada dziewcząt, kręcących się szczebiotliwie jak rozproszone gołębie. W każdej wnęce migała przed statuetką Matki Boskiej lampka oliwna, więc Syreń nie chcąc gorszyć ofiar nabożnej pedagogiki wędrował z głową obnażoną oglądając twarzyczki dzieci, dziewcząteк i panien, których ślepki jarzyły się na zielonkawych twarzach niby robaczki świętojańskie na liściu.

Z jakiegoś schowku wyłoniła się niewiasta wyniosła niby topola jesienna, oskubana z liści, w sukni poniżej obcasów i powyżej uszu. Umocowawszy binokle na siodle nosa przebiła najpierw Syrenia owa miotła pedagogiczna szpilkami złości, poczem zainterpelowała głosem uprzejmym jakoteż inteligentnie:

— Co pan uważa?

— Uważam, moja pani, że posiadam córkę, którą właśnie prowadzę.

— Moja pani! Też f a c o n d e p a r l e r . . . !

— Och, przepraszam. Istotnie nigdy nie pragnąłbym, aby pani należała do mnie.

— Impertynent! — prychnęła kocica i, odpę-

dzając dzieci zwabione djalogiem, zaskrzypiała: — Wojciechu!

Na to wołanie wynurzył się z półmroku chłop kudłaty, w czapie baraniej, rasy — sądząc z czekoladowej barwy naskórka — murzyńskiej. Kroczył obzierając się zresztą poczciwie, jak kundel gospodarski, a w ręce dzierżył dzwon wielkości sygnaturki.

— Dzwonić! Kwadrans po ósmej! Zaspaliście czy co? Dzieci do klas. Dzwonić powtarzam!

Woźny melancholijnie kontemplując nosek albo raczej nochal swego buta, ciekawie rozdziawiający się na podobieństwo archeopteryksa, pomrukiwał coś ospale, najwidoczniej nie biorąc sobie do serca poleceń damy. Wkońcu jednak wyjął palec z nosa, narzędzie podniósł w górę i machnął z taką siłą, że dzwon tak nagle zbudzony zerwał się z trzonka i wśród lamentacyj żałośliwych pokoziołkował. Srodze tą swawolą dzwonka zgorszony Wojciech opatrywał go ze wszech stron z oburzeniem, podczas gdy na korytarzu rozległ się straszliwy pisk, śmiech i ryk triumfu. Patrole dziewcząt odkomenderowane na korytarz, roztelegrafowały błyskawicznie po klasach wieść o klęsce Wojciecha, gdyż naraz cała kamienica zawrzała od dzikich śmiechów, wrzasków i okrzyków. Dama, dostrzegłszy na ustach Sy-

renia filuterny uśmieszek, przekłuła go spojrzeniem nabożnem na wylot i w kilku susach wielbłądzich popędziła w głąb niby strażak do pożaru. Jakiś ksiądz przeleciał unosząc sutannę, jak baletnica, jakiś belfer przesunął się flegmatycznie z termosem w ręku, a kamienica wciąż wrzeszczała niby ptaszarnia w ogrodzie zoologicznym. Tylko Wojciech dalej badał dokumentnie przyczynę katastrofy.

— Niedołęga przeklęty!

Syreń, usłyszawszy za sobą te słowa skrzydlate, odwrócił się i zobaczył damę niską i drobną, jak mysz, w ciemnej, długiej sukni, z rzadkim, szpakowatym już zarostem na podbródku i świecącemi oczkami. Żując szczękami osóbka ta piękności niewymownej krzyczała na woźnego, który w odpowiedzi ruchem pokornym wetknął łapę pod czapę i drapał się wielce uniżenie.

— Bo to proszę panny przełożony śniły my się karaluchy w maśle a to, nazywa się, nieszczęście jest. No i prawda. Dzwonek rozłupał się na amen.

— Karaluchy w maśle? — zainteresowała się. To źle. A pan tu co robi? — zwróciła się płaskim frontem do Syrenia.

Ukłonił się.

— Ja nic w tej chwili nie robię, jak szanowna pani widzi.

— Obcym wstęp surowo wzbroniony, zwłaszcza płci męskiej! Czarne na białem.

— A do jakiej płci zalicza pani rodziców swych wychowanek?

Panna przełożona, zdążywszy już ocenić postać i ubranie przybysza, zaskwierczała znacznie już łagodniej:

— Czem panu mogę służyć?

— Własną osobą.

— Jak mam to rozumieć? — nasrożyła się panienka.

— W przenośni. Pragnąłbym z panną przełożoną pomówić o mej córce, co w tym zakładzie kształci swój umysł i serce. Jestem Syreń.

— Zaraz wrócę, bo sam pan widzi, co się dzieje. Prawdziwa katorga! Chwilę tylko niedopatrzeć a wszystko wywraca się do góry nogami. Już biegnę. Wojciechu zaprowadźcie pana do mej kancelarji.

Ale zanim ostatecznie odeszła, odwróciła się jeszcze raz i zapytała woźnego:

— Czy aby tylko nie w śmietanie, Wojciechu? Bo w śmietanie, to strata pieniężna.

— One karaluchy? Ani ni, panno przełożona, w maśle! Tak się boćkały i wyraczyły na mnie ślipki brzydkie.

Ale panna przełożona, nie dosłuchawszy odpowiedzi, podyrdała truchcikiem.

Syreń przestudjował już wszystkie święte

obrazy w kancelarji przełożonej, poczem zrobił rewizję i skonstatował istnienie kupek śmieci po kątach i właśnie zabierał się do odczytywania „laurek“ zalegających całemi stertami odrapany stolik, uświetniony przytem powiększoną fotografją przełożonej, gdy „ta ostatnia“ właśnie wpadła. Była już spokojna, ale niezmożona ruchliwość, tak właściwa płci pięknej, nie opuszczała jej na chwilę. Chytrze przymrugując sobie oczkami zatrajkotała od progu:

— Ach jakaż to miła dziecina, jaka słodka, córunia pańska.

— Bardzo miła — przytwierdził Syreń.

— Przykro mi było, że w roku przeszłym musiałam zagrozić jej wydaleniem, jeśli nie zapłaci wpisowego. Sama płakałam, ale cóż było robić, co? Szkoła nasza pod wezwaniem Najświętszej Panienki — tu dygnęła w stronę obrazu — nie otrzymuje żadnych subsydjów od tych masonów.

— Masonów?

— Od tego rządu koniokradów...

— Tak, tak...

Płomień strzelił z oczu panny przełożonej:

— Antychryst nami rządzi... panie kochany... Łotry, bandyci, wisielcy!

— Antychryst — ze współczuciem potakiwał Syreń. Właśnie o tego Piłsudskiego...

— O, niech pan będzie przekonany, że to się skończy! — oczy jej rozgorzały fanatycznie.

— A wierzę. Ile też wychowanic liczy sobie panna przełożona w swym zakładzie?

— Około czterystu.

— I wszystkie płacą?

— Naturalnie. Inaczej musiałabym szkołę zamknąć.

— Ja panu przysięgam na tę Marję Pannę, że dokładam. Gdyby nie miłosierdzie ludzkie, które zawdzięczam opiece najświętszej, poszlibyśmy z torbami. Sam lokal...

— Ależ kamienica stanowi przecie własność pani?

— Ach, panie kochany, co tam teraz domy dają? Wiadomo. Rząd...

— W każdym razie lokal panią nie kosztuje.

— A remont?

Syreń parsknął pannie w nos:

— Remont? Przecie ta buda gnojem i brudem zarasta.

Przełożona skoczyła z krzesła niby polna kobyłka.

— To nie szkoła — mówił chłodno Syreń — to pralnia do prasowania dusz dziecięcych.

— Pralnia?! — pisnęła.

— Gorzej. Czerezwyczajka moralna. Przychodzę właśnie po to, aby odebrać stąd moją córkę.

— A dobrze! dobrze! — jak najprędzej! — dyszała panienka. Ale najpierw zapłaci mi pan...

— Nic nie zapłacę.

— Nic? — zobaczymy. Podam do sądu.

— W takim razie ja panią oskarżę o uprawianie w szkole agitacji bolszewickiej, o zatruwanie dzieci nienawiścią i oszczerstwami — a to panią zrujnuje.

Jej rozpalone oczka latały bezładnie a fioczki siwych kosmyków spuściły się na czoło. Jedną ręką odgarniając je nerwowo, drugą celowała w Syrenia, wołając: apage! apage!

— Odejdę, menado — oświadczył Syreń! Tylko proszę mi przyprowadzić dziecko.

V.

W sąsiedztwie swego miasteczka rodzinnego Czypławy nabył Syreń sto pięćdziesiąt morgów gruntu, przeważnie lasu, — na wzgórzu zwanem: Przybyszówka—i natychmiast przystąpił do budowania osady, której nadał imię: Słońców. Zanim jeszcze główny architekt, Kurzyna, dzięki protekcji Węgrzeckiego naczelny budowniczy Słońcowa, miał czas wygotować plan całości, rzucono do stacji kolejowej Czypławy wąskotorową kolejkę, przeznaczoną do transportowania budulca, kamienia ciosowego, cegły, żelaza i cementu. Na prędce zbito parę szałasów dla stróżów, oraz zlepiono z pruskiego muru dwa domki na kancelarje przedsiębiorstwa i dla Syrenia, zdecydowanego mimo chłodów, nadciągającej dopiero wiosny, zamieszkać tu, aby skoncentrować swe siły dla wielkiego planu i pańskiem okiem konia tuczyć. Żonę z dziećmi zostawił na razie w Warszawie obiecując, że na jesień otworzy w Słońcowie szkołę dla dzieci robotników pracujących przy budowie a kierownictwo jej powierzy Stasi.

Pracowity ruch na Przybyszówce uczynił

w Czypławie wrażenie piorunujące. Jednakowoż ludność miasteczka napół zrujnowanego podczas wojny z niedowierzaniem przysłuchiwała się zrazu pogłoskom o powrocie Syrenia, który — jak niosła plotka — sposobem paskarskim zbiwszy w Rosji majątek, zamierza sobie wystawić pałac. Zły los oddawna już pastwił się nad Czypławą. Kto po cierpieniach straszliwych wojny, po nieszczęściach okopów, po mękach obozów koncentracyjnych wyszedł jako tako cały, ten, zanim miał czas rozejrzeć się w tym nowym dla siebie świecie, zabliźnić bodaj po wierzchu rany, zebrać myśl, aby coś radzić, ujrzał przed sobą przepaść bezrobocia powojennego, tej martwoty cmentarnej, jaka ogarnęła cały świat produkcji i Polskę opędzającą się na dobitkę wciąż swym rozlicznym wrogom. Ostateczna groza zajrzała życiu ludzkiemu w oczy. Z tęsknotą spoglądali ludziska na kominy kilku cegielni, tartaka, garbarni i małej huty szklanej. Ale kominy czerwieniły się w osamotnieniu posępnem, niby maszty zgruchotanego okrętu. Chociaż miasteczko do połowy leżało w gruzach, nikt nie zabierał się do odbudowy. Wiele domostw poszarpały armatnie pociski na dwoje i te stały albo pustką albo, w najlepszym razie, zostały przez kobiety zamienione na szatry cygańskie. Głodowa nędza zionęła z tych jam nieprzytulnych, zimnych i ob-

umarłych. Niewiadomo było od czego i z czem zaczynać, bo kilkudziesięciu obywateli zamożniejszych, co mogli byli dać na to kapitał, założyło ręce na brzuchach — paskując — jako że produkcja „nie kalkuluje się“. Nie było co jeść, nie było co włożyć na siebie, nie było rady nijakiej na te wojny nie kończące się, na głód i mór. Bo i choróbska runęły na ludzi wyschniętych, pozbawionych szpiku w kościach, zmaltretowanych i ujeżdżonych przez tyloletnie okropności. Żal, strach i zgryzota wyzierały z oczu, choroba wisiała na zbielałych wargach, bezrada niby zimnica rozłaziła się po gnatach zbolałych.

Tak mijały miesiące za miesiącami niby wiedźmy robaczywe, tak minął rok jeden i drugi, a ludność czypławska znikąd ratunku nie widziała. To też nad miasteczkiem zawisnęła groźba ostatecznego unicestwienia.

Aż tu pewnego dnia historycznego gruchnęło, że na Przybyszówce jest robota. Istotnie paruset ludzi odrazu znalazło tam pracę. Dwa wężyki kolejki dojazdowej zrosiła niejedna łza wzruszenia i, chociaż Syrenia nikt jeszcze nie widział ani u Fary ani u Bernardynów, niejedno westchnienie dziękczynne wzniosło się tam za nim do Boga z wychudłej piersi kobiecej, zwłaszcza matczynej. Owi tracze, cieśle, „fabrykanci“, ślusarze, strycharze, wyrobnicy po-

czuli, że znowu są potrzebni i kiedy po raz pierwszy udali się na robotę do Słońcowa, miasteczko jakby się zaczęło przeciągać i prężyć swe członki obolałe przez tyle, tyle czasu, że już zapomniano, iż kiedyś było inaczej i nie wierzono, aby w przyszłości mogło być lepiej. Mocna dawka złota zastrzyknięta przez Syrenia przywróciła schorowanemu ciału miasteczka siły, dźwignęła je z łoża niemocy i beznadziei. Sam nawet Syreń, znając przecie dobrze tę przeklętą a czarodziejską właściwość pieniądza, dziwował się zmienionemu obliczu swego gniazda rodzinnego, co dotąd powleczone siną bladością choroby śmiertelnej, naraz jęło nabierać kolorów, dychać i spodziewać się.

A kiedy jeszcze brygada robotnicza przekonała się, że Syreń nie wyzyskuje, ludzie sercem stanęli przy nim. Szczególniej pozyskał ich sobie odrzucając system pracy akordowej proponowany przez Kurzynę, a nie przyjął go nie dlatego, jakoby nie uznawał słuszności tej zasady, ale że widok wielu śmiertelnie wycieńczonych robotników kazał mu tak postąpić. Jakże miał popędzać ich biczem rywalizacji, naciskać sprężynę chciwości, w każdym z nich poszczególnie rozpętać zaciekłość i radość roboty celowej, tkwiącej w człowieku, skoro litość i wstyd za ludzkość niecił w nim żałosny obraz twarzy pooranych dołami głodu i poza-

padanych brzuchów. „Niechaj się najpierw najedzą a potem zobaczymy“ — rzekł do Kurzyny. Ta rozmowa, o której zwiedziała się jakoś brać robotnicza, zjednała Syreniowi serca. Ale dlatego właśnie każdy wysilał się, ile mógł. Robota wrzała w lesie, po składach i na kolejce, a kiedy po kilku tygodniach gramofony jęły pracującym przygrywać skocznie, to nieraz pieśń huczna, wesoła roznosiła się echem po lesie, trykając echem aż o zgorszone łby łyków czypławskich. Znacznie, coprawda, do tej ochoty roboczej przyczynił się również „system rodzynkowy“ Kurzyny. Inżynier, zorjentowawszy się wkrótce przy pomocy podmajstrzych, jakim materjałem ludzkim rozporządza, wybrał co tęższych w robocie i porozsadzał między ospałych i leniwych, aby ich „podciągnąć“. Podstęp był niewinny i Syreń go zaakceptował.

Tymczasem wśród łyków czypławskich rozchodziły się niestworzone plotki. Syreń bowiem nikomu z notablów i ulęgałów miasteczkowych nie złożył wizyty. Nie ujawniał też nikomu swych planów — tylko parł inżyniera i podmajstrzych do intensywnej pracy. Ale gdy w pierwszych dniach kwietnia błysnęła na tle lasu wielka tablica z napisem: „Słońców, roboty prowadzi inż. Kurzyna i Sp.“ zdumienie graniczące z przerażeniem ogarnęło łyków,

matadorów i gulonów czypławskich. Dzień w dzień łyki ciągnęły szosą, aby sprawdzić, czy tablica rzeczywiście stoi. Ale gdy stwierdzono, że dniem i nocą walą na „Przybyszówkę“ wózki i furmanki naładowane materjałem budowlanym, podejrzliwość rozpuściła swe macki niby galaretowata, kleista meduza morska. Ten i ów usiłował dobrać się do Syrenia, nie wychylającego się poza obręb swej włości, aby zasięgnąć języka, spenetrować coś, wywęszyć, ale dziedzic Słońcowa nie dopuszczał do siebie nikogo oprócz zgłaszających się robotników i dostawców.

Wkrótce też zaroiło się od plotek i bajęd, krążących dokoła jego osoby. Przypomniano sobie, że jest on obywatelem czypławskim, że tu się urodził, tu przed wojną belfrował w gimnazjum, tu się ożenił a potem na rok przed wojną zniknął ze skandalem „puściwszy kantem“ swą żonę z dzieckiem. Z upodobaniem zwłaszcza gdakano po „bawialniach“ i handelkach na temat romansu Syreniowej z Granowskim i gorliwie roztrząsano „problemat“, jak też to ułożyły się właściwie teraz stosunki ich małżeńskie. Ale ponad wszystko budziła namiętną ciekawość tajemnica majątku, który w miarę gromadzenia materjałów urastał do rozmiarów bajecznych. Pośród zasiedziałych Czypławian szumiało jak w gnieździe szczypawek. Obra-

żeni niedostępnością Syrenia i jego wyniosłą obojętnością, jęli rozpuszczać niestworzone pogłoski i oszczerstwa, jakie im dyktowała zawiść i wściekłość. To właśnie, że go nie znali i nie rozumieli, burzyło ich żółć, bryzgającą weń wyzwiskami oraz insynuacjami. Wreszcie zjawił się w Słońcowie nawet sam pan naczelnik policji czypławskiej, który jednak przekonawszy się, że Syreń posiada dokumenty wszelkiego gatunku, koncesje na budowę i t. p. a ponadto zauważywszy jakieś blankiety i papiery w języku angielskim, zrejterował „padając do nóżek“, przejęty szacunkiem i zgrozą, pocący się czołobitnością. Zorjentowawszy się, że go w żadną piętę formalną żadnym sposobem ugryźć nie potrafią, bo obwarował się przed nimi, jak drutem kolczastym, znaleźli wkońcu określenie, które na razie przynajmniej ukoiło ich rozjątrzone i zawistne wścibstwo — a mianowicie nazwali go warjatem. Niemniej rozciągnęli nad Słońcowem jak najgęstszą sieć czujności.

I rzeczywiście zaczęło wkrótce wyłazić szydło z worka w postaci drobiazgów i faktów nieznanych i niesłychanych nigdy ani tu, ani w najdalszych nawet okolicach. Robotnicy zeznawali, że Syreń spotkawszy się z nimi ściska im ręce. Ulęgały czypławskie kiwały na to porozumiewawczo cebrami swych głów. Ba! wda-

je się — zeznawali ciż — w pogawędki z robotnikami, wypytuje ich o sprawy rodzinne, majątkowe, mieszkaniowe. O! — tej wiosny miała opinja czypławska roboty co niemiara! Wciąż napływały ze Słońcowa wieści znamienne. I tak np. dnia pewnego zadymiła tam kuchnia polowa, objeżdżająca tereny budowlane w porze rannej i wieczornej oraz częstująca robotników kubkiem kakao i partyką chleba z konfiturami — z konfiturami! I to za darmo! Teraz dopiero cebry zachlupały zgodnie: „widzisz go! — so - cy - ja - li - sta!“ Teraz dopiero domacano się korzeni przyczyny, dlaczego to Syreń inżyniera z pomocnikami ściągnął skądś zdaleka, pono aż z Warszawy! Teraz wiadomo! Nie chciał, aby opinja zaglądała mu w karty.

Ale gdy odkrył wreszcie te karty, dopiero czypławskie ozory rozklekotały się! Dotąd bowiem dokonywano w Słońcowie tylko robót ziemnych, niwelując grunt pod fundamenty i gromadząc z pośpiechem przerażającym całe pociągi materjałów. Nikt jednakowoż nijak wyspekulować nie umiał, po jakiego licha Syreń kazał ryć, kopać, wiercić w kilkudziesięciu punktach odrazu? Aż tu pewnego majowego dnia rymnęło jak z armaty, iż wziął się on poprostu do masowej budowy domów, o czem dokumentnie świadczył fakt niewątpliwy, że

w kilkunastu punktach założono kamienie węgielne, co w dodatku odbyło się bez asysty księdza i wśród zagadkowych obrzędów.

A było to tak. O godzinie ósmej zwołano hejnałem, odegranym na czterech trąbach, całą brygadę robotniczą. Syreń, inżynier z pomocnikiem i robotnicy stawali nad rowami. Stwierdzono świadkami, że kiedy podmajstrzy kierujący robotą na odcinku obchodził obecnych z puszką zawierającą metrykę domu, która zwyczajem tradycyjnym miała być wmurowana, Syreń wkładał do puszki tajemniczą jakąś kartkę oraz — przysięgali na to wszyscy! — grudkę złota, nie monetę, ale grudkę złota wielkości główki od szpilki kapeluszowej. Nad zamurowaniem kamienia węgielnego pracowali tylko inżynier Kurzyna z pomocnikami, podmajstrzowie i Syreń, podczas gdy robotnicy oddawali się pijaństwu, hockom jakoteż rui. Dziedzic słońcowski zaprosił nawet rodziny robotnicze i radość bezbożna, pijana, wyuzdanie i tańce trwały aż do wieczora. W najtajniejszej zaś komorze serca, tam gdzie zawiść z zazdrością płodzi w ukryciu żmiję zemsty, notowano, że nikt, literalnie nikt z ulęgałów i gulonów czypławskich na uroczystość zaproszony nie został.

Ale nie koniec tego wszystkiego. Cóż się bowiem nie dzieje następnego dnia! Dnia następnego zjeżdża pani Syreniowa z dwojgiem —

widziała pani?! — z dwojgiem dzieci. Syreń zajechał na stację samochodem, a kiedy pani Syreniowa (— ubrana — powiadam pani — jak taka, co już pani wie...) wysiadła z wagonu, całował ją po rękach, potem uściskał Julcię i Stasia (— uważa pani! tego, co ten Granowski...!) i wsadził ich na samochód. I tak przeparadowali ulicami, rynkiem, obok Fary, przez szosę, idącą na „Przybyszówkę“, przechrzoną przez tego so-cy-ała na Słońców — hi! hi! hi! — na Słońców! Po południu tego dnia wmurowano kamień węgielny pod trzy nowe, rozległe budowle, z których dwie przezwano w sposób budzący już samym dźwiękiem swoim podejrzenie a nawet zgrozę. Jedna nazywała się mianowicie: „Dom Wspólny“, druga „Świątynia Bóstwa“, trzecia „Fabryka mydła“. „Świątynia Bóstwa“ — Jezu — Chryste!

O! teraz już wiadomo każdemu, co zacz jest ten Syreń! Bolszewik, pani dobrodziejko, czysty bolszewik!

Ale piekielnik puszczał mimo uszu ujadania czypławskie. Ani plotki, ani listy anonimowe, ani nawet pięknie wykaligrafowana na papierze welinowym historja romansu Granowskiego ze Stasią, doręczona mu w kopercie zapieczętowanej, nie zmieniły biegu a raczej pędu spraw w Słońcowie. Robota szła tam z rozmachem nieznanym w Czypławie oraz w okoli-

cach bliższych a nawet dalszych. Pracowano na dwie zmiany od czwartej z rana do późnego wieczora tak, że już z początkiem lata czerwieniły się poprzez ścianę lasu mury dworków w kilkunastu rozmaitych punktach Słońcowa.

Dworki te miały po trzy pokoje na parterze, kuchnię i łazienkę, urządzenia nowoczesne, instalację elektryczną i piece kaflowe. Od frontu ganek wspierający się na dwóch słupach kamiennych, a na półpiętrze dwa pokoiki sypialne z balkonem. Dworek wznoszono w środku parceli półtoramorgowej. Jeśli parcela była zalesiona, zostawiano tylko pół morgi lasu, resztę karczując na ogród. Stajenka, spiżarnia i komórki gospodarskie znajdowały się z tyłu dworku.

Gdy kilkanaście dworków na półkolu południowym już było pod dachem, Syreń z inżynierem Kurzyną weszli pewnego ranka sierpniowego na nasypy „Świątyni Bóstwa", skąd jako z najwyższego punktu mogli objąć okiem cały plan Słońcowa, przyjmujący już teraz kształty wyraźne. Domki pod dachem zakreślały połowę obręczy zataczającej najszersze koło. Już zaczęto kłaść fundamenty pod domki, które miały zająć półkole północne.

Kurzyna, mężczyzna niski i drobny ale budowy prężnej i zwięzłej, jak u kota, rozwinął

przed Syreniem wielki arkusz planu i pokazywał mu szczegóły.

Gdy się zabuduje obręcz najszerszą, pierścień następny o średnicy mniejszej rzuci się w środek obręczy tej koncentrycznie. Pierścień ten będzie odgrodzony od pierwszego szerokim pasem lasu tak, że dworki będą stanowiły gniazda zamknięte, oddzielne i zaciszne. W samem centrum stanie „Dom Wspólny“ z salą zabaw, teatralną i kinową, z pomieszczeniem na bibljotekę, muzeum i szkołę. W miejscu, gdzie stoją, wzniesiona będzie „Świątynia Bóstwa“. Będzie to podług życzenia jego, Syrenia — wyjaśniał Kurzyna — budowla stosunkowo nieduża. w kształcie kopuły, którą na podcieniach będą dźwigały słupy z kamienia okolicznego, z granitu tatrzańskiego i kieleckiego marmuru. Natomiast budynek fabryczny stanie w najdalszym zakątku Słońcowa, na krańcu północnym, poza strefą domków mieszkalnych.

— Rośnie, rośnie — odezwał się Syreń, odjąwszy od oczu lornetę polową.

— Jak grzyby po twoim deszczu złotym — odpowiedział Kurzyna.

Syreń spojrzeniem rozmiłowanem musnął łuk wyznaczony czerwonemi plamami dworków, błyskających poprzez różowo-sine kolumnady sosen. Błękitniejące przeźrocze otulało tchnieniem niebieskiem krągłość pni, wiechy gałęzi

skropione słońcem, jędrne dywany traw i wezgłowia mchów zielonych i srebrzystych, kipiących u korzeni drzew.

— Tu się dopiero żyje. Rzeźkość płynie z nieba i ziemi.

— Jak u ludzi wychowanych na wsi — zauważył trzeźwy Kurzyna.

— O czem innem myślę. Ludzie wiejscy są zdrowi i spokojni, ale oni wegetują, nie rozwijają się zgodnie z tajemnicą natury, lecz plenią się na jej łonie, jak ten mech. Energja ludzka wre po miastach, w wielkich zbiorowiskach, właśnie tam, gdzie człowiek spętał naturę i w pysze swej potęgi zlekceważył jej żywioły. To się mści jak zbrodnia matkobójcy. Jego potęga rozrasta się wprawdzie, ale instynkt życia karleje. Związek ten trzeba przywrócić i sharmonizować. Natura musi niby owa „Łąka“ poety wedrzeć się w całej swej żywiołowości do ludzkich osiedli, naświetlić słońcem wolę i myśl, wytrawić toksyny degeneracji jednostronnej.

Sztywny zazwyczaj błękit oczu Kurzyny zalśnił się i wzruszył.

— Masz słuszność — rzekł. Dziękuję ci serdecznie.

— Za co ty mi dziękujesz? — spytał Syreń zaciekawionem spojrzeniem obrzucając węzłowatą postać Kurzyny.

— Za ten teren pracy. Była to chwila prze-

łomowa w mojem życiu, kiedy zwróciłeś się do mnie ze swoim planem. Rozstrzygnęła ona o mem życiu. W wojsku budowałem baraki, ziemianki, mosty, drogi. Przed wojną fabrykowałem klatki wilgotne, ściśnięte, brzydkie i brudne, bez powietrza i słońca. Młodzieńcze moje marzenia o prostych ale zdrowych i pięknych domach sypały się w gruzy. Stawałem się cząstką mechanizmu wprawianego w ruch przez zimny, zachłanny kapitał. Było to tak niespodziewane, że zrazu wziąłem cię za dziwaka...

— Albo za warjata — wtrącił serdecznie Syreń.

— Ale teraz, kiedy Słońców rośnie pod dach...

— Warjactwo zaczyna się realizować — zakpił Syreń. Zresztą moja zasługa w tem niewielka — trzeba ci wiedzieć — właściwie tylko wybór drogi. Przypadek zdusił mnie swym jeżowym uściskiem i wepchnął do tajemnego skarbca, strzeżonego przez krokodyla. Mało brakowało a byłbym zginął. Złoto jest najokrutniejszym wampirem, a jego strawą są najnikczemniejsze ofiary demonów tego świata. Wierz mi, bo i mnie to groziło... Złoto jęło się wlewać w moje żyły, myśli, serce. Dopiero w ostatniej chwili zacząłem rozumieć, że ten akumulator ludzkiej energji spiorunuje mnie swym prądem.

— Słuchajno — rzekł oschle Kurzyna — ja buduję domy z kamienia, żelaza i cegły. Plan domu musi być narysowany i wymierzony dokładnie i szczegółowo. Nie lubię mglistości.

— Więc dobrze — mruknął Syreń raczej do siebie. Wskażę ci rozwiązanie tego równania. Prędzej czy później zamierzałem zresztą odsłonić je tobie, bo i ty już wrosłeś w me dzieło. Ja tak samo myślę w formach konkretnych. Wiedz zatem, że Słońców wcale nie jest przedsiębiorstwem dochodowem, chociaż nie jest też fantazją człowieka zwyrodniałego skutkiem nadmiaru bogactwa, którego nie stworzył sam. Słońców stanowi własność wspólną. Rozumiesz?

— Nie rozumiem. O ile wiem, ty jesteś właścicielem tej osady, a ja twoim budowniczym.

— Przysięgam ci na Bóstwo, co w te mury wstąpi, że powiedziałem prawdę.

— Nie znam twojego Bóstwa.

— Bóstwo me to duch słoneczny, co mieszka w nas a powielekroć wcielił się doskonale w rozmaitych epokach i pośród rozmaitych ludów. Dlatego pragnę, aby świątynia Jego była kulista nakształt słońca, przez które istniejemy. Słupy dźwigające ją to nasze siły duchowe i fizyczne — bo niemasz na ziemi ducha bez ciała. Wewnątrz zaś uczynimy podobieństwo stropu niebieskiego i pomieścimy Synów Bożych

w najwyższych wcieleniach ziemskich. W samem ognisku sklepienia otworzymy wylot na gwiaździste niebo, na nieskończoność w jedności Boga, który w nas jest, i przez którego my jesteśmy. Otóż, mój przyjacielu, ponieważ zagubiłem był słońce, skuszony przez demona złota, więc skoro odnalazłem je, rozeznałem w sobie, iż wówczas tylko uniknę zaguby wiecznej, gdy oddam to, co zdobyłem...

— Zdobyłeś?

— Ps - ps — byłem rabusiem... Syreń uśmiechnął się ironicznie.

— A to wszystko — pytał Kurzyna, zatoczywszy ręką dokoła.

— To wszystko za pieniądze zdobyte.

— Bój się Boga!...

Syreń ujął Kurzynę pod ramię:

— Zejdźmy stąd, bo tu praży. Tam chłodniej i zaciszniej.

Pod cieniem dębu rosnącego opodal znaleźli kępę mchu i rozciągnęli się na ziemi. Syreń położył się nawznak i, zapuściwszy wzrok w obszary niebieskie, zaczął opowiadać Kurzynie historję zdobycia skarbu.

— Brzmi to jak bajka z tysiąca i jednej nocy — zawołał inżynier, gdy Syreń zakończył swoje opowiadanie.

— Mój przyjacielu — uśmiechnął się Syreń. W bajkach tkwi więcej prawdy, niż w naszych

codziennych pogawędkach o prawdzie i rzeczywistości, której oblicze zmienia się z dnia na dzień, jak niepowstrzymany potok kłębiących się i sprzecznych zdarzeń. Zagadnienie własności stało się w ten sposób mojem osobistem zagadnieniem. Mówię zagadnienie, bo mimo pozorów, sposoby nabycia własności przeze mnie są te same, co u wszystkich innych, posiadających więcej, niż zdolni są wytworzyć własnemi rękami czy własnym mózgiem. Nacisk skarbów przygniatał mi czaszkę w sposób nieznośny. Traciłem ufność w życie, w jego wartość i sens. Przeraziło mnie to tem bardziej, że powstanie z martwych Polski dokonało się wbrew woli i poza świadomością tych wszystkich u nas i na całym świecie, co liczą, kalkulują i mataczą w imię tej swojej śmiesznej prawdy dnia. Odrodzenie ojczyzny było dla mnie objawieniem tajemnych praw, a mimo to duch mój wiotczał i rozkładał się. W ten sposób złoto wołało, abym je zwrócił prawemu właścicielowi. Teraz zwracam je tobie i tym, co wznoszą Słońców. Ty również jesteś mi potrzebny do spełnienia mego zadania. Gdy pierwszy pierścień zamkniemy, co, jak powiadasz, nastąpi około listopada, wówczas oddam naszym pracownikom około trzydziestu dworków. Ufundujemy kooperatywę, której członkiem będzie każdy mieszkaniec dworku. Ale najpierw trzeba

wybrać z pośród brygady robotniczej najlepszych. Jest to sprawa i trudna i delikatna. Dotąd za członków uważam, oprócz siebie i ciebie, jeszcze posła Węgrzeckiego i kapitana Siodłowskiego. Mówiłem ci już o nich. My we czterech będziemy założycielami Słońcowa, jako formalnie rzecz biorąc — kooperatywy mieszkaniowej. Jakże, Kurzyna, przyjmujesz?

— Zdaje mi się, że śnię...

— I ja śnię na jawie. Słońców! Śnij człowieku, bo tu śnić wolno tak realnie, jak te dworki stoją tu realnie, uśmiechając się do nas. Pomyśl, w roku następnym wznosimy dalsze trzydzieści dworków, kończymy „Dom Wspólny“ i „Świątynię Bóstwa“.

— Zapomniałeś o fabryce.

— Nie zapomniałem wcale. Póki będziemy budowali dworki, póty wystarczy zarobku dla naszych dziedziców. Dlatego wkońcu dopiero przyjdzie kolej na fabrykę mydła jako źródła stałego utrzymania dla mieszkańców Słońcowa.

— Ale czemu właśnie fabryka mydła?

— Wielka fabryka mydła na całą Polskę, rozumiesz? Pomyśl! Kilkaset osób, praca, własny, schludny dom, szkoła, bibljoteka, powietrze i słońce, słońce! Tylko dobrać członków z pośród tych ludzi a położymy pierwszą przy-

cieś, która wieńcówką nowego stylu życia zbudzi twórczość.

— Dlaczego jednak wybrałeś tę dziurę?

— Widzisz, bracie, ja Czypławę znam nawskróś. Tu się urodziłem, wychowałem, tu robiłem rewolucję w młodości i tu się ożeniłem. Gulony i kołtuny tutejsze nienawidzą mnie od dziecka a ja — trzeba to wyznać — odwzajemniam się z lubością. Ta konfraternja niemrawców, bigotów, pokątnych wyzyskiwaczy, złośliwych śledzienników, sknerów i matołów cuchnie mi od dziecka, jak ulubiony przez nich kwargel. Dlatego to tu pod nosem stawiam im Słońców, ten balon ozonu, co ich zwolna wydusi, bo oni na świeżem powietrzu nie wyżyją.

— W takim razie ani jeden Czypławiak nie powinien wejść do kooperatywy.

— Oprócz robotników. Jezus urodził się w stajence. Lud posiada instynkt prawdy i wielkości. Cóż sceptyku?

— Mylisz się, nie jestem sceptykiem, królu z bajki... ale...

— Ale?

— Czy zamierzasz urbi et orbi ogłosić, w jaki sposób dostały ci się te skarby?

— W każdym razie wszyscy właściciele Słońcowa muszą wiedzieć, że nie daję, lecz oddaję.

— W jakim celu właściwie?

— Mam przeświadczenie, że powinienem tak postąpić. Nie jestem dobrodziejem. Przykro byłoby mi uchodzić za kogoś, kim nie jestem.

— A ja myślę, że powinieneś ukryć swoją tajemnicę.

— Dlaczego?

— Każdy, komu ją zdradzisz i tak przedstawisz jak przedstawiłeś ją mnie, poczuje to, co ja poczułem.

— Cóż takiego poczułeś?

— Że jestem współwłaścicielem tych skarbów.

— Ależ ja tego właśnie pragnę! — zakrzyknął Syreń.

— A to może rozwalić twój Słońców. Jeżeli ja jestem tak samo właścicielem, jak ty, w takim razie ja mam takie samo prawo rządzić tu według swego upodobania, jak ty. Zrównałeś mnie z sobą w prawie rozporządzania majątkiem.

— Tak! — tak! — doskonale!

— Mogę wobec tego np. zażądać, aby ten nasz wspólny skarb obrócić na coś bardziej rentownego, niż Słońców...

— Tak sądzisz? — żachnął się Syreń.

— Miałbym prawo tak powiedzieć, a gdybyś ty się sprzeciwił...

— Cóżbyś zrobił?

— Wystarczyłoby mi tylko rozgłosić twą

tajemnicę, by twój plan zniszczyć a twój autorytet podważyć albo złamać.

— Gardzę autorytetem!

— Mylisz się, królu z bajki. Ludzie okazują szacunek i posłuch tylko wobec tych, co mają autorytet.

— Stosunek pozorny. Ludzie albo słuchają idei albo są jej bezwiednemi narzędziami — oświadczył Syreń.

— To abstrakcja...

— Nie. Ja tak widzę świat i to jest prawdą.

— Nie będę się o to spierał. W każdym razie nie jest to prawdą, gdy mowa o sprawach takich, jak prawo własności Słońcowa, które zamierzasz nam cedować. Od tej chwili zbudzisz w człowieku żądzę posiadania, wyniesienia się ponad innych i rozkazywania. Pieniądz, to najwyższa potęga ziemska. Bogacze niemieccy a nawet angielscy bez wahania wysyłali swe dzieci do okopów, sami nawet szli na front, ale majątki swe zabezpieczali w Ameryce, jak ty... w Londynie...

Syreń obruszył się:

— Nie przypuszczasz chyba...

— Nie przypuszczam zwłaszcza teraz, gdy już wiem wszystko — i muszę stąd wyciągnąć wniosek konieczny, że ty jesteś wyjątkiem.

— Warjatem — dajesz mi to delikatnie do zrozumienia — zaśmiał się Syreń.

— Oby takich warjatów było jak najwięcej!

Syreń zerwał się z ziemi i zawołał: — Dość dyskusji! Ze mną, czy przeciwko mnie?

— Z tobą!

— A widzisz, mądralo realny, nawet w tobie ożywiłem wiarę...

Kurzyna oświadczył sucho:

— Ja nie myślę twojemi kategorjami i dlatego oświadczam ci, że najpierw żywię dla ciebie wdzięczność, powtóre jestem człowiekiem honoru. Zresztą skoro swą tajemnicę odkryłeś tylko mnie, pozostaje ona wciąż jeszcze tajemnicą. Gdybym ją nawet rozgłosił, jeden twój uśmiech uczyniłby ze mnie w oczach ludzkich człowieka niepoczytalnego. Tres faciunt collegium.

— Trzecią osobą jest moja żona.

— Żona?

— Stasia wie o wszystkiem.

— Żona twoja, to ty. Patrzę i widzę. Jest ci oddana na śmierć i życie. Zresztą...

Kurzyna urwał w pół słowa i zaczął nerwowo pocierać oczy jak człowiek nagle zbudzony. Po chwili zapytał głosem rozdrażnionym:

— Gdzież jesteśmy? gdzie Słońców?

— Jak to gdzie? Co mówisz? Co ci się stało? — zawołał Syreń.

— Nic nie widzę — tylko drzewa — szum w uszach —

Syreń potrząsnął nim.

— Udar, czy co? Nie widzisz? Patrz, o pięćdziesiąt kroków przed nami nasyp „Świątyni Bóstwa"...

Kurzyna jeszcze tarł powieki.

— Widzisz ją? — dopytywał Syreń.

— Tak — już widzę... mruczał Kurzyna... Co to było? Zdawało mi się przez chwilę, że się znalazłem w czystym lesie. Nic nie było. To chyba blask tylko... Już lepiej. Ale wiesz co, że ta kopuła twoja to ciężki problemat architektoniczny. Wolałbym robić bez tego otworu w sklepieniu. Wogóle ten otwór, to pomysł dziwaczny. Można wewnątrz, w środku sklepienia wymalować słońce.

Syreń uśmiechnął się:

— Słońce to mało. Właśnie w samym środku sklepienia konieczny jest otwór na teleskop..

— Co?

— Teleskop. Widzisz już?

— Widzę. Ale po co, u djabła — teleskop?

— Ażebyś jeszcze lepiej widział.

— Niebo?

— Tak. Niebo i słońca, planety, tysiące, niezliczone mnóstwo światów pomarańczowych, błękitnych, zielonych, opalowych, co w uroczystej ciszy błękitów grają barwami niewysłowionej bajki wszechżycia. Niechaj mieszkańcy Słońcowa zdobędą zmysł nieskończoności. Naj-

większem złem świata nie jest głupota, ani zbrodnia, ale brak wyobraźni. Ludzie zawierzyli tym biednym pięciu zmysłom i murują na nich jak na wodzie. Nie wyobrażają sobie ogromu i tajemniczej otchłani wszechświata. Nie mają perspektywy. Przez teleskop będę ich uczył nieskończoności. Ten widok odemknie zamki ich wyobraźni zakutej w dyby, uskrzydli i zabarwi ich myśli mizerne. Zaczną najpierw widzieć, potem czuć i myśleć, potem wreszcie żyć głębiej i prawdziwiej. I tobie, Kurzyna, wyznawco siły i złota, szerzej otworzą się źrenice... i zobaczysz, zobaczysz więcej, niż ci się dzisiaj śniło...

— Zanim zdobędą ten szósty zmysł, ukryj jednak przed nimi swą tajemnicę! — powtórzył z naciskiem Kurzyna.

— Zastanowię się nad tem. Ale teraz powiedz mi: ze mną czy przeciwko mnie?

— Już powiedziałem.

Jęknął dzwon. Dźwięcznie, regularnemi falami rozpływał się i, trącając gałązki, mieszając się z muzyką lasu, ogłaszał koniec pierwszej zmiany na budowie.

— To bije serce Słońcowa — rzekł Syreń. Czysto, głęboko i mocno.

— Południe! — zawołał Kurzyna.

— Południe a pan inżynier naczelny wagaruje! — zażartował Syreń.

— Psiakrew! — zapomniałem skontrolować, czy przygotowali zaprawę według nowej recepty, jaką im dałem. Bo to widzisz, piasek tutejszy...

I nie dokończywszy zniknął.

Syreń w zadumie rozważając słowa Kurzyny mglistem spojrzeniem opierał się o pałające w słońcu głazy wapienne, łomy granitu i stosy cegieł, nagromadzone przy „Świątyni Bóstwa“. Słońce południowe parzyło tkwiąc w środku błękitu, tęgiego jak barwa dzwonków polnych, którego natężenie wzmacniała jasność złotawa i perłowa obłoków letnich. Ich bryły i masy kłębiaste, obłemi brzegami wyginające się w rozliczne figury i twory na pozór martwe, w istocie zmieniające się nieustannie, to siedziały na nieboskłonie niby stada bielusieńkie gęsi, łabędzi i gołębi, to rozpłaszczały się i wydłużały, niby gromady jakichś wielorybów leżące warstwami jedna nad drugą, to ruchem leniwym wzdymały się i pękały w kształty dziwaczne, zawsze jednak w ośrodku swym kuliste i krągłe, zawsze jaśniejące i niepokalane.

Syreń, osłonięty koroną dębu, chroniącego przed skwarem politurą błyszczących liści, wpatrywał się z lubością w sielankę niebieską i pomyślał: — To ich prawda „realna“, zmienna i nieuchwytna jak te obłoki. Moje słońce,

moje gwiazdy wędrują światami z niewzruszoną siłą i stałością.

Zamyślony ruszył poprzez las mieszany i zatrzymał się aż na skraju Słońcowa, skąd roztaczał się widok na pola, Czypławę i dalekie przestrzenie hen poza miastem. I tu wszędy królowała cisza, bo chociaż wiaterek przewiewał od zachodu, nie burzył jednak spokoju. Żyta były już prawie zżęte. Pszenica rdzawiła się jeszcze złoto-rudemi smugami, które nadymając się źrałością swoją przykrywały ziemię niby złociste, przypalone futra lwich skór. Drzewa na dalekim widnokręgu zatuliły się z powodu odległości w siną mgłę a niektóre, samotne, najwyższe, sterczały niby olbrzymie pióra rozczapierzone nad ziemią. Ptaszki, muszki, pszczoły, trzmiele, niezliczona gawiedź owadów szumiała pracowicie, śpiewając, bzycząc i ćwierkając. Gdy słońce mocniej zaświeciło, obłoki nasiąkały błękitem a wskutek tego ziemia, pola, domy, lasy, cały świat przepajał kolor niebieski a zarysy i barwy nabierały ostrości. Ogniściej srebrzyły się wieże kościelne miasteczka, krwawo czerwieniły kominy, silniej żółciły się i złociły ściany domów. Łąki i pola grały barwiście, gdyż różowa i szara koniczyna, błękitna cykorja, żółty mlecz, złotawa przytulja, biały krwawnik i fiolet dzwonków dyszały pełnią swych świateł a gorący

obrzask słoneczny parując niejako z bożego kobierca unosił się nad ziemią.

Wtem wietrzyk jął przeganiać obłoki, odsłaniając albo zasłaniając słońce. Wówczas tam, gdzie na krańcach obłoki zbiły się w masy jednolite, promienie uderzyły z pod obłoków skośnie pękiem dzirytów iskrzących.

Zadumany i pogrążony w niebo, w świat i w siebie nie zauważył Syreń skrycie skradającej się do niego kobiety. Z lasu wysunęła się biała postać Stasi już od godziny poszukującej męża. Czyniąc sobie drogę między krzewami kwiecistą parasolką płynęła pośród zieleni śledząc jak myśliwy. Naraz ujrzała go. Oczy jej zaślniły w świetle południowem niby czarki napełnione winem, usta czerwone, wilgotne rozchyliły się szeroko ukazując biel zębów a policzki zarysowane ostremi płaszczyznami zapaliły się jarym rumieńcem. Podała się naprzód i, krok za krokiem stąpając przyczajona, podchodziła męża.

Zamajaczyła mu z boku jasna plama. Odwrócił się i ujrzał oczy świecące, usta i piersi namiętnie oddychające. W tem oczymgnieniu jakby zatrzasnęło się wieko nad zawiłemi dumami o sprawach i zadaniach. Błękit, las, pola dalekie, duszne wonie czy zapach tchnący od wyłaniających się w pochyleniu piersi kobiecych roznieciły w nim ogień. Otworzył ramio-

na, w które wpadła mu niby ptak w swe gniazdo, wtulając się weń, oddana, gnąca się niby źdźbło wiotkie pod naporem wiatru.

— Zaniedbuje żonę...

Całował jej oczy, wargi, piersi smagłe i spalone.

— Taki dzień dzisiaj piękny a czegoś mi nie dostawało — mówił prowadząc ją w podcienia jałowców, między paprocie. Jakieś uczucie pragnienia i nie wiedziałem co a teraz wiem. Tyś to przeczuła.

Omdlewająca, zmrużywszy oczy, dała się uwodzić, przekornie szepcąc: — Tu?

— Tu, właśnie tu. Wobec słońca i na posłaniu, które wydaje zapach ziemi, ziół i drzew. Tu właśnie. Nie w ciemną noc, podstępnie i lubieżnie, jak złodzieje, ale za dnia, w słońcu, tu jak te kwiaty, my, dzieci słońca, bezgrzeszne i bezwstydne.

— Tak mówiłeś przed laty... szeptała niby te trzmiele brzęczące.

— To było z ciebie.

— Ze mnie?

— Boginko leśna...

Obejmując zwieszającą mu się w objęciach zawiódł do altany leśnej, zasłoniętej od strony pól przez brzozę i osikę, zamkniętą od strony Słońcowa zbitą gęstwą jałowców i sosen. Olśniewającą bielą świecący pień brzozy

migotał przez gałęzie osiki. Kędzierzawy gąszcz krzewów przyziemnych rósł, tworząc u korzeni jakby kotarę naturalną. Frendzle gałęzi rzucały na murawę cień wciąż drgający i mieniący się, ponieważ gałązki i listki, wstrząsane podmuchami wiatru, gięły się, chyliły i trzepotały jakoby w tańcu nieustannym, w ruchu wciąż zmiennym, w kolorach wciąż rozmaitych niby czytelny hieroglif bytu wiecznie ruchliwego.

W tym to buduarze Syreń złożył żonę obezwładnioną miłością i pragnieniem.

VII.

Od rozmowy z Kurzyną Syreń zabrał się do wyszukiwania z pośród brygady robotniczej przyszłych „dziedziców“ Słońcowa. Pomagał mu w tem Kurzyna zalecając głównie ludzi pracowitych i sumiennych, gdy Syreń ważył i m p o n d e r a b i l i a, cechy nieuchwytne i, chociaż istotniejsze, ale trudne do określenia. Obaj zgodzili się przedewszystkiem na Wojciecha Baranicę, mularza, chłopa siły niedźwiedziej, dziwnej łagodności wejrzenia i spokoju niewzruszonego. Mruk to był i gadać nie lubił, ale umiał wzbudzić dla siebie poważanie choćby siłą, która była zdumiewająca. Kiedy raz furman wiozący kamień, zaczepił o kant narożnika i fura przechyliła się grożąc wysypaniem na głowę robotników, Baranica, znajdujący się najbliżej, skoczył i podparł wóz z taką mocą, że fura wśród śmiechu i krzyku patrzących zwaliła się na drugi bok. On spojrzał z podełba i, nie rzekłszy słowa, wrócił do swej roboty. Opowiadano, że potrafił wypić baryłkę piwa, przegryzając metrem kiełbasy, ale zdarzało się to rzadko, gdyż wtedy Wojciechowa, kobieta

chuda jak szczapa, prała Wojciecha gdzie popadło, co chłopisko znosił cierpliwie, mrucząc i w nieukontentowaniu obcierając sobie nos.

Ale nie był to człek głupi. On to właśnie zwrócił Kurzynie uwagę, że zaprawa słabo chwyta, bo piasek tutejszy zbyt ziarnisty wymaga więcej wapna. Syreń rozrzewnił się, widząc tego olbrzyma bawiącego się z córeczką, która mu przynosiła obiad w dwojaczkach, a zwłaszcza ujął go wyraz oczu wniebowziętych, kiedy dziewczynka fikała kozły na wyprężonem ramieniu tatula.

Gdy Syreń przedstawił Baranicy projekt kooperatywy, nie objaśniając według rady Kurzyny genezy swego majątku, mularz słuchał uważnie, od czasu do czasu tylko z pod oka zerkając na „pana dyrektora“.

— Zrozumieliście mnie?

— Ano — rzekł Baranica. Przepraszam za moją śmiałość, bo to wielgachna sprawa, naród oszukany a co na tem będzie miał pan dyrektor?

— Radość, że wam będzie lepiej.

Baranica jął mrugać powiekami, odwrócił głowę i najwidoczniej zatknęło go, bo wziął tylko rękę Syrenia w swą garść potężną i ucałował.

— Co wy, Baranica? — krzyknął Syreń.

— Pan dyrektor jest święty. Coby ino ślak nie psocił!

— Ślak?

— Ano zły albo i sprzeczne one ludzie, pazurniki, ja ta wiem...! Ale ja takiemu...!

Baranica zatrzasnął szczęki i zwinął swoją pięść ciężką jak młot.

— A Kozioł, słuchajcieno, a Kozioł pasowałby do nas?

— Chudzina to, ale rządny chłop.

Więcej nie wycisnął Syreń od milczka, tylko nazajutrz dowiedział się, że Wojciech nie zeszedł z placu na południe, ale pracował z drugą zmianą do wieczora. Trwało tak dni kilka, a gdy Syreń kazał mu wypłacić podwójną dniówkę, Baranica wypłaty nie wziął i pokryjomu oświadczył Syreniowi, że to dla „kuperatywy“.

Inny był Kozioł. Pracował i on gorliwie, ale bywały dni, że mitrężył, robota szła mu niesporo i sennem okiem wodził po niebie i świecie. Oczy miał niebieskie, wymokłe, czoło strzeliste i skłonność do przydługich gawęd. Tego, gdy mu Syreń rzecz wyłożył, zrazu oszołomiło, ale potem wybuchnął bełkotem wyrażeń pogmatwanych, z których tyle można było wymiarkować, że Kozioł dawno już kochał „pana dyrektora“. Zaczęło się to od czasu, gdy się zgłosił do roboty. Przyszedł poprostu w łachmanach, schorzały i wygłodzony a nę-

dza szczerzyła zęby z każdej łaty rozlatującego się przyodziewku. Podmajstrzy, człowiek dbający o dobry materjał ludzki, nie przyjął go, bo już niewiele spodziewał się po tym odpadku ludzkim. Kozioł krokiem apatycznym wlókł się do furty, jak wypędzony pies. Tu go spotkał Syreń i wszczął rozmowę, z której dowiedział się, że Kozioł walczył na froncie „italjańskim“, gdzie raniony w bok rozchorował się ciężko. Odtąd wciąż chrzypi mu pod deką jak w organkach. Ale jeszcze jest krzepki. Ma troje dzieci. Dzieciska marnieją... Syreń kazał natychmiast wpisać go na listę robotników. Kozioł, spotkawszy pana dyrektora, kłaniał mu się uniżenie, czego Syreń powoli go oduczył, witając się z nim uściskiem ręki, jak z każdym w Słońcowie. Propozycja Syrenia wywołała w umyśle tego pół-analfabety chaos, którego niepodobna było rozwikłać, lecz oczy wierne, wpatrzone z oddaniem śmiertelnem świadczyły o przełomowem wprost wzruszeniu.

Z tymi dwoma i z Kurzyną łowił Syreń „dziedziców“: Kopcika, o rozległem czole, zaciętych ustach, małych oczkach i powolnych ruchach statecznego gospodarza; Ładzińskiego o twarzy ostrej, popędliwej, drapieżnej ale otwartej i lotnej; ponurego Fidzika, którego nikt bliżej nie znał ale pracującego wzorowo; Wolaka, starganego przez reumatyzm, zajmu-

jącego od początku posadę stróża. Z pośród rzemieślników padł los na Łukniewskiego, ślusarza, odznaczającego się obyciem towarzyskiem, znajomością roboty i chłodną flegmą; szofera Barnabę, co z niejednego pieca chleb jadał, o postaci zwinnej, twarzy jakby wyrzeźbionej przez wiatr, który mimo życie bogate i ruchliwe umiał zaledwie sylabizować; Lewocza o twarzy nadobnej i przytulnem spojrzeniu; małego i zadzierzystego Kurta; barczystego Fermodę o składnem czole, głucho błyszczących czarnych oczach, gwarliwego i swarliwego, który posiadał pewne wykształcenie a chętnie i łatwo nad innymi przewodził.

Często Syreń wahał się, kluczył, macał i nie mogąc nabrać tej pewności sądu, jaką odrazu natchnęli go Baranica i Kozioł, badał i czynił wywiady przez innych już zaciągniętych. Tak było np. z Tatarem, cieślą, chłopem lat trzydziestu, o chłodnych, bezbarwnych oczach i twarzy pokancerowanej przez ospę. Robotny był, ale zawsze jakiś uśmiech skryty, niepokojący pełzał na jego ustach. Podobno pił i tłukł babę, ale niewielu przecie było między nimi takich mężów, jak Baranica, którego w razie potrzeby poszturkiwała blada i ponura Małgorzata. Znęcił się on tu ze wsi, uczepił jakiegoś zarobku najpierw w Czypławie potem w Słoń-

cowie i był — ale kto on był nikt dobrze nie wiedział.

Syreń wciąż cieszył się wprawdzie zaufaniem a nawet przywiązaniem wśród robotników, jakie uzyskał był za jednym zamachem, ale z biegiem czasu uczucia te powszedniały i sprawy, raz ruszywszy z miejsca swoim trybem, utrwalały się w ramach utartych jako coś zupełnie naturalnego, co już „zawsze tak było" i na zawsze miało „tak" pozostać. Jego tajemne konszachty z niektórymi tylko wybrańcami obudziły czujność wśród innych, zwłaszcza, że „dziedzice" w myśl zobowiązania zachowywali sekret. Ponieważ zaledwie trzydzieści dworków można było wyciągnąć pod dach na zimę, lista członków wkrótce została zamknięta. Syreń kilkakrotnie wyjeżdżał do Warszawy celem zatwierdzenia statutu Słońcowa oraz konferencji z Węgrzeckim i Siodłowskim. Węgrzecki bardzo interesował się „problematem" Słońcowa, chociaż propozycji przystąpienia do kooperatywy w roli posiadacza dworku odmówił. Sprawozdania o przebiegu prac słuchał z zaciekawieniem, a gdy Syreń skończył, uścisnął mu rękę:

— Ja z tobą, romantyku, idealisto... Pragnąłbym, ażeby to dzieło powiodło się...

— Wątpisz? Musi się powieść. Choćbym

trupem miał lec, Słońców stanie. Zbudowałem już trzydzieści dworków.

— Ile dotąd wydałeś pieniędzy?

— Więcej niż połowę.

— No dobrze, dobrze, stary. Chętniebym tam zamieszkał.

— Przenieś się do nas.

— Na emeryturę?

— Nie. Obejmiesz kierownictwo fabryki.

— Kapitalny pomysł ta fabryka mydła.

— Przed zimą chciałbym suteryny pokryć betonem.

— Pędzisz, jak widzę, na łeb na szyję.

— Pewnie — odpowiedział Syreń. Mierzi mnie polska ślamazarność. Chciałbym, abyście jak najprędzej ujrzeli Słońców promieniejący aż po Warszawę. Ja go już widzę jak bieleje poprzez leśną zieleń ale ukryty, pełen życia, dostatni, szczęśliwy. Dym kopci z komina fabrycznego zdala od mieszkań. Praca aż kipi. Szkoła leśna. Dzieci bawią się i uczą na powietrzu, w lesie. Wieczorem teatr albo kino w Domu Wspólnym. Na tarasach kawiarnią z pismami. Robociarze rozpierają się na fotelach jak burżuje, rozglądają się z lubością i oddychają powietrzem żywicznem. Radjo dostarcza nam wiadomości i koncertów z Warszawy, Paryża, Londynu. Nauka, dyskusje, zabawy. Pełno kwiatów dokoło domków. Wzorowe

ogrody jarzynowe. Kapusta jak bania na cerkwi, kalafiory jak owce, kury, koguty niczem drób Paderewskiej. Czasem przyjeżdża z odczytem np. poseł Węgrzecki. Słońców świeci na cały kraj! Socjały nasyłają delegację po delegacji, aby obejrzeć tę „komórkę socjalną“ przyszłości. Entuzjazm. Od tego płomyka zapalają się pożary uniesienia. Wiatr rozdmuchuje nasiona słońcowskie po całej Polsce. Wszędzie kiełkuje marzenie, aby kraj rozsłonecznić. A tam! — Widzisz? — w samym środku, w gęstwinie zbitej, osłonięta brzeziną, bukiem, dębiną, wiotkim modrzewiem i smerekiem wzniosłym, otulona wonią kwiatów i ziół leśnych niby dymem kadzielnym, skupiła się w zaciszu Świątynia Bóstwa. Zrazu nikt z dziedziców Słońcowa znaczenia jej nie rozumie. Ale patrz... zabłąkał się tam jakiś chłopak z pierwszego pokolenia Słońcowian. Kontempluje wizerunki Synów Bożych, zagłębia się w księgi święte wszystkich religji. Zaczyna odwiedzać ją wieczorami, gdy niebo iskrzy się od gwiazd nad kopułą i obserwuje strop niebieski. Z dniem każdym twarz jego pokrywa się namaszczeniem, powagą i słodyczą. Rośnie nam może poeta, zwiastun, może wielki uczony?...

— Marzycielu!

— Nic nie powstaje bez marzenia. A myśmy to nie marzyli przed wojną? I któż miał rację,

marzyciele czy kartoflarze, jak nazwał ich Sieroszewski? Ja pod tęczę marzeń kładę fundament Słońcowa. Czy źle rozporządziłem się skarbem, który los powierzył mi w ową noc petersburską?

— Nieraz dziwiłem się — rzekł Węgrzecki — że ten skarb nie zgniótł cię, jak wór złota, którym Bolesław Śmiały zmiażdżył witezia.

— O, byłem tego bliski aż zanadto — mówił Syreń w zadumie. Był czas, że już zamierałem. Pamiętam ten wieczór w Rzymie... Niema w Europie miasta bardziej cynicznego i sceptycznego, niż Rzym, i bardziej skłaniającego do rozmyślań. Z jednej strony ruiny i krwawe jakieś szkielety Colosseum, Palatyn, Forum Romanum, odruzgi kolumn, portyków, świątyń, różowiejące i lśniące na murawach nigdy nie więdnących — z drugiej strony Watykan, gmach spięty klamrami kolumnad, skarbnica kosztowności niezmiernych i najprzedniejszych arcydzieł. Tu pod twojemi stopami w kurzu *vanitas vanitatum* najpotężniejszego imperjum Arjów pod strażą fioletowych cyprysów, pinji, lauru — tam świątynia najwyższa — inscenizująca od czasu do czasu słynne msze, na które gromadzi się societa międzynarodowa.

Otóż pewnego wieczoru siedziałem w *Caffe Aragna* przy *Corso Vittorio* w towarzystwie pasera. Był to typek bardzo

wstrętny. Maleńki, krąglutki, wargi pulchne i wilgotne, oczka tłuste. Chociaż ubrany w modny garnitur wydawał mi się tak niechlujny, jakby się nigdy nie mył. Głos miał piskliwy i zawsze się uśmiechał, migając krótkiemi palcami w pierścionkach. Obok usiadła przy stoliku... dama. Nie przypominam sobie już rysów jej, ale pamiętam, jakie wrażenie zrobiła na mnie swą wyniosłą i dystyngowaną postawą, wzięciem się wytwornem i spokojnem. Jakaś Lukrecia Borgia, jakaś siostra Monny Lizy, czy cudowna kurtyzana z czasów Odrodzenia. Mój paser przymrużył oko i rzekł: kosztuje tysiąc lirów. Nie wierzyłem. Podszedł do niej i wdał się w rozmowę, ale za nim pospieszył zaraz jakiś młodzieniec elegancki, znudzony — i w moich oczach odbyła się obrzydła licytacja. Paser dowcipkując wypisywał na bibułce restauracyjnej cyfrę, zaczynając od pięciuset a jego konkurent za każdym razem dorzucał śpiewnym, jedwabnym głosem: „e cento". Dama przyglądała się licytacji z tak wytwornym spokojem, jakby szło o jej pieska bolończyka, którego niańczyła na swych zapewne boskich kolanach. Mój paser przegrał.

— Wtedy to ugodziła mnie nuda i przesyt życiem. Wszystko można za pieniądze kupić. Sprzedawszy paserowi kamienie ze stratą kilku tysięcy, powlokłem się przez owe słynne scho-

dy Michała Anioła, obok konnego posągu Marka Aureljusza na moją ulubioną terasę nad Forum Romanum za uliczką Via di Monte Tarpeo, gdzie wówczas mieszkałem. Tu mi się dumało najlepiej. Księżyc oświetlał zrąb Colosseum, a na tle grubych cieni na Forum tem jaśniej bieliły się marmury. Pustka niezmierna wionęła na mnie z tego cmentarza i od cyprysów, strzegących go ze wzgórza Palatynu niby czarni niewolnicy. Wszelki urok istnienia wysysał ten cmentarz starożytny, któremu w milczeniu nocy odpowiadał cmentarz inny, niewidzialny stąd — Watykan. Pustynia wieczysta ciągnęła ze mnie soki żywotne i wielka nuda dreszczem przejmowała w mem wnętrzu Tego, co w najskrytszem ukryciu włada nami. Zwidziało mi się, że i ja komuś duszę swą zaprzedałem za trzydzieści srebrników i że ów paser to jakby moje „ja" splugawione i przeklęte, zaś ona to dusza moja wzdrygająca się pod lubieżnemi paluchami w złotych pierścieniach. Wówczas zapadło we mnie postanowienie. Zdecydowałem się ukończyć interesy jak najprędzej, wrócić do Polski i oddać skarb, komu należy. Wprawdzie dotąd nie powiedziałem sobie nigdy, że skarb ten należy do mnie, ale tej nocy dopiero zdusiłem tajne zachcianki, co mnie kusiły. Kiedy słońce poranne oblało Colosseum sprawa była nieodwołalnie zamknięta.

I wtedy ów cmentarz: Forum Romanum — uśmiechnął się do mnie rozkoszą murawy kwiecistej, pięknem kapitelów i powagą cyprysów. Pokonałem pustynię złotą, co mnie już pochłaniała. Tak, mój drogi, nigdzie w takie katakumby nie zapuszcza się dusza Europejczyka, jak w Rzymie. — Ale, wracając do Słońcowa, zatem obiecujesz przyjechać na otwarcie kooperatywy naszej za dwa tygodnie?

Węgrzecki przyrzekł.

Gdy dnia następnego wieczorem Syreń pędem zbliżał się w samochodzie do Słońcowa, zauważył na jasnem tle wieczoru jesiennego brzask jakgdyby łuny nad lasem. Zaniepokojony spytał Barnabę, coby to miało znaczyć.

— Lampy acetylenowe, panie dyrektorze — uśmiechnął się łobuzersko Barnaba.

— A cóż to?

— Pan inżynier sprowadził, bo noce teraz prędkie, to robota idzie przy lampach.

— Ale przecie to już dziesiąta a robotę kończy się o ósmej.

Szofer nie odpowiedział, zresztą i czasu nie było, bo samochód wpadł już na główną drogę Słońcowa t. zw. „towarową“, prowadzącą do magazynów, szop i garażu. Ponieważ Syreń mieszkał w innej stronie więc, sądząc, że szofer zmylił drogę, zamierzał go zawrócić, gdy las zagrzmiał. Z pośród drzew wypadli z krzy-

kiem ludzie, zatrzymali samochód i porwali Syrenia na ramiona. Zanim ochłonął, już nieśli go wśród wołań i wiwatów między drzewa obwieszone lampionami, nie zważając na jego szamotanie się, bo Syreń poznawszy swych robotników nie rozumiał, o co chodzi i próbował wyrwać się, ale przeciwko sile Baranicy poradzić nie mógł. Radośnie pokrzykując, nieśli go przez polanki i działki leśne ścieżyną oświetloną lampkami, a kiedy protestował głośno, zahukiwali go wołając: Niech żyje pan dyrektor! — Ależ to pomyłka! — darł się na całe gardło. Moje imieniny nie dzisiaj, warjaci! Dokąd taszczycie mnie, zbóje, ja przecie mieszkam za Domem Wspólnym.

Nic nie pomogło.

Po kilku minutach jął poprzez pnie oprzędzione mgiełką jesienną mżyć blask jakby od wielkiego ogniska, a gdy wesoła gromada wyszła z pomiędzy drzew na polankę, potop światła chlusnął im w twarze.

Syreń patrzył zdumiony. O kilkadziesiąt kroków przed nimi płonął rzęsiście oświetlony, u węgłów gorejący potężnemi lampami acetylenowemi fronton dworku zupełnie wykończony. Białe ściany lśniły oślepiająco na tle ciemnego muru drzew. Z obu stron domku rozkładały rosochate konary sosny, obciążone mnóstwem lampionów i jedna wysmukła jodła za-

glądała na balkon, a nad gankiem wisiał napis ułożony z gałązek jedliny: „Niech żyje Juljusz Syreń, założyciel Słońcowa“. Między dwiema kolumienkami czekała Stasia w strojnej, jasnej sukni. Naszyjnik brylantowy ujmował jej głowę glorją światła. Do jej kolan tuliły się dzieci a za nią stał Kurzyna ze swymi pomocnikami. Twarze rozochocone, wesołe, jak te światła zewsząd bijące, napełniały dworek huczną swawolą. Robotnicy spuścili Syrenia z ramion i znikli a w tej chwili gruchnęły strzały wiwatowe a na niebo wyblakłe bryznęły z sykiem pająki rac różnobarwnych. Raz po raz rozlegały się okrzyki, głuchy huk rakiet i rozprysk świateł oblewał chłodną czerń lasu gorącem barw rozmaitych.

Syreń oczarowany, tętniący radością wbiegł na ganek, obejmował dzieci i żonę, całował Kurzynę, raportującego mu pokrótce, jak to ściągnął z trzech innych placów załogę robotniczą, aby w tygodniowym terminie wykończyć dworek do ostatniego gwoździa. Wziąwszy pod jedno ramię Stasię pod drugie Kurzynę, leciał z pokoju do pokoju, podziwiał nieskazitelny błysk posadzki, świetną biel ścian, zacisze pokoików wypełnionych już niezbędnemi meblami. W środkowym, „jadalnym“ pokoju rozpościerały się stoły zasłane śniegami obrusów na wspólną kolację. Pokój na lewo przezna-

czyła Stasia na sypialnię. Na prawo był pokój dla dzieci. Syreń nie posiadał się ze szczęścia. Ale gdy wszedł na piąterko rozpływał się wprost z rozrzewnienia. W dwóch małych pokoikach umieściła Stasia całe jego biuro, księgi rachunkowe, dokumenty, kasę, jego ulubione obrazki z Sykstyny, Mojżesza Michała Anioła, kopię wykutą w marmurze, portret Mickiewicza i Piłsudskiego, oraz małą, doborową bibljoteczkę.

Uczucia naiwnego zachwytu, wonne i czyste, niby barwy kwiatów, tryskały z jego serca, a dusza, zaprawiona w ciężkich bojach, schlastana występkami i grzechem doznała takiego uniesienia jakby odrosły jej skrzydła anielskie, zszarpane i sterane w ciągu życia. Ludzie znowu wydawali się promienni i światli niby motyle czarujące. Pełnia uczuć nabrzmiewając w miarę jak obejmował szczegóły swego gniazda w Słońcowie, przerwała wreszcie tamy woli i łzy, jak deszcz majowy, spadły z oczu. Wstydząc się ich oddalił się na balkon i tam zapłakał jak dziecko.

Mleczno-sine niebo wisiało nad Słońcowem niby czaprak nabijany brylantami swych światów a las szeleścił i szumiał dobrodusznie. Syreń podniósł wzrok na gwiazdy i zdało mu się, że z niezmierzonych opon niebieskich wyłania się twarz tamtej kochanki, śmiertelnie miłowa-

nej, dawno, dawno zgasłej Izabelli. Czemuż tu jej niema teraz? — westchnął a mrok ciemny przejął na chwilę serce oszołomione. Lecz była to chwilka tylko... bowiem Jej... pośród gwiazd... jakże niewymowne wesele jest dostępne... Więc spojrzał na tę twarz umiłowaną spojrzeniem otwartem, czując, że nie mąci jej nijaka skaza wyrzutu. Tak jest! Czysty jest i obmyty ze wszelkich brudów, klarowny niby światło gwiazd i jak one nieśmiertelny. Zwyciężył siebie czyli świat. Ninie dzierży go mocno w ręku i nie wypuści nigdy, nawet gdyby weń uderzyły moce okropniejsze niż te, z jakiemi borykał się dotąd. Teraz ma w sobie skupioną energję słońca, którą odziedziczył i nie zagubił, którą odda światu posępnemu, tarzającemu się jeszcze w gnuśnych przegubach węża ciemności i zła. Stąd, ze Słońcowa, od Świątyni Bóstwa rozpromieni się światło...

Tak będzie, Izo, tak? — — Lat tyle nie rozmawiałem już z Tobą... aż dopiero dzisiaj, teraz...

Poznaję. Wracam do siebie czyli do ciebie, któraś jest, chociaż niema cię.

I zdawało mu się, że twarz jej ziemska, lecz jasnością prześwietlona nachyla się nad nim uśmiechnięta, łaski pełna i miłości.

To Stasia, co od chwili już stanęła przy nim, okiem miłości rozpamiętując twarz jego wil-

gotną jeszcze od łez, zachwyconą i spokojną zbliżyła do jego warg swe usta ciepłe i dotknęła ich pieściwie.

Ale nie pozwolono im długo zażywać samotności. Wesele już rozhuśtało się w ludziach. Z hukiem i dudnieniem wpadli do nich robotnicy i zabrali na dół.

Zasiedli do kolacji, ale zanim wzięli się do jedzenia, podniósł się ruchem szybkim, rzekłbyś bohaterskim, Kozioł i wbiwszy w Syrenia oczy przysięgłe, czekał aż się uciszy gwar.

— Wielmożny panie dyrektorze — zaczął i urwał motając dokoła palców wyrudziałe wąsiska. Tośwa obaj, ja i Baranica wyśpekulowali — no nie?...

Aby sobie dodać ducha odwrócił się do Baranicy, ale ten ani mrugnął ani mruknął.

— Pan inżynier dał swoją zgodę i wzięliśwa się do roboty. No nie, chłopcy?

W tem miejscu znalazł poparcie w ogólnem chrząkaniu.

— Hano dzień nie dzień, noc nie noc, nikto nie patrzył dniówek ani płaty... Bo to dla pana dyrektora! — Znów przerwał a potem, wzbiwszy głos wysoko, powtórzył: — dla pana dyrektora naszego...! — Zatchnął się ponownie i dalej nizał sercem: — Hej, takiego ojca na ludzi, to człek nijaki, jak świat światem... Albo kiej to z wiesną przyszedł człowiek, oj nędza

to była, nędza, wiecie no nie? Szedł se człek z kijaszkiem a trącał kamyczki w ryn'stoku na Czypławie, myślący, co Bóg miłosierny zlituje się ano kamyczki one poodmienia na chlebuś. Dzieciska chlipały, baba do garnka nie miała co włożyć — o wojno, wojno ty nasza!

Kozioł łypał powiekami i rozglądał się po wszystkich, szukając słowa. W gardle mu grało, że nie wiedział co i jak. Wparł oczy w Syrenia, wyprostował się jak przed frontem, zakończył kilkakrotnym okrzykiem na cześć pana dyrektora i usiadł dopiero wtedy, gdy reszta podjęła grzmiąco namaszczony vivat. Syreń ucałował się z mówcą, który ze wzruszenia chciał go „buchnąć w mankiet".

Uroczysta oracja Kozioła sprawiła, że goście zrazu milczeli solidarnie. Jakoś obco im było w pokoju rzęsiście oświetlonym i nieco przyciasnym. Naogół odziani byle jak, tylko paru, jak Fermoda, ślusarz Łukniewski, posępny Fidzik i Kurt paradowali w długich surdutach lub w żakietach. Nijako im było ucztować przy Kurzynie, który surowym, jak zwykle, wzrokiem gasił ich swobodę. Powoli jednak gospodarze dworku zdołali przywołać wesołość, częstując i zachęcając do jadła i napitku, co wnet przywróciło towarzystwu swobodę.

— Pijcie chłopcy, to wszystko nasze! — za-

wołał Fermoda po którymś tam kieliszku i chytrze śmignął okiem w stronę Syrenia.

— Wszystko — przytwierdził Syreń — cały Słońców jest nasz.

Wtedy Fermoda wymierzył zuchwale w Stasię:

— Prawda była! Takich brylantów żadna z naszych nie zawiesi sobie na karku.

Stasia zaczerwieniła się jakby w nią ogniem rzucił.

— Cie wy! — zakpił Ładziński o twarzy rzeźbionej, przypominającej głowę drapieżnego ptaka. — Pociągnął za wiele, wódki widać niezwyczajny, to go brylanty kłują w ślipia. A dawno to, Fermoda, jak twoja baba klektała po Czypławie w drewnianych kłapciach aże się ludzie zlatywali do Fary myślący, co to dzwonią na roraty.

Wszyscy huknęli śmiechem.

— Ja to ino tak, nie przez zazdrość — tłumaczył się Fermoda. A tobie nic do mojej!

Syreń wstał i ostro zareplikował.

— Wam, Fermoda, tych brylantów nie oddałbym, ale gdyby trzeba było na Słońców, pewnieby ich moja żona nie pożałowała. Ja myślę, że gdyby do tego przyszło, to każdy z was oddałby także wszystko, byle Słońców wspomóc.

— Dałbyś to, Fermoda? No? gadaj! — gadaj! — zawołano z kilku stron.

— Niech ta was o to głowa nie boli! — wykręcił się Fermoda, kryjąc swe czarne, głucho świecące oczy pod powieki.

— Szczygłaby dał, co na gałęzi muzykuje — zadrwił Ładziński.

— E, co ta o to — odezwał się milczący dotąd Fidzik. Albo to wiemy co i jak, na jakich to to warunkach... ano śmiech czy prawda?

Wtedy Syreń powstał i oświadczył:

— Prawda! Czemu nie wierzycie mi? Jak mówiłem każdemu poszczególnie tak i wszystkim tu zgromadzonym powtarzam: prawda jest! Statuty w Warszawie ułożone i skoro tylko dworki będą wykończone zaraz przystąpimy do założenia kooperatywy. Każdy z członków dostanie taki sam dworek, jak ja, za opłatą dwóch dniówek miesięcznie do kasy jako wkładka. Według zapewnień pana inżyniera dworki będą za dwa tygodnie skończone.

Słowa Syrenia wywarły na zebranych potężne wrażenie, zwłaszcza, że mówił uroczyście, głosem ostentacyjnym. Niektórzy oglądali się na siebie, wciąż nieufni, inni uśmiechali się chytrze, ale większość zdawna już ufała całkowicie.

— Taki domek — ciągnął Syreń odcinając wyraz od wyrazu — jak ten, z działką półtora-

morgową. Roboty będzie jeszcze dość dla każdego przynajmniej na rok a potem puścimy w ruch fabrykę.

Furman Lewocz, człowiek młody jeszcze, o twarzy dziwnie krągłej, jakby kobiecej, obłapił Syrenia za nogi i knychając z obłudnej rzewności jęknął:

— Dobrodzieju nasz!

Syreń odsunął go niecierpliwie.

— Proszę was stanowczo, abyście nie dawali mi takich tytułów. Ja tylko spełniam swój obowiązek...

Przerwał mu Kurzyna głosem świszczącym sarkastycznie:

— Namyślcie się, póki czas. Kto nie życzy sobie wejść do kooperatywy, może jeszcze wycofać się. Nikt go nie będzie zmuszał do przyjęcia domku i gruntu.

— Pewnie, pewnie — przytwierdzał ten i ów.

— Fidzik, cafcie się! — zawołał Ładziński.

— Caf się sam, capie — odburknął mu Fidzik.

— Widzisz go. Ano to co chamrasz tym jęzorem — ratował swoją opinję Fermoda, ale dorzucił: — Kiedy ci dają, to bierz.

Kopcik, który dotąd milczał, z naprężeniem sumując w swej głowie myśli, poprawił się wygodniej w siedzeniu i rzekł:

— Ja ta nie edukant ino powiem słowo głę-

bokie. Od kiela świat światem, chyba trafiłeś na loterji, to nikt jeden drugiemu po dobroci nie da, choćby i w familji. Ja ta chłop pośkodowany bez wojnę i na mój chłopski rozum, to nasz rachunek równiuśki a pan je stratny i tego naród nijak zmiarkować nie da rady.

Uśmiechnął się dobrotliwie.

— Jóżeśwa i z Baranicą i z Koziołem i z drugimi uradzali. My ino doświarczyli, co pan dyrektor to człowiek, o jakim my kaj kaj nie słyszały. Bo jak mizerota jaki dobry a miłosierny, to on nic nie ma a tu w tej ziemi niby na Słońcowie onym siła złota pańskiego. Bez to, za pozwoleniem łaski, naród je jak ten głupi.

— Dobrze, Kopcik — zawołał Syreń — odpowiem wam sumiennie, ale trzeba, żebyście moje słowa sercem pojęli. Jestem dzisiaj szczęśliwy a wiecie dlaczego? Bo wierzę, że jak to powiedział Kozioł, toście z dobrej woli i z serca przygotowali mi ten mój domek, jak i ja z serca powziąłem ten wielki plan stworzenia Słońcowa i oddania go tym, co go najgorliwiej budowali, czyli wam tutaj obecnym. Zawierzcie mi! Miłość zacznie rządzić światem, bo tylko w miłości jest siła i przyszłość świata. Dużo miałem złota ale nie byłem szczęśliwy, lecz jeśli nawet wszystko oddam będę szczęśliwy, skoro pośród siebie wykrzeszemy miłość wzajemną jakoby wodę źródlaną, dobytą z ziemi po ciężkiej pra-

cy. Słońców to twierdza przeciwko szatanowi. Nijakiego tu rachunku ja nie mam oprócz jednego, abyśmy tu żyli w zgodzie, prawdzie i czystości. To są proste słowa, chociaż widzą się ciemne. Wierzycież mi ludzie?

— Wierzymy! wierzymy! — runęło kilkanaście głosów.

Naraz podniósł się Baranica a w małych oczkach migotał mu ognik. Jego twarz, zazwyczaj cicha i łagodna, była teraz wzburzona i groźna. Wszyscy zwrócili się ku niemu a on ryknął:

— Waruj się ty tam jaki mącić, bo jak cię kałatnę...!

Obejrzał zwolna wszystkich jednego, po drugim i ciężko usiadł, ale po tych paru słowach ludziom dech w piersiach zaparło, jakby nad nimi zaciążyła straszna pięść siłacza i jego gniew święty. Baranica sam jakby zdziwiony wrażeniem swej krótkiej i węzłowatej oracji, chyłkiem i bezradnie przepatrywał twarze współbiesiadników, z których każdy zdawał się w zadumie samotnej coś w sobie roztrząsać. Wreszcie jego spojrzenie potulne zahaczyło o świecące, surowe oczy Syrenia i Baranica uśmiechnął się doń nieśmiało, jakby prosił o przebaczenie. Syreń odpowiedział mu szerokim, przyjacielskim uśmiechem, czego nikt niby

nie widział ale wszyscy to jakoś przecie dostrzegli.

— Ej ty Baranica, Baranica! — westchnął wtedy któryś z głębi serca.

— Mocny z was chłop, ano!

— Pięść ma jak ta baba wielka przy piecu hutniczym. Jak się uwali to aż ziemia jęczy.

I naraz rozruszała się znowu wesołość. Przymknęli się do Baranicy i jęli mu świadczyć a podtykać to wódki, to piwa, a on nie odmawiał, bo miał „sielny spust". Gwar wzmógł się. Jeden przez drugiego już pokrzykiwał i hałasował. Baranica zaś przysunął się do Syrenia z miną zasępioną, jakby mu chciał rzec coś nader ważnego, i najpierw długo tarmosił sobie włosy a potem zagadnął:

— Wasza to pierze pana dyrektora kiedyniebądź?

— Moja żona?

— Juści, kiej na ten przykład, nazywa się, człek sobie popuści w trunku albo co...

Syreń pohamował śmiech serdeczny i uściskał Baranicę.

— Nie każda to przecie taka bitna, jak wasza, Wojciechu!

Inni widząc jak to się oni ściskają, dalejże całować się i obejmować. Hulaszcza uciecha burzyła w głowach i szumiała. Namówili Baranicę, aby pokazał swą siłę dźwigając baryłę

piwa na jednem ramieniu. Ładziński aż do podziwienia wiernie naśladował głosy ptaków, że aż wrony, wróble i sikorki po gniazdach ze snu pobudził i do odpowiedzi przymusił. Nakoniec przyniesiono gramofon, a że jedna tylko była tancerka więc się chłopy pobrali za bary i podrygiwali przytupując i pohukując. W tanach zaś przywodził mały, krępy ale zwrotny jak piłka Fermoda znający nawet tańce wymyślne, wielkomiejskie. I tak mignęła im noc, jak chwilka, to też wielce się zafrasowali gdy zabuczała chrapliwie trąba stróża nocnego, wzywająca robotników na place. Kurzyna obwieścił, że biesiadnicy zwolnieni są na dzisiaj od pracy i towarzystwo rozeszło się, ćmokając Stasię po rękach i głośno chwaląc sobie zabawę.

Syreniowi nie było jednak do snu. Wyszli ze Stasią przed dom i cieszyli się niebem, co z cienia nocy zachodziło w mglisty seledyn, jaśniejący już od wschodu, a gwiazdki jedna po drugiej znikały w otchłaniach błękitu, jakby gasiła je dłoń niewidzialnych aniołów. Szare ubogie sosny, brzozy szelestne, chojary podlejsze i jałowce dziergane ślicznie stały nieruchomo cichutkie, a ponad Słońcowem przeciągała czarna chmura wron, żeglując i kracząc. Dzień jesienny zapowiadał się pięknie.

— Przypomniał mi się pewien poranek z me-

go dzieciństwa — mówił Syreń. Wstałem wcześnie, aby obkuwać się Homera i cicho, jak mysz, wymknąłem się na podwórze, żeby kogo w domu nie zbudzić. Niebo było czyste i taka sama czerń ptactwa płynęła nad moją głową. Tęsknota ścisnęła mi piersi. Przytuliłem się do pnia czeremchy, rosnącej pod oknem, i zapłakałem ścigając okiem pożądliwem ptactwo kędyś lecące. To pewnie do nieznanego, nęcącego życia rwała się dusza chłopca. Wiesz co, Stasiu, późno już na sen. Jeżeli nie jesteś bardzo zmęczona, chodźmy obejrzeć dom na Bernardynce i tę czeremchę... Wyobraź sobie, że jeszcze tam nie byłem od czasu powrotu do Czypławy.

— I ja nie byłam...

— Jakbyśmy unikali czegoś... To źle.

Jej oczy roziskrzone, śmiejące się przygasły. Syreń dodał:

— Właśnie trzeba oko w oko...

Zdecydowała się odrazu:

— Dobrze. Jak chcesz. Chodźmy.

Spuścili się szosą do miasteczka. Obok potrzaskanych ścian „Sokoła", minąwszy kościół Bernardynów drzemiący w rozbujałych cytrynowo-rudych obłokach kasztanów, wstąpili, trzymając się mocno za rękę, w uliczkę zwaną Bernardynką. Z obu jej stron przykucnęły po ogródkach domki parterowe o dachach zaklęsłych od starości, pokrytych gontem, nakra-

pianych zielonemi brodawkami mchu. Kilka z nich sterczało nagiemi żebrami zapadłych dachów i żałosną pustką zburzonych wnętrz.

Stanęli wreszcie przed domkiem rodzinnym. Syreń dumał w milczeniu, Stasia zacięła usta. Okrążyli domek najpierw od ulicy, potem przez połamaną bramę, skrzypiącą jękliwie poszli na podwórze i zatrzymali się pod czeremchą.

— Bawialnię i nyżę rozwaliło doszczętnie, — przemawiał Syreń do siebie. A to tutaj mieszkałaś z matką w kuchence i sypialnym. Znać świeże łaty na dachu, zapewne te, co to saperzy Granowskiego...

— Juleczku, kochanie — przytuliła się doń błagalnie.

— Nic, nic — malutka... Ależ ta czeremcha starowina! — mówił opatrując wrzody i schorzenia pnia, który rozsiadł się pokracznie, ledwie dźwigając ciężar konarów. — Cóż, babciu, pamiętasz ty moje łzy i uściski chłopięce? Bo ja nigdy o tobie nie zapominałem, zwłaszcza o twoich panieńskich, cierpko pachnących kwiatkach. Pomnisz? W maju, gdy się budziłem, kwiatki jej patrzyły na mnie niby oczy anioła-stróża. Że też kule ją ominęły! Z dzieciństwa mego tylko tę czeremchę, ogród i łąkę bernardyńską wspominam z żalem. Byli to moi wychowawcy. Ale cieszę się, że tę ciemną bawialnię wojna starła z powierzchni ziemi. Nie

lubiłem jej. Ty, Stasiu, ojca mego nie znałaś. Był to człowiek gwałtowny i despotyczny, jak matka, i budził we mnie tylko strach. Pamiętam jak raz znęcał się nademną w tej właśnie bawialni, nie wiem już za co. Zdusił mnie za gardło i bił główką dziecinną o ścianę. Od tego czasu nienawidziłem go i właściwie po dziś dzień, chociaż przecie dawno już zbutwiał w ziemi, nie pogodziłem się z krwawo-fioletowym blaskiem skóry na jego krogulczym nosie. Chodźmy stąd.

Podwórko szerokości kilkunastu kroków zwężało się tuż za domem, tworząc potem kształt nieforemnego czworoboku. Od sąsiednich ogrodów odgradzały je połamane, sparciałe żerdki — resztki dawnych sztachet. Przy końcu dziedzińca siedziała studnia. Gdy Syreń nacisnął palcem poduszkę zupełnie już stoczonych belek cembrowiny, próchno wytrysnęło złotym kurzem. Walec pogięty, łańcuch zgryziony przez rdzę, wiaderko tak spaczone, że chyba połowa wody zeń wyciekała, tworzyły obraz smutnego opuszczenia i niechlujstwa.

— A wydawała się we wspomnieniu jasną. Była otoczona wiankiem zielonym mchu, powierzchnia wody błyszczała zawsze jak lustro, w którem przegląda się różowa, ekstatycznie zadziwiona, trwożna twarzyczka dziecka... dumał Syreń głośno.

Nachylił się i wzdrygnął:

— Plugawa woda jak oczy zaropiałe.

— Wracajmy już, Julku — prosiła Syreniowa. Mieliśmy noc taką szczęśliwą, po cóż ten smutny ranek?

— Nie uciekniesz, malutka, przed niczem, ani przed upiorem przeszłości ani przed śmiercią w przyszłości...

Za parkanem u sąsiada był ogród pełen jabłoni. Drzewa pozbawione owocu lśniły gałęźmi, których liście rzadkie, zrudziałe w środku, zczerniałe u brzegu poruszały się leniwie.

Blady świt poranka oblewał przyćmionym blaskiem jesieni konary wyłysiałe, łuszczące się a korę ich owiewał fioletowym obrzaskiem. Tylko w koronie jednej papierówki wisiało jeszcze zapomniane, jedyne jabłko, krągłe, białe, soczyste, błyszcząc w przymglonych półcieniach, jak księżyc. Uśmiech figlarny ożywił usta Syrenia. Porwał się, skoczył, kopnął nadgniły kołek płotu i z chłopięcą zwinnością jął wdrapywać się na jabłoń. Zanim Stasia miała czas powstrzymać go, już piął się, obcisnąwszy kolanami pień, i hycał z gałęzi na gałąź, mierząc odległość dzielącą go od jabłka. Już chwytał je...

Ogródek należał do chałupki tak spłaszczonej i koślawej, że dach jej niby opuszczone rondo kapelusza sięgał prawie ziemi. Otóż gdy Sy-

reń triumfalnie dzierżył zdobycz w ręce, wypadł z owej rudery staruch drobny, w skórzanym fartuchu, w okularach na czole, i utykając, trzęsąc się, kiwając na boki, jak odarta z pierza kaczka, gnał do ogródka. Z gardła wydobywał mu się jakiś gulgot wyzwisk i klątw, których znaczenie można było raczej odgadnąć z okoliczności, niż zrozumieć. Syreń właśnie schodził z gałęzi na gałąź, ale już było za późno. Właściciel jabłka czyhał pod drzewem.

— Nareszcie udało się panu, panie Chrupko, złapać mnie. Po raz pierwszy od czterdziestu lat mego życia — prawił z góry do starucha, który w odpowiedzi zagulgotał jeszcze gniewniej.

— No i co? Pamiętasz pan — naigrawał się Syreń, rozsiadając się w siodle między dwiema gałęziami, — jak to zawsze i regularnie bywało. Pan myk z sieni do ogrodu a ja buch w dziurę w płocie. Zawsze tak było. Ani razu nie capnął mnie pan in flagranti. Dopiero dziś... Cóż pan teraz ze mną pocznie? Obedrzesz mnie ze skóry czy oddasz policji? Udało się panu, ani słowa.

Stary sapiąc i żując szczękami jął się rozglądać dokoła a Syreń szyderczo i bacznie obserwował go z góry, jak bocian żabę. Prześladowca cofnął się parę kroków w stronę płotu z tajnym zamiarem zaopatrzenia się w jakieś

tęgie narzędzie kary, ale na ten moment przełomowy czatował Syreń. Jednym susem zesmyknął się z gałęzi, skoczył na ziemię i już był przy Stasi, bezpieczny teraz, bo na swojem terytorjum.

— Nigdy, nigdy mnie pan nie złapiesz, panie Chrupko! — zawołał kryjąc się za Stasię i z pod jej ramienia pokazując staruchowi białe, pachnące jabłko.

Pan Chrupko dreptał, groźnie machając nadpróchniałym prętem, zbliżył się o krok, spuścił okulary z czoła na oczy i teraz dopiero poznał Syrenia.

— To to ty, huncfocie? — wybąknął.

— Ja.

Staruch sponsowiał.

— Zawsze zrywałeś mi jabłka.

— A pan nigdyś mnie nie złapał.

— Obraza boska! — ciskał się pan Chrupko. Mój czeladnik uciekł na Przybyszówkę. Tam wesoło — pada — gramofon — pada — Syreń sieje złotem — pada — hołota! — fanaberje — bez księdza — masony!... pocięglem ich...

— Dobrze pada, panie Chrupko, ale jabłko moje.

Pan Chrupko rozczapierzył palce, aby uchwycić jabłko, ale Syreń w mig uciekł z ręką tak, że stary zaczepił paznokciami o bluzkę Stasi.

— To to tak? — kpił Syreń. A wstyd, żeby

w tym wieku podskubywać kobiety. To to dopiero fanaberje, to to obraza boska. Gdzie siwe włosy, gdzie godność majstra i obywatela Czypławy. To wszystko wódka, panie Chrupko. Jeszcze się pan nie oduczyłeś pić?

— Huncfot, urwisz, latawiec! — warczał pan Chrupko.

— A jabłko moje!

Stary aż piał ze złości ale zrozumiawszy, że nic nie poradzi, z furją nadział okulary na czoło i podreptał na swoją stronę.

Syreń objął Stasię i wzięli się do jabłka, zajadając naprzemian według przepisu Starego Testamentu.

— Pyszne, panie Chrupko, wyborne, dziękujemy ślicznie! — wołali jeszcze wchodząc do ogrodu zaczynającego się za studnią, który należał już do posesji Syrenia.

Dróżka przerośnięta świeżą jeszcze trawą, prowadziła między krzakami agrestu i malin, których łodygi i wypłowiałe badyle spowijał kędzierzawy gąszcz chwastów, pokrzyw i wszelakiego zielska. Z obu stron ścieżki plątała się na skopanej grudzie nać ziemniaczana, a gdy wsunęli się między wyłysiałe zarośla porzeczek, rozpostarła się przed nimi łąka obszerna, okryta pozłocistemi grzybami kopek siana.

— Przypominasz sobie? — szepnęła mu do ucha. Kopy siana...

— Wtedy w lecie? Kopy siana... nie, Stasiu, to nie tu, ale na łące należącej obecnie do Słońcowa.

— No, mówię ci... Tego się nie zapomina nigdy.

— No to chodźmy tam.

— A płot?

— Hyc bez płot! Oduczyłaś się skakać przez płoty?

Zachichotała, podbiegła, jedną stopę oparła o listwę poprzeczną i już bujała w powietrzu, jak wielki ptak, wspierając się końcami palców na trójkątnych ostrzach tarcic.

— Trzymaj, łapaj! — zawołała machając ramionami a nozdrza jej drgały, wciągając pachnące powietrze.

Syreń przesadził płot i stanąwszy na łące nadstawił ręce. Klęknąwszy na jego barkach, dłońmi wplótłszy się w jego dłonie, ześlizgiwała się po nim na ziemię.

— Ciężkam, co? — dyszała falującemi piersiami, i objąwszy go za szyję, tchnęła w niego żarem z rozchylonych ust.

— Jak grzech...

— Tu czy nie tu? — pytała kusząc zamglonemi oczyma.

— Jeżeli nie wtedy, to dzisiaj...

— O nie!

Wyrwała mu się i biegła po ostrych kolcach niedawno skoszonej trawy, podtrzymując rękami rozsypujące się włosy. On za nią. Musiała wkońcu zatrzymać się z powodu onych włosów, ale w tej właśnie chwili dopadł ją i porwał z takim rozmachem, że potoczywszy się razem kilka kroków wpadli w stóg siana jak para wróbli - trzpiotów. Z siana biła woń niby z kadzielnicy olbrzymiej a słońce pełne już i wyraziste, płonąc na błękicie niepokalanym, błogosławiło ich ciepłem łagodnem.

Zaplatając włosy odpędzała rozgrzane usta męża brodzące po jej piersiach, smagała go biczami warkoczy albo ze śmiechem strącała jego głowę z kolan. Nagle zdrętwiała.

— Ksiądz gwardjan! — pisnęła strwożona, zakrywając piersi wychylające się z pod niedopiętej bluzki.

Syreń zwrócił głowę w stronę nadchodzącego starca wielkiego wzrostu, z białą brodą, ubranego w habit cynamonowy z ogromnym kapturem na plecach i podpasanego białym sznurem. Kiwnął starcowi uprzejmie głową i zawołał:

— Laudetur...

— In saecula... co ja widzę? — młody pan Syreń a to...

— A to pani Syreniowa.

— W imię Ojca... zaczął gwardjan.

— i Syna i Ducha i tego słońca, co nas darzy życiem i miłością, zapładniając ziemię na wiosnę, by na jesień wydała owoce...

— Zamilcz, bluźnierco! — zrzędził starzec. Tyle lat! Jesteś już dojrzałym mężczyzną. Myślałem, że się ustatkujesz. Zgroza! Co ty tam z tym swoim Słońcowem, bój się Boga! Pieniądze tylko marnujesz, a kto ci je dał? — Pan Bóg!

— Tak jest. Zarobiłem je na dewocjonaljach, księże gwardjanie.

— Zasłoń się przystojnie! — zgniewał się zakonnik na Stasię, która przysłuchując się z ciekawością rozkrzyżowała ramiona na piersiach. Gorszyciele! Tu mi będą urządzać igraszki na łące klasztornej i to małżeństwo od tylu lat!

— Nie widzieliśmy się długie lata, księże gwardjanie... Byłem na wojnie.

— Na wojnie! na wojnie! Bóg jeden wie, gdzieś ty się tam wałęsał. I to Czypława musi wstydzić się przed światem za takie dziecko.

— Tak, tak, właśnie Czypława — śmiał się Syreń. Nie będzie już Czypławy, księże gwardjanie, gdy się mój Słońców rozrośnie. Wtedy koniec z Czypławą, finis, amen in saecula! — i wyciągając ręce do słońca zawołał: — Dzięki ci, iż za złoto ziemi dajesz mi złoto

życia i nadziei. Bądź pozdrowione jakoś mi w Rzymie objawiło drogę i ukazało cel. Tyś mnie przywróciło sobie i mej duszy, w której mieszka Bóg.

— Przestań bluźnić poganinie! — rozzłościł się starzec. Zawsze cię lubiłem, ale boję się, że mnie Bóg skarze za miękkość serca, bo tacy jak ty nie są godni miłości a miłosierdzie rozzuchwala ich.

Syreń pocałował gwardjana w rękę.

— Nie odmawiaj mi swej przyjaźni, księże. Ja tylko idę innemi szlakami. A czyż i w kościele nie wolno, bardzo, bardzo wiele, byle nie gorszyć maluczkich a za mury nie wynosić wielkiej prawdy, iż jeden jest Bóg ale Synów ma wielu, których ino porozsadzano po różnych folwarkach bożych na utrapienie ludzkości a na szkodę samej sprawy...? Ale ja nie liczę się do „maluczkich“ przecie...

— Ty, ty, szaławiło. Gorszy język twój, niż serce — mruczał ksiądz rozrzewniony, trzęsąc brodą ze wzruszenia. Ja to wiem ale tylko ja jeden i dlatego ci przebaczam, przebaczam.

Starzec podniósł dłoń bladą w górę.

— A tej tu córze Ewy nie przebaczysz, księże gwardjanie? — pytał Syreń żartobliwie, wskazując na żonę, co onieśmielona stała pod stogiem z oczami spuszczonemi.

— Słyszałem, żeście się pogodzili i żyjecie

wspólnie po bożemu. Wszystko do nas dochodzi. Uszy Kościoła słyszą najtajniejsze myśli. Jakże dzieciaczki?

Stasia przypadła mu do rąk:

— Zdrowe, jak dwa jabłuszka świeże, proszę księdza gwardjana.

— Jać to przecie chrzciłem je. Ja dawałem przecie błogosławieństwo ślubne wam i twoim rodzicom... świeć im Panie! Rozkopaliście mi tu siano, widzicie ich, stare dzieciaki! A co to to gadają o tej jakiejś „Świątyni Bóstwa“ tam?

— Wszystko prawda.

— I po co to to, po co?

— Dla prawdy, księże gwardjanie. Albowiem jeden jest Bóg...

— No już nie gniewaj mnie... Czas wracać, bo mnie już nogi ledwo niosą. A nie wyzywaj Boga! — mówił żegnając się i dając im ręce do ucałowania.

— Jać Go nie wyzywam, ino ja Go słucham, gdy Go słyszę... A słyszę Go znów od wieczora wczorajszego a teraz w twojej dobroci, księże gwardjanie, w miłości mej żony, w ćwierkaniu ptaków i w mem sercu radosnem, że się urzeczywistnia me marzenie.

Ksiądz gwardjan szedł wolno w stronę jarzących się białem światłem murów klasztoru. Jego broda srebrzyła się jak wełna najczystszego baranka a wargi przerabiały modlitwę.

Syreń odjął od niego wzrok i ujrzał w złotorudej burzy drzew jesiennych czerwone korale jarzębiny na tle jasnego błękitu. Weselne uczucie zalało wprost jego duszę. Ogarnął spojrzeniem Stasię, łąkę, ogrody, niebo, świat cały i, założywszy dłonie na głowie powiedział: — Dzisiaj jestem szczęśliwy.

Ale trzeba już było wracać do Słońcowa, więc wziąwszy się pod ręce weszli na ulicę, ciekawie przypatrując się miasteczku tak dobrze znanemu zdawiendawna, w którem jednak teraz nigdy nie zatrzymywali się w drodze ze stacji do Słońcowa. Nie zważali na wybałuszone na nich gały Czypławian przylepiających twarze do małych okienek i rozpłaszczających policzki i nosy, aby tylko zobaczyć legendarnego już Krezusa. W pobliżu Bernardynów wytoczyła się naprzeciwko nich figura mięsista, opatrzona we dwie miotły wąsów, w bary jak łomy i kloce stęporów, z wierzchu nakryta panamą. Był to pan Wierczak, ongi czeladnik piekarski, dzisiaj patrycjusz miasta, matador i gulon nad gulony, zwłaszcza że właściciel trzech kamienic i największej w mieście restauracji. Kark fałdzisty, oczki zerkające szparą z pomiędzy wałów tłuszczu, sam wreszcie krok masywny i ciężarny świadczyły dostatecznie o ważności ciała i ukrytej jakoby w środku duszy. Nie robiąc sobie ceremonji z tą

furą szanownego mięsa, która zatarasowała im chodnik, prowadził Syreń żonę nie ustępując z drogi. Ale zdziwił się bardzo, gdy Wierczak nietylko usunął się ale nawet skwapliwie ściągnął kapelusz, złośliwie zresztą i ponuro kłując dziedzica Słońcowa sztychami swych oczu. Syreń zorjentował się, że to miljony hołd składają miljardom i protekcjonalnie kiwając dłonią rzekł: — Servus, servus, Wierczak.

Bogacz odchrząknął coś, ale Syreń nie przystając minął go i powiedział do Stasi chichocącej triumfalnie: — Ta beka tłuszczu ma wzrok zbója. On coś knuje.

VIII.

Praca w Słońcowie rwała naprzód w tempie gorączkowem. Zimna wytrwałość Kurzyny, naprężona jak struna do najwyższej wytrzymałości udzielała się robotnikom. Jego postać mała ale krępa, jak węzeł, przemykała się po wszystkich placach budowlanych zjawiając się i znikając jak błysk szprych roweru, którym jeździł, aby jak najszybciej przerzucać się z miejsca na miejsce. Syreń miał pieczę nad całością prac, przez jego ręce przechodziły zapotrzebowania materjałów, rachunki, wypłaty robotnikom i dostawcom. Ale nieraz, zmęczony pracą biurową, stawał do czarnej roboty, nosił głazy albo cegłę, lasował wapno, kręcił korbę przy windzie. Nie wystarczała mu świadomość, że to jego pieniądze z nicości wyprowadzają na jaśnię wielkie dzieło, on pragnął wyczuwać niejako zmysłowo narastanie Słońcowa, jakby musiał oczywistość faktu stwierdzić jeszcze własnym dotykiem i ciężkim wysiłkiem. Kurzyna wyśmiewał się wtedy z niego, ale sam zarażony przykładem, zdejmował niekiedy bluzę i pomagał. Robotnicy lubili ich za to, to też

praca wytężona koncentrowała potężną energię, udzielającą się wszystkim. Noc nie stanowiła przeszkody. Rozpoczynało się pracę o czwartej z rana przy świetle reflektorów i lamp acetylenowych a chłodna lecz sucha jesień sprzyjała budowie.

Teraz zresztą pracowano już głównie około dachów, wprawiano drzwi i okna, ustawiano piece, wstawiano łazienki, bielono ściany i wyciągano przy pomocy piecyków żelaznych wilgoć tkwiącą w świeżych murach. Codziennie, czasem dwa razy na dzień pojawiał się przed kierownikami któryś z podmajstrzych meldując: „numer taki i taki gotów!“, co miało znaczyć, że znów jeden dworek przybywał do liczby wykończonych i przyszykowanych do zamieszkania. W pierwszej połowie listopada trzydzieści dworków czerwieniło się już dachówką i jaśniało bielą ścian niby pudełka pięknie wymalowane. Wobec tego Syreń ustanowił dzień piętnastego listopada jako termin otwarcia kooperatywy.

Oprócz Syrenia, Kurzyny i robotników powołanych do uczestniczenia we współdzielni mieli jeszcze przyjechać z Warszawy poseł Węgrzecki i kapitan Siodłowski.

Dzień był przykry, szary, głuchy. Pluta pluszcząca od dwóch dni zamieniła drogi i ścieżki słońcowskie w bajora błotne, rozlewające

się żółto-mętnemi sadzawkami. Tumany mgły wilgotnej włóczyły się między drzewami a zakisłe powietrze wdzierało się nawet do wnętrza mieszkań. Syreń czuł w głębi duszy urazę do natury za tę obojętność, niemniej od wczesnego ranka zajęty był namiętnie porządkowaniem dokumentów osobistych przyszłych dziedziców Słońcowa. Akt miał odbyć się jak najformalniej i po przyjęciu statutu, podpisanego przez niego, Węgrzeckiego i Siodłowskiego jako założycieli, zarówno sprawa przystąpienia każdego członka poszczególnego do kooperatywy jakoteż akt zajmowania dworków miały być zatwierdzone rejentalnie.

Węgrzecki i Siodłowski przyjechali w południe a już o godzinie trzeciej Syreń otworzył zebranie. Powiedział parę słów zaledwie, poczem zaraz przystąpiono do rzeczy. Po przyjęciu statutu nastąpiła rejestracja członków, następnie stwierdzano rejentalnie, który dworek kto obrał sobie za mieszkanie, wkońcu zaś nastąpiły wybory do zarządu. Posiedzenie przebiegało w atmosferze naprężonej ale niczem nie zakłóconej powagi. Dopiero wynik wyborów do zarządu wywołał wśród ściślejszego grona wtajemniczonych konsternację. Okazało się bowiem po wyjęciu kartek z urny, że do zarządu, składającego się z trzech osób, powołało zebranie na miejsce proponowanego Baranicy

większością dwóch głosów — Fermodę. Syreń zauważył, że kartki złożone za Fermodą były pisane jedną ręką, ale ponieważ wyboru dokonano prawnie, wolę większości należało uznać. Zarząd w osobach Fermody, Kurzyny i Syrenia (tych obu wybrano jednogłośnie) ukonstytuował się natychmiast, powołując na prezesa Syrenia, który oświadczywszy, że członkowie powinni w przeciągu doby zawiadomić, kiedy obejmą wybrane przez siebie dworki oraz, że w dniu wprowadzenia się mają wnieść do kasy kooperatywy czynsz w wysokości dwóch dniówek, zamierzał już zamknąć zebranie, gdy najniespodziewaniej poprosił o głos Fermoda. Obiegając czarnemi oczkami zebranych, z energją i swadą, jakiej nikt w nim nie przypuszczał, podziękował najpierw za wybór, poczem określił postępek Syrenia jako „wyjątkowy czyn kapitalisty, co zrozumiawszy kierunek czasu, sam oddał krwią naszą zdobyty kapitał, któryby mu zresztą proletarjat prędzej albo później zabrał, jak to zrobił w Rosji. Wszyscy kapitaliści powinni wziąć przykład z pana Syrenia, ale nie wezmą i wziąć nie mogą, bo przykład pana Syrenia potwierdza tylko regułę".

Przemówienie Fermody, jak najwidoczniej przygotowane i ułożone zgóry, oddziałało na zebranych deprymująco tonem zimnym i wyzywającym. Syreń odpowiedział krótko, że

nie zgadzając się z Fermodą woli jednak ze względu na uroczystość pierwszego zebrania nie wszczynać jałowej dyskusji. Zabrał jednakże głos Siodłowski i najpierw przypomniał obecnym, że był tu dawniej szewcem a więc także wie dobrze, co to jest proletarjat. Potem wojował, poznał również Rosję, bo wysłany przez komendę, udając bolszewika, przedzierał się tam w bluzie robotniczej i sprawdził, „że takiego draństwa, ucisku i okrucieństwa, jak u bolszewików nie było w żadnym ustroju kapitalistycznym chyba w starożytności“.

— Ja także byłem w Rosji — przerwał mu Fermoda.

— Kiedy?

— Na początku bolszewików.

— A ja byłem i w dziewiętnastym i w dwudziestym i widziałem robociarzy żywiących się korzonkami i wyklinających bolszewików od matuszki. Cóż wy na to?

— Ja ta nie frajer. Każdy wie swoje.

— Osioł także wie swoje choć ma długie uszy — chlasnął Siodłowski.

Węgrzecki, któremu Syreń oddał przewodnictwo od chwili przemówienia Fermody, przywołał wprawdzie „członka kooperatywy kapitana Siodłowskiego do porządku“, ale Fermoda obraził się na dobre i, oznajmiwszy, że jutro zajmie swój domek, wyszedł zachęcając swoich

przyjaciół, aby również opuścili zebranie. Usłuchali go tylko Łukniewski i Fidzik, ale nawet oni nie wrócili z nim do Czypławy tylko czekali przed dworkiem Syrenia na innych.

Kurzyna, który przez cały czas milczał, rzekł teraz do Syrenia:

— Niespodzianka, co? Cóżby się stało, gdybyś im wszystko powiedział?

Syreń zamknął się w sobie i zapuścił w zebranych wzrok niby wędkę, którą chciał wyłowić tajemnicę z mroków przyszłości.

— Wiedz — odpowiedział Kurzynie — że Słońcowa zmarnować nie pozwolę. Raczej wypędzę, przegonię... Ja także nie jestem frajer.

— Co zrobisz? To chytra sztuka. Konspirował się tyle czasu i dopiero, gdy został pewnym właścicielem a nawet dygnitarzem, puścił farbę. Jestem przekonany, że za nim ktoś się kryje, bo skądby on wziął te frazesy?

— Niechże się nie waży. Dworek należy mu się, ale niechże się nie waży!... zgrzytnął Syreń. Złamię, stratuję!...

Kurzyna zamyślił się.

— Żebyś ich tylko nie miał za wielu! Łukniewski, Fidzik — a skąd te szesnaście głosów przeciwko Baranicy?

— Powoli ich spętam a nawet może i jego samego.

— Mimo wszystko jednak wierzysz...

— Wierzę, ale moja wiara jest żarliwa i można się na niej poparzyć...! Niechże się strzegą!
Tymczasem Fermoda wściekły, że go przyjaciele zdradzili, brnął wśród deszczu przez drogi błotniste ścinając laską gałązki krzewów i klnąc pod nosem na czem świat stoi. Zmierzał do swego mieszkania, znajdującego się na końcu Czypławy przy placu Garncarskim.

Otworzywszy drzwi obleciał rozzłoszczonym okiem izbę schludnie zamiecioną. Podłoga drewniana, błyszcząca wypukłościami sęków, była wymyta czyściutko. W rogu stało szerokie łóżko, przykryte białą kapą, na której piętrzyły się cztery poduszki ułożone równiusieńko jedna nad drugą podług wielkości. Pod obrazem Matki Częstochowskiej pełgała lękliwie lampka z czerwonego szkła. Na podłodze kulało się dwoje chędogo ubranych dzieci, a Fermodka, wątła kobietka o zwiędłych, wychudłych policzkach siedziała na stołku cerując.

Fermoda świsnął na łóżko czapkę ociekającą deszczem i nasępiony zajął miejsce przy maleńkim stoliczku. Nikt się nie odzywał. Dzieci przestały dokazywać a kobieta raptownie zerwała się, ale zaraz przysiadła z powrotem, niepewnemi rękami przewijając między palcami naprawianą koszulę.

— Jeść! — mruknął.

Kobieta szastnęła się do komina i z gorliwo-

ścią jęła trzaskać fajerkami i gmyrać pogrzebaczem pod blachą.

— Zaraz, Józik, ino przygrzeję.

— Cholera, gamajda! — dawaj wódki!

— Wódka wyszła, Józik — odpowiedziała trwożliwie.

— Wyszła! — porwał się ze stołka. A toś chyba sama wychlała, świnio jedna.

— Nie, Józik... ja nie... szeptała.

Fermoda podszedł do blachy i szturchnął żonę w ramię.

— Nie ty? No to kto? Kwartę okowity przyniosłem po niedzieli. Gdzie jest, pytam się.

— Sam wypiłeś, Józik, jak mnie tu widzisz...

Smagła twarz Fermody aż zczerniała z wściekłości.

— To ty będziesz ze mnie robiła pijaka, jucho ty zatracona! — wrzasnął podtykając kułak pod nos kobiety.

— Ja? — Józik! — ja przecie nic — bój się Boga!

Dzieci przybiegłszy do matki objęły ją za kolana lecz ojciec, nie zważając na ich płacz, odtrącił je nogą. Podjudzony krzykiem zawinął pięść i z góry grzmotnął żonę, że zatoczyła się pod łóżko, jęcząc cichutko: „O Jezu mój, o Jezu!“ i rękami zakrywając sobie twarz. Ale to rozjuszyło go jeszcze bardziej. Bił nie patrząc gdzie, po twarzy, w piersi, w plecy i ryczał:

a masz! psiakrew suko przeklęta, a masz! — bodajeś już raz zdechła! — a masz! No co, włóko? Ja wychlałem wódkę? Dobrze ci teraz, macioro?

Katowanej krew pociekła z nosa. Nie mogąc powściągnąć jęków zaszlochała: — A dy, Józik, com ci winna? Nie lubisz mie, ja wiem, bez tę z traktjerni...

-- Jeszcze ci mało? To na mnie będziesz ozór wywalała? — wrzasnął i kopnął żonę.

Drzwi od sionki uchyliły się i przez szparę wsunęła się głowa sąsiadki:

— Ej, Józefie, — Boga w sercu nie macie, czy co? I za cóż to znowuj mordujecie kobietę?

Fermoda skoczył z pięściami, ale drzwi zatrzasnęły się z powrotem. Wtedy dopiero opamiętał się. Mrucząc pod nosem rzucał roziskrzonym wzrokiem dokoła, wreszcie zwalił się na stołek.

W izbie panowała cisza i chłód. Fermodka leżała przy łóżku zwinięta w kłębek, chlipiąc pokornie. Dzieci wciskały się w kąt, aby uniknąć wzroku ojca. Lampka przed świętym obrazem skąpo rozpraszała mrok swym krwawym blaskiem a na dworze chlupał monotonnie deszcz jesienny.

— Psiekrwie! — sapał Fermoda. Ja z was tu bebechy powywlekam. Jak piję, to za swoje piję.

Sięgnął do kieszeni i przeliczył papierki. Chwilę rozmyślał, poczem zbliżył się do łóżka, poduszki smyrgnął na podłogę a kapę ściągnął, zwinął w rulon, poczem nasadził czapkę na głowę i wziął laskę.

— Nie sprzedawaj, Józik — zakwiliła kobieta. Mam jeszcze parę groszy, to zabierz, ale kapę zostaw.

— Acha! — masz?

Odemknął szufladkę, wyjął oszczędności i ruszył do drzwi.

— Józik, kapa! — zaskomlała Fermodka.

— Jeszcze ci mało, flondro, to ci dołożę — zaśmiał się zjadliwie i wyczekująco stał u drzwi.

Ale żona już milczała.

— Spakuj bety. Jutro przeprowadzka na Słońców — rzucił jeszcze za siebie, poprawił tłumoczek pod pachą, pchnął drzwi i poszedł.

Spieniężywszy kapę u handlarza, znacznie już ułagodzony, krokiem zdecydowanym udał się w stronę traktjerni Wierczaka, dokąd od jakiegoś czasu zaglądał coraz częściej z bardzo rozmaitych względów, a najwięcej z powodu panny Zosi, bufetowej fertycznej a jędrnej jak rzepa. Dzisiaj wchodził tam o wiele pewniejszy siebie, niż kiedykolwiek, uważając się za właściciela posesji, jak sam Wierczak, co go napawało dumą niepomierną. W gruncie to i żonę pobił tym razem wcale nie przez tę wódkę, boć

dobrze wiedział, gdzie się podziała, tylko z polityki. Dzisiaj trzeba mu było pieniędzy. Pragnął się pokazać, jak przystało na obywatela z posesją, a z pieniędzmi było kuso. Żona zobojętniała mu dawno, a zresztą stała na zawadzie jego planom dalekim wobec panny Zosi oraz wobec innych jeszcze spraw, więc bijał ją regularnie, ale dzisiaj to ino o to, aby ją sterorycować i zawładnąć kapą.

Wszedł tedy do traktjerni dziarsko, w czapce na ucho, zajął stolik blisko bufetu i posyłał sierdziste, wyzywające spojrzenia po ścianach, bo w taką pluchę nawet bibosze miasteczkowi zrezygnowali ze swych codziennych libacyj i piwiarnia świeciła pustką. Nawet bufet był osierocony. Wejście jego nie minęło jednak bez wrażenia, gdyż z poza bufetu wychyliła się najpierw i cofnęła czyjaś głowa, a wkrótce zjawiła się panna Zosia, za nią zaś pan Wierczak. Czypławski bogacz witał się a nawet łaskawie przysiadł do Fermody, podczas gdy Zosia oczkiem tylko strzygła od bufetu.

— Psia pogoda — zajechał zdala Wierczak.

— Komu psia komu złota — bąknął Fermoda.

— Pewnikiem. Jak komu wleci do kieszeni miljonik, to mu złota choć i błoto.

— Jakbyś pan wiedział — zgodził się Fermoda i dodał mglisto a górnie: — Podczas to miljoniki furczą na ulicy, jak wróble. Ino brać,

— Chyba u tego warjata w jego tam tym Słońcowie.

— A może.

— No i co? Rozdał domy? Ja tam póki co nie wierzę.

— No to uwierzysz pan, jak się jutro wprowadzę na Przybyszówkę.

— Rozdał, panie Józik? — plasnęła w dłonie Zosia.

— Pannie Zosi to powiem na ucho — rzekł Fermoda i zalotnie pokręcił wąsika.

Oparł się o bufet i zaczął jej coś szeptać po cichu a skończywszy, przypieczętował całusem, za co dostał przez łeb ku wielkiemu zadowoleniu Wierczaka, który na ten widok zatrząsł brzuszyskiem i aż przewalał się w krześle. Ale mimo tak energicznej obrony Zosia pożerała Fermodę wzrokiem pełnym uwielbienia.

— Jak sprzedasz, rozumiesz? Tak odrazu niema nic — rzekła.

— Póki co to nie można, bo mnie juchy kamraty oszukały. Dopiero jak ich ze wszystkiem przekabacę na swoje, każdy sobie weźmie podług rezolucji i zrobi, co zechce, jak ze swoją parą butów.

— Eche, to taki wróbel na dachu! — zagrzmiał Wierczak.

— Nie bój się pan, ino nie bój! Był rejent

i każdy się podpisał, kto piórem, kto krzyżykiem a przy świadkach. Pewne jak amen w pacierzu. Ja zamówiłem numer trzy i ten mój. A to ta kooperatywa to bujda burżujska i to się przerobi, nie bój się pan. Jak zaczną z głodu piszczeć na Przybyszówce, to się nawrócą na moje. Już ja wiem.

— A te, wiesz pan... — mrugnął Wierczak tajemniczo, zwisnąwszy całym połciem nad stolikiem.

— Pełniusieńkie. Stoją na samym brzegu lasu i nikt po nocach nie pilnuje. Jak się wprowadzim to już... Ale teraz, panie Wierczak, czasby przepić. Pół-napół — co? — jak obywatel z obywatelem.

— No — już...

— Nie chcesz pan, to nie. Pogadam ze starym Rosencweigiem, jego syn będzie tu dziś, bo ciekaw, co na Przybyszówce słychać.

— A co tam leży na składzie? — spytał Wierczak poufnie.

— Co? Opony, benzyna, belki na żelbeton, kafle, cement, uprząż, papa, rzemienie, pasy, narzędzia ślusarskie, ciesielskie — nowiusieńkie, zagraniczne... Pytaj pan czego tam niema!

— A dacie to rady?

— Już niech pana o to głowa nie boli. Pomaluśku. Ino czy pan połkniesz tyle?

Wierczak wskazał na swój żywot i, bębniąc po nim palcami, rechotał:

— Wlezie czy nie wlezie? — ha! ha!

— No to wypijmy. Zosiu, dwa rżnięte dla nas a dla ciebie słodka.

Wierczak podał Fermodzie łapę i mruczał:

— Sztama! Ja tego warjata zarżnę, ale nikomu o tem ani ani! Nawet Zośka, albo Rosencweig choćby i młody nie mają o tem wiedzieć.

— Ani młody Rosencweig?

— Ani mru-mru. Wasza polityka mnie nie obchodzi, nic nie wiem, ale co do tamtego interesu, to znowuj on niema nic wiedzieć. A stary Rosencweig mój konkurent, wiesz pan — nie?

— Strach pana oblatuje — kolnął Fermoda.

— Ja Syrenia zarżnę, nie tak to tak. Ale ten interes to kryminał. Ja to zawsze się wypucuję, bo Wierczak to Wierczak, a pieniąchy to najlepsze mydło. Ani mru-mru. My się nawet nie znamy, rozumie pan? — to dla interesu lepiej. A jak poślę słowo, to znosić.

Fermoda przytakiwał.

— Dobra!

Przepili, Wierczak podźwignął swe cielsko i zaniósł za bufet.

Fermoda zerknął na pannę Zofję:

— Ej Zosiu, napijmy się.

— A masz czem płacić?

Poklepał się po kieszeni i poszedł za ladę.

— Ej Zośka! — westchnął i głasnął ją po figurze. — Gorącaś ty a słodka, jak cukier. Nie to, co moja.

Wparł się w nią tak aż jej świeczki w oczach zatańczyły.

— Dajże mi cukru.

— Jušci! Jak mie weźmiesz do Ameryki...

— Oj daleko ta Ameryka cholerna.

— A to se kup cukru od Wierczaka, bo ja tem nie handluję.

— Ej nie zwódź mnie Zośka, rany boskie! — bo się wściekne — zachrzypiał i przycisnął ją do siebie żylastemi ramionami.

— A tyś kto, łachmetniku! — widzieli go! — rozpuściła gębę. — Idź do djabła, bo jak cię zamaluję kuflem w łeb, to zobaczysz. Pier sobie swoją babę, nie mnie. Ja wolna!

Odepchnęła go i świsnęła przez zęby: — dziad! Rumieniec oblał ją ogniem, że mu się wydała jeszcze cudniejsza w tym białym fartuszku i sukience w niebieskie kratki.

Urażony powrócił na swoje miejsce, ale oka nie spuszczał z dziewczyny.

— Udałaś mi się.

— Ale tyś mi się nie udał. Klekcesz jak ta sroka i tyle z tego trajlowania, że mi się aż uprzykrzyło. Jak będziesz miał na szifkartę dla

nas i na gospodarstwo w Ameryce, a póki co to se wypatruj ino ślipia a oblizuj się, wiesz?

Fermoda grzmotnął czapką o podłogę i kazał wódki.

Deszcz chlapał i szemrał. Cisza zaległa traktjernię przesiąkniętą wilgocią duszącą i odwarami potraw. Panna Zofja schowała się za bufet a Fermoda wsparłszy się na rękach zadumał się tak, że nie zauważył, jak drzwiami bocznemi od sieni cichcem wkradła się koślawa figura. Jedno ramię gościa tworzyło rodzaj garbu, zgrabnie zakrytego, a ręce długie, jak u małpoluda, zwisały ku ziemi. Przybysz zdjął zmoczone binokle, przetarł je chusteczką jedwabną i rzekł sarkastycznie:

— Dobry wieczór, Fermoda. Wie gehts? Rzadką coś macie minę. Pewnie socjal-patrjota w ostatniej chwili pożałował kabzy, albo zorjentował się, że chce palnąć głupstwo i cofnął się.

Fermoda nie odpowiadał. Burknął coś tylko i ledwie, ledwie spojrzał na gościa.

— Przewidywałem i tę możliwość — prawił dalej niezrażony tem przybysz — ale was, Polaczków, łatwo nabrać na sentymentalizm. Burżuazyjna filantropja ma krótki oddech. Burżuj taki...

— A wy, Rosencweig, wyście to nie burżuj?! — siepnął się z furją Fermoda. Wasz par-

szywy stary siedzi na złocie a synka stroi jak lalkę. Napluć mi na waszych burżujów i na waszych bolszewików. Siodłowski fajno gadał, co mówił o bolszewikach. Ja to niby nie widziałem jak sobie kieszenie, psiekrwie, nabijały, a robotnikowi kułak w zęby albo i kulę. Naprzykrzyło mi się to wszystko, a jak mnie złość porwie to komu wpakuję scyzoryk pod żebro i tyle będziecie mnie widzieć.

Rosencweig słuchał z niezachwianym chłodem. Raz tylko przeleciał mu tik nerwowy po twarzy i zaraz zczezł. Powoli ściągnął skórkową rękawiczkę, odsłaniając demonstracyjnie palec, na którym tkwił złoty, gruby pierścień.

— Ulżyjcie sobie, Fermoda. Jeśli chcecie, to wam pomogę kląć, chociaż nie kapuję, w jaki sposób miałoby to nas prędzej doprowadzić do celu.

— Mnie trzeba pieniędzy! — ryknął Fermoda.

— Po co ten gwałt? — zmarszczył się Rosencweig. Ja dobrze wiem, że wam pachną pieniądze i wy te pieniądze będziecie mieć, ale trzeba robić, co powiem.

Fermoda siedział mroczny, ale już milczał.

— Więc jak tam było? Cóż ten osioł? Jest kooperatywa?

Fermoda zdał mu dokładnie sprawę z posiedzenia w Słońcowie. Gdy wyliczał, jak to Bar-

naba, Łukniewski, Tatar i kilku innych stchórzyło, Rosencweig zaklął: „sfołocz“, a kiedy Fermoda skończył, trawił najpierw wiadomości przez chwilę, poczem zaczął rozważać głośno:

— Zresztą może to i lepiej. Rira bien qui rira le dernier. Pokaże się, czy sobie z tym idealistą z Przybyszówki damy radę, ale myślę, że go wkońcu ukokoszymy. Doskonale sprawiliście się, Fermoda. Stawiam wam kolację. Jest w tej dziurze wino?

— Jest i likier.

— Bon, niech będzie likier. Można tu pogadać swobodnie?

— Boicie się?

— Nie o siebie ale o was, moi kochani. Ja mam takie papierki, że jutro mogę być w Berlinie. O was mi chodzi. A dziewczyna pewna?

— Już się nie trapcie tyle.

— W każdym razie wolałbym widywać się z wami w restauracji mego ojca. Znajdzie się tam cichy pokoik, a dla was pół ceny.

Panna Zosia nakryła stolik kraciastą serwetą i przyniosła zastawę.

— Dziewczynka pierwszorzędna. Jak ci na imię? — zapytał Rosencweig.

— Zofija.

— Zosia, Zochna, Zocha! — mlaskał Rosencweig. Z takim biustem zrobiłaby gdzieindziej

karjerę. Tu ją pewnie wyściskuje Wierczak. Troszkę skromniejsze łydeczki, ein bischen masażu, a powiedziałbyś, że Zosia z Pana Tadeusza.

Panna Zosia odchodząc obejrzała się za „facetem“, ale Fermoda wczepił oczy w Rosencweiga.

— Suchajcie-no, Rosencweig, psiakrew!...

Ten rozparł się w krześle i, błyskając złotemi plombami, rżał łaskotliwie.

— A, to tak! — nu charaszo! Ja wam, gołubczik, tego skarbu nie odbiorę. Wy mój przyjaciel. Panno Zosiu! My tu z panem Fermodą będziemy zaglądali częściej... ale chcielibyśmy być sami.

Wsunął jej w rękę gruby banknot.

— Macie tu gdzie jaki kąt osobny?

— Dlaczego? Jest kabinet za bufetem.

— A to doskonale kiedy jest ka-bi-net. To my tam i przesiedlimy się, panno Zosiu, wolno?

— To dla likierników z damami.

— Ano to i my likiernicy, a z damami, bo panna będzie z panem Fermodą.

Fermoda zagarnął tymczasem pannę Zosię i siłą posadził ją sobie na kolanach.

— Puść mnie — wydzierała się, jeszcze zła na niego.

— O! — panna Zosia musi być czuła dla

mojego przyjaciela. No, niechże panna posiedzi grzecznie na tej kanapie. To się opłaci...

To mówiąc wyjął kilka banknotów, aż na ich widok ślepki panny Zosi zapłonęły.

— No, grzeczniutko! — rachował Rosencweig. Tak. Za to jeden. A teraz objąć rączką. W o t k a k ! Za to drugi. A teraz dać buziaka. W o t i p r e w o s c h o d n o ! Za to ten trzeci.

Towarzystwo wyniosło się do gabinetu.

IX.

Długo nie nadarzała się Syreniowi sposobność rozmowy z Fermodą, który wprowadził się wprawdzie zaraz dnia następnego, ale pana dyrektora świadomie unikał. Inni mieszkańcy Słońcowa wprowadzali się zwolna jeden po drugim, bo pierwszego dnia wogóle, oprócz Baranicy i Fermody, nikt nie przybył, co Syrenia zdziwiło i zaniepokoiło. Dopiero nazajutrz zjawiła się deputacja z Koziołem i Kopcikem na czele, która po długich, okrężnych manowcach wjechała na sprawę istotną a mianowicie, że to nijako zajmować dom niepoświęcony. Syreń odpowiedział, że jako prezes nie posiada żadnego prawa wtrącać się w te rzeczy, osobiście zaś nic przeciwko temu nie ma. Wobec tego ściągali już jeden po drugim, a w niedzielę najbliższą zjechał ksiądz i poświęcił wszystkie dworki odrazu.

Syreń jął teraz odwiedzać sąsiadów. Za każdym razem wchodząc do świeżego, pięknie błyszczącego domku doświadczał niewytłumaczonego uczucia rozczarowania. Nowi lokatorowie zajmowali przedewszystkiem kuchnię.

Tu, na podłodze pachnącej jeszcze świeżem drzewem roztasowywały gospodynie swe ubożuchne statki kuchenne, bety, kulawe stołki, zydle i łóżka. W kuchni gotowali, w kuchni spali, inne pokoje zostawiając pustką. Z trudem udało się Syreniowi tego i owego namówić, aby przynajmniej łóżka starszych przenieśli do pokojów. Najczęściej zresztą rodzina miała całego majątku jedno, rzadziej dwa łóżka, raczej wyrka, więc i nie było czem tak znowu meblować mieszkania, a wreszcie jeśli nawet który, jak np. Kurt, posiadał umeblowanie zasobniejsze, bo aż trzy łóżka, komodę, szafę, ławkę a nawet coś w rodzaju fotela, to i te graty mizerne niknęły w mieszkaniu obszernem, urągającem w swym przepychu marnocie i ubóstwu sprzętów. A już o użytkowaniu obu górnych pokoi nikt nawet nie myślał. Były one poprostu zbędne. Syreń próbował zrazu wykładać kobietom, jak powinny się urządzić, czego one wysłuchiwały cierpliwie, łypiąc oczyma i sumiennie wzdychając, ale żadna z nich nie zmieniła w porządku domowym niczego ani na jotę.

Wówczas Syreń pojął, że same domy nie wpłyną wcale na podniesienie skali życia obywateli słońcowskich. Należy sprawić im jeszcze umeblowanie. Otwierała się przed nim otchłań wydatków, a pieniądze wyliczone były przecie tylko na budowę dworków, Świątynię

Bóstwa, Dom Wspólny i fabrykę. Niemniej po długich wahaniach zdecydował się stworzyć fundusz pożyczkowy na urządzenie mieszkań, obracając na to przedewszystkiem pieniądze zebrane za czynsz, oraz wlewając z własnej kasy, w formie bezprocentowej pożyczki sumę dziesięćkroć większą. W tej sprawie jednak po raz pierwszy natknął się na wyraźny sprzeciw Słońcowian. Uważając się już bowiem za właścicieli funduszu oświadczyli poprostu, że byłoby to trwonieniem grosza, boć oni mają przecie siakie takie graty. Dziedzice nie mieli żadnych potrzeb wyższych. Zarobek obracali na jadło i napitek, jeden i drugi dbał jeszcze o to, aby się wyelegantować, ale ładu i piękna w domu nie łaknęli wcale. Nie dając za wygraną ogłosił Syreń, że do wysokości powyższej sumy otwiera kredyt bezterminowy, już z własnej szkatuły, z przeznaczeniem wyłącznem na umeblowanie. Pierwszy zgłosił się Lewocz z tem, że chce sobie sprawić dwa łóżka żelazne. Wziął pieniądze ale na drugi dzień nie zjawił się do roboty. Kozioł zapytany o przyczynę nieobecności Lewocza rzekł uśmiechając się, że zachorował. Istotnie Lewocz chrapał na tapczanie pod piecem. „Wczora wzion z kasy piniondze i spił się, jak świnia, a tu dzieci latają bez butów na mróz. I straci jeszcze dniówkę" — postawiła djagnozę żona Lewocza. Syreń

zamknął natychmiast kredyt na umeblowanie, przyznając w razie wyjątkowym pożyczki na kupno odzieży, która jednakowoż — jak doradził Kurzyna — musiała przejść przez kontrolę kancelarji słońcowskiej.

Ten okres plugawej pogody i niepowodzeń drobnych ale dotkliwych pozbawił Syrenia optymizmu. Wizja Słońcowa, jaką sobie w duszy wymarzył, zaczynała mętnieć. Ile razy jednak czarujące widzenie mgliło się w tumanach przyszłości, białe kontury domków realnie istniejących, zamieszkanych już przecie, ratowały gasnący sen.

Tymczasem spadły śniegi przykrywając ziemię grubą, białą wełną, pokrajaną tylko szlakami brudnych ścieżek i dróg. Nuda codzienności osnuwała duszę szaremi nićmi, najmocniejszemi ze wszystkich kajdanów tego świata. Syreń, znużony pracą biurową, pobiegł do fundamentów Świątyni Bóstwa i rozglądając Słońców, widny teraz w całości poprzez łysiny lasu, wypuścił myśl spieczoną w oschły, bezświetlny widnokrąg. Pomknęła ona niby szarak osaczony zewsząd i wracała do swego gniazda jałowa, wynędzniała, niema. Syreń patrzył na smutne, gołe, tu i tam zatrzęsione śniegiem gałęzie drzew i zwolna, skądś pojawiło się uczucie zniechęcenia, odrazy i pogardy.

Wtem doszedł jego uszu huk rąbania. Od-

wrócił się i ujrzał pod dębem, pod ukochanym dębem wyciągającym doń swe bezlistne konary — Fermodę. Zwrócony do Syrenia potężnemi barami, w półkożuszku baranim, w kaszkiecie na bakier podnosił właśnie siekierę, aby rąbnąć ponownie.

— Stój! — zawołał Syreń.

Fermoda zajrzał przez ramię, ale nie wstrzymał ciosu, lecz uderzył z takim rozmachem, że dąb zadrgał od korzeni aż po koronę, wydając żałosny chrzęst i sypiąc śnieżnym pyłem.

— Stój — do pioruna! — ryknął Syreń i skoczył na ratunek drzewu.

— Abo co? — flegmatycznie pytał Fermoda.

— Czyście zwarjowali, Fermoda?

— Abo mi to nie wolno? Jak nasze, to nasze a jak nasze to i moje, no nie?

— Nie. Jeśli nasze, to i moje.

— Trajluje pan dyrektor. Ano to i całej grandy i Kopcika i Lewocza...

— A tak, człowieku, właśnie tak!

— No to niczyje, a jak niczyje, to moje. Jak komuna, to komuna.

— Tu nie komuna, do djabła — tu kooperatywa! Wspólna własność stowarzyszenia nie stanowi własności jednostki, a jeżeli kto nie chce tego uznać, niechaj się stąd wynosi! Co wam to drzewo zawiniło?

— Przyda się na mebelki, bo do takich pałaców moje gruchoty na nic a znowu takich, jak u pana dyrektora, nie kupię, bo mnie na to nic stać.

— Wara mi od dębu!

— Ejże, bo ja nie pies — huknął groźnie Fermoda.

— Dobrze, dobrze, tylko proszę mi drzew nie wycinać, bo to kradzież, a za to idzie się do kryminału!

Fermoda wydarł siekierę z drzewa, zawiesił ją na ramieniu i zapalił fajeczkę.

— Do kryminału za to, że przyszedłem po swoje?

Zaciągnął się dymkiem, splunął i ruszył. Zrobiwszy kilkanaście kroków, obrócił się półbokiem i krzyknął:

— Ja nie warjat, ale pan. Komunę to zafundował a teraz dębczaka żałuje.

— Niczego nie rozumiesz, człowieku, to nie pleć byle czego.

— Paneś mądry i po głupiemu robisz. Oj knuta by na was! — machnął w powietrzu ręką jak biczem i poszedł.

Syreń stał wzruszony i rozgorączkowany. Brudny koloryt lasu wciskał się niepokojem i zwątpieniem. Po raz pierwszy przeniknęło go uczucie niepewności, czy obrał drogę właściwą. Myśli, rozszczepiające wolę, kąsały go

i gryzły. Widzenie Słońcowa zasnuła rdza martwa niby te śniade i zczerniałe śmiecie liści dębowych miotających się bezradnie u jego stóp. A ponad rozgwar uczuć postrzępionych i wiotkich myśli wypływała trucizna najstraszniejsza ze wszystkich: wzgarda dla ludzkiej nędzy i zdrady, a przedewszystkiem dla ludzkiej głupoty.

Uśmiech boleści szyderczej zepsuł mu twarz a cierpka, jadowita rozkosz triumfalnie ciekła szlakiem marzenia. Zwolniony jest od czynu, skoro twór piękny, jak ten dąb, może zatłuc siekiera byle czyja!

Wspomniała mu się chwila przeżyta na Monte Solare na Capri. Południowy stok tej góry samotnej ścianą potarganą w zęby okrutne spada w morze lazurowe i zielone. Tam zawisnął nad przepaścią oko w oko wpatrzony w śmierć oczywistą i w ciszę odwieczną zasłuchany, bo na tej wysokości szum morza zamarł i tylko jego równina zielono-błękitna ciągnęła się polśniewając srebrnemi nerwami łamiących się fal. Przejął go strach nagły. Uczuł, że zewsząd tchnie ktoś niewidzialny, czyha nań i jakby grozi... Jedna chwila a ktoś chwyci go za gardło i strąci na sterczące okrutnie łby głazów.

Wzdrygnął się. Gniew skrzydłem czerwonem zamiótł świadomość. Nie! Nie odda swego

Słońcowa, nie pozwoli zniweczyć go! Będzie walczył! Parszywe owce wypędzi, ale nie ustąpi — przenigdy! Chwyci za bicz i będzie walił! — Kogo? — Niebezpieczeństwo zdąża niewidzialnie, jak zaraza, wsmykuje się, jak żmija...

Udał się do Kurzyny i opowiedział mu, co zaszło.

— To drobna sprawa — rzekł inżynier, wysłuchawszy go. Nie widzę w tem niebezpieczeństwa. Nie chciałem niepokoić cię, ale skoro sam zacząłeś... Rzecz jest inna. Od jakiegoś czasu zmniejszyła się bardzo widocznie wydajność pracy. Większość członków spóźnia się do robty, gawędzi i rozprawia. Spychają robotę na najemników i nawet „system rodzynkowy“, jak to nazwałeś, już nie pomaga. Teraz, póki zima, ograniczyłem ilość robotników przychodnich o dwie trzecie, ale co będzie na wiosnę gdy zaczniemy murować?

Kurzyna bystro wejrzał w Syrenia:

— Wystarczy kapitału?

— Jakto! Obliczyliśmy przecie każdą cegłę...

— No, w takim razie, o ile nie natrafimy na jakieś trudności albo wydatki nieprzewidziane...

— Zatem przypuszczasz, że członkowie...

— Co tu dużo gadać. — Rozpuścili się zupełnie. Po nocach piją i rżną w karty.

— Baranica?

— Nie. Baranica, Kozioł, Ładziński, Kopcik, Kurt, może jeszcze paru — ale inni!

Syreń słuchał w zamyśleniu.

— Kurzyna, tyś człowiek trzeźwy. Powiedz mi otwarcie, co myślisz?

— Myślę, że w całem twojem przedsięwzięciu tkwi błąd, ale jaki, tego nie wiem.

Syreń zacisnął pięści.

— Cofnąć się już nie można.

— Nie. Kapitał byłby stracony napróżno. Cofnąć się już nie wolno. Albo zwyciężysz albo...

Syreń zawziął się w pracy. Przeczuwając jakieś niebezpieczeństwo skądś chyłkiem podchodzące przeciwstawił mu wiarę i trud. Rachował, pisał, korespondował, kombinował najlepsze metody zmiany funtów, wciąż naradzał się z Kurzyną nad sposobami obcięcia wydatków. Jedynie na zmniejszenie płacy wyrobnikom, jakie Kurzyna zaproponował, nie przystał. Czasem wpadał na chwilę do szkółki, którą po Bożem Narodzeniu otworzyła Stasia. Zrozumiał tę gorzką prawdę, że dopiero to pokolenie, wychowane w nowych warunkach pojmie i wykształci ideę Słońcowa. Dlatego domagał się od żony nie tyle nabijania głów wiadomościami, ile kładł nacisk na formowanie charakteru, żądał systemu bezwzględnie srogiego wobec uchybień natury moralnej, tępienia niesumienności, lenistwa i niechlujstwa, a podnieca-

nia nagrodami wytrwałości oraz dokładnej pracy. Pieścił w duszy ideał przyszłego internatu, gdzie umieściłby dzieci zaniedbane przez rodziców albo narażone na wpływy ich jeszcze napoły zdziczałej natury. Były to plany, nieledwie marzenia, które urywanemi fragmentami szkicował wspólnie ze Stasią w chwilach wolnych.

Czynił też nieustannie próby zaprzyjaźnienia się z sąsiadami, ale tylko u kilku, u swej starej gwardji znajdował zrozumienie i ufność. Starał się bodaj tych kilku związać z sobą odsłaniając im swe myśli, racje i cele przedsięwzięcia. Do tego grona, oprócz Kozioła, Baranicy, Ładzińskiego, Wolaka, Kopcika, niespodziewanie przyłączył się Kurt, trzymający się dotąd zdala. Pewnego wieczora zapukał on mianowicie do izdebki Syrenia i oświadczył, że przychodzi z ważną wieścią. Oto był mimowolnym świadkiem rozmowy między ospowatym Tatarem i panem Wierczakiem z Czypławy. Tatar opowiadał zbogaconemu piekarczykowi o wszystkiem, co się dzieje w Słońcowie. Gdy rozchodzili się rzekł Wierczak: „Powiedz Fermodzie, niech zaczyna“.

— Bolszewizujący Fermoda z tym dorobkiewiczem! Co on zamierza, jak myślicie? — pytał Syreń.

— Narobi nam mentliku. Trzeba się pilnować.

— Przed czem?

— Ja ta wiem? On jest w oczach jak ten pies, co to cichcem złapie — mówił Kurt. Dużo trzepie o komunach, ale ino swoje interesy obrabia a te głupie wierzą mu.

— Wy nie?

— Ja? — zaśmiał się Kurt. Ja nie frajer, mnie w butelkę nie nabije! Ja świadomy człowiek, panie dyrektorze.

— A więc cóż ten Fermoda! Czego on chce?

— On taki z rodu. Zmyśla na burżujów a sam ślipia wywala, gdzieby co urwać a miechy napchać.

— Inni to nie? — zagadnął Syreń.

— Każdy chce się urządzić, ale Słońców inna sprawa. Źle im to? Żeby nie pan, chłeptałby jeden z drugim trąbizupkę.

— Czego im brak?

Kurt potrząsnął czupryną, zamyślił się i błysnąwszy okiem uśmiechnął się:

— Czego? — bata! Kiełbasy im dać a wódy do chlania, babę na noc i dość.

— Przecie wy sam — zaczął Syreń, ale Kurt przerwał mu:

— Ja widział robotników, jak w miesiąc jeden rozniesli fabrykę blachy śliczniuśkiej jak malowanie, kiedy nastali bolszewicy w Miń-

skiej Gubernji. Pokradli, wynieśli, sprzedali i przepili a potem wszy ich gryzły i pan komisarz w zęby prał albo stawiał pod ścianką. Tak, ja sam robotnik jestem, ale co prawda to prawda. Ciemne i głupie ludzie. A pan co myśli? Fermoda ich agituje na nowy komitet, pana dyrektora i inżyniera precz wygnać i rządzić. Oślaki! Rachować jeden z drugim nie umie, krzyżykiem się podpisuje, a będzie rządził.

— Nie może być. Nowy komitet wybrać?

— Niech się pan pilnuje, panie dyrektorze! — zawołał Kurt.

Syrenia ogarnęła pasja na te słowa. Grzmotnął pięścią w stół i krzyknął:

— A wy to nie upilnujecie? A wy co? Ja zrobiłem wszystko, dałem wam pracę, ziemię, domy. To dlaczego to ja mam się tylko pilnować? A cóż mnie?! Nie o mnie tu sprawa, ale o was. Wy się pilnujcie sami! — I dodał szyderczo: — Chyba że wam się podoba z powrotem leźć w śmierdzącą nędzę albo żeby was wasza własna głupota zagryzła!

— Przez to ja i przyszedł do pana dyrektora — usprawiedliwiał się Kurt zawstydzony.

— Dobrze. Trzeba się wziąć do kupy przeciw hołocie.

Od tej rozmowy grupa Syrenia zwarła się istotnie ściślej. Zbierali się często i naradzali. Szczególną opieką otoczono osobę Fermody,

ale minęły tygodnie i nic niepokojącego nie zauważono. Pijał on coprawda nieraz z kamratami, ale przeszkodzić temu nie było sposobu. Żył jak chciał i nikt nie miał prawa zaglądać mu w garnki. Gorzej było z najemnikami i wyrobnikami, gdy z pierwszem ciepłem ruszyły roboty na placach. Obserwacje Kurzyny sprawdziły się. Zniechęcenie ogarnęło całą brygadę robotniczą a to z tej przyczyny, jak wymiarkowali przyjaciele Syrenia, że nie dopuszczonych do kooperatywy paliła zajadła, mściwa zawiść wobec „dziedziców". I nie można było na to w żaden sposób zaradzić, bowiem na oko robili wszyscy, jak należy, niemniej wydajność pracy spadła o jedną trzecią. Rozleniwienie to popierali skrycie podmajstrowie, z których ani jeden nie został członkiem kooperatywy. Rozdzierali oni sobie wprawdzie gęby drąc się i wymyślając na robotników, pragnąc niby to w tym sposobie okazać swą gorliwość, ale gdy brakło nadzoru Kurzyny albo chłodnego już oka Syrenia, patrzyli przez palce na partactwo mularzy i robotników.

A była już wiosna. Deszcze wstrząsnęły trawą i ziołami budząc je do życia. Kwiaty rozwinęły swe kielichy barwione a wierzby wdziały płaszcz złocisty z witek i listków nakrapianych srebrnemi puchami bazi. Ptaszki i owady rozdzwoniły się po zaroślach i przez

Słońców cały płynął szum odnowy wiosennej. Podziemne siły wyzwolone przez słońce, parły poprzez grudę ziemi, wypychały soki z komórek, wprawiały w ruch najbardziej złożoną fabrykę przyrody w roślinach, drzewach i we wszelakiem stworzeniu.

Syreń zadumany przechadzał się z rodziną po lesie kontemplując siły prawieczne, od początku czasów zawsze jednakowo młode i niewyczerpane, wytryskające z gałązek zczerniałych jasno-zielonemi szmaragdami pączków. Nieśmiertelny rytm uderzał w ziemi pulsem niesłyszalnym — śpiewając poemat o tajni życia, tak znany a tak przecie niepojęty, i nie podlegający w mierze najdrobniejszej ani woli ani myśli człowieka.

— Nastaje, rozwija się, przemija podług woli bożej — rozmyślał Syreń. Człowiek nic w tem ani zmienić ani nawet regulować nie może.

— Mówisz to z takim smutkiem — zauważyła Stasia.

— A może w istocie człowiek wogóle nic zmienić nie potrafi oprócz swojej duszy jedynie?

— Nic? A czyż ty wolą swoją nie zamieniłeś tej Przybyszówki w Słońców? Jesteś bardzo jakoś przygnębiony, Julek.

— Słońców! — uśmiechnął się gorzko. Słoń-

ców! Widzisz chyba jak w tym roku leniwie wleką się roboty. Strach pomyśleć, ale gdyby się pokazało, że tu ani wola moja ani potęga złota na nic się nie zdały...

— A te domki? — a nasz dworek? — przecie one są!

— Może to tylko złudzenie przyjemne...

— Co też ty mówisz, Julku? Nie lubię kiedy nawet ty tracisz nadzieję.

— Nie lubisz. Naturalnie. Ja mam obowiązek być silnym zawsze. Mnie jednemu nie wolno zwątpić nawet przez chwilę. Ale dlaczego mnie jednemu? Dlaczego nie ty, nie wy, nie oni?

— Julku! — zawołała Stasia z przerażeniem. Co ci jest, mój ty jedyny? Czy nie jesteś chory?

Przytuliła jego głowę do swojej:

— To nasza pierwsza wiosna w Słońcowie. Taka byłam dotąd szczęśliwa. Co ci, najukochańszy mój? Działasz przecie, stwarzasz życie jak w bajce. Tysiąc ludzi uwielbia cię, są ci wdzięczni, boś im życie wrócił, jak mnie. Podniosłeś ich, jak mnie, jak nasze i jak moje dziecko, mój ty najdroższy! Nie spoglądaj tak, bo to mi rozdziera serce. Wiosna, taka rozkoszna wiosna, a ty smutny! Spojrzyj na tę lipę — już wykluwają się pączki.

— Nie czujesz, Stasiu, jak z dołu, od Czypławy, od tej przeklętej Czypławy zionie dech

zatruty? Chłód wieje stamtąd na mój Słońców. Niema w tym roku wiosny w mem sercu.

Stasia tłumiąc łkanie oplotła męża ramionami.

— Boże! Boże! — Tyś nigdy tak nie mówił. Co ci, Juleczku? Ja ciebie obronię przed każdym wrogiem.

Syreń oparł na niej swój wzrok zmącony, bez blasku, obrócony wewnątrz siebie.

— Ale czy obronisz mój Słońców?

— Nic mu przecie nie zagraża.

— Co innego właśnie szepce mi przeczucie.

Ponad lasem żeglował wielki bocian miarowo przerzynając skrzydłami powietrze. Wyciągnął w tył łapy, szyję wydłużył jakby czegoś poszukiwał i jął obniżać lot.

— Dobra wróżba, Julku. Pierwszy bocian tej wiosny.

— Tak jest, dobra. Trzeba będzie uwić mu gniazdo na dębie. Może osiedli się w Słońcowie? — Masz słuszność, Stasiu. Jestem dzisiaj jakiś niespokojny. Zapomnij o tem, co mówiłem. No, już dobrze. Trzeba wracać do roboty.

— A dla Stachy to już niema chwili, nawet na wiosnę? — łasiła się doń.

— Żoneczce bociany w głowie...

— Żoneczka takby chciała mieć chłopca, takby chciała mieć twojego chłopca...

Pomiędzy drzewami błysnęły szprychy roweru.

— Nareszcie znalazłem cię! — zawołał Kurzyna zeskakując. Przykra wiadomość, Syreń.

Stasia wydała krzyk trwogi.

— No, nic znowu takiego... tylko te magazyny zapasowe, co to przez zimę były zamknięte na głucho, zostały doszczętnie okradzione. Dzisiaj właśnie otworzyliśmy. Benzyna, nafta, stal, ramy, kafle, opony, rzemienie...

— Na ile obliczasz straty?

— Jeszcze nie zdążyłem obliczyć ale są wielkie, bardzo wielkie. Jeszcze jedno...

— Cóż jeszcze? — sucho spytał Syreń.

— Bestjalska ręka zniszczyła to, czego nie mogła wynieść. Był tam samochód ciężarowy, którego nie używaliśmy przez zimę. Zrujnowany całkowicie. Oś przepiłowana, muterki powykręcane, motor podziurawiony i połamany. Już chyba tylko na szmelc. Trzeba natychmiast zawiadomić policję.

— Nigdy. Sami musimy schwytać złodzieja.

— W każdym razie należy zrobić rewizję po domkach i wśród robotników przychodnich — domagał się Kurzyna.

— Przyznam ci się, że środek ten uważam za nieludzki a zresztą spóźniony. Nie przypuszczasz chyba, że kradzieży dopuszczono się nocy wczorajszej?

— Nie. Kradzieży dokonywano systematycznie i to w ciągu dłuższego czasu. Inaczej nie-

podobna sobie wyobrazić, jakim sposobem wyniesionoby takie masy materjałów.

— Masz zaufanie do Baranicy, Kurta, Koziola, Ładzińskiego, Kopcika? — spytał Syreń.

— Do tych mam — potwierdził Kurzyna.

— Proponuję zwołanie poufnej narady z nimi.

— Może i słusznie. O ósmej wieczorem u ciebie?

— Dobrze. Idę do magazynu.

Kurzyna siadał już na rower.

— A więc, bracie, zaczyna się twój kurs — rzekł Syreń.

— Jak to rozumiesz?

— Bez sentymentów.

— Zatem zwrócić się do policji?

— Jeszcze nie, błagam cię. Zobaczymy, co da zebranie wieczorne.

— Ty wciąż jeszcze wierzysz? — Kurzyna uśmiechnął się ironicznie.

— Nie kpij.

— Chwytasz się brzytwy.

— No tak... no tak... przyznawał Syreń.

X.

Na poufnem zebraniu zdecydowano, za radą Baranicy, niczego na razie nie przedsiębrać, bo chociaż wszyscy podejrzewali — naturalnie — Fermodę i jego kompanów ale żadnych dowodów nie znaleziono. Trzeba natomiast zastawić na złodzieja pułapkę. Aby zmylić czujność właściwych winowajców, zwrócono śledztwo w inną stronę a mianowicie na robotników przychodnich. Tego lub owego wzywano z całą ostentacją do Kurzyny a indagowany nie krył oczywiście pod korcem celu wezwania. W ten sposób zmylono czujność przestępców.

Jako pułapka miała służyć stolarnia pełna cennych narzędzi ciesielskich i tokarskich. Baranica obluzował okna i drzwi budynku, dokąd jeszcze niby to dla bezpieczeństwa uroczyście przeniesiono resztę benzyny, papy izolacyjnej i t. p. bardziej wartościowe towary. Stolarnia znajdowała się na krańcu Słońcowa przylegającym do szosy. Komendę nad ekspedycją objął Baranica, który od dnia kradzieży jakby się przebudził, ożywił, nabrał energji i rzutkości. Jego spojrzenie blade stało się baczne i szcze-

14*

gólnie, głęboko uważne. Codziennie około jedenastej w nocy wyruszał on z Koziołem, Kurtem i Kopcikiem wzdłuż szosy ku Czypławie. Pierwszą szpicę zostawiał w odległości 150 kroków od stolarni w rowie przydrożnym, niby posterunek mający dawać baczenie na wszystko, co się dzieje dokoła. Inni drzemali w pobliżu, każdej chwili gotowi biec z pomocą.

Ale minął jeden i drugi tydzień bez rezultatu. Mimo to Baranica z cichym uporem trwał przy swoim planie. Tymczasem Syreń miewał długie konferencje z Kurzyną a nawet jeździł na poradę do Węgrzeckiego. Kradzież uczyniła w kapitałach wyłom poważny a wydatki wzrastały głównie z powodu znacznie zwiększonych wydatków na robociznę. Syreń zniewolony był zarzucić na razie zamiar wynajęcia na stałe ogrodnika, który miał urządzić wzorowe ogródki jarzynowe, zasadzić drzewka i wprowadzić hodowlę kwiatów przy dworkach. Skrupulatne kosztorysy nakazywały oszczędność posuniętą do ostateczności. Syreń z przerażeniem konstatował znikanie majątku a nie dostrzegał, aby na jego miejsce zjawiały się kapitały energji wyzwolonej przez Słońcowian. Kurzyna pracował w skupionem milczeniu, kontrolował i badał kosztorysy, obcinał budżety, przyciskał podmajstrzych, przynaglał robotników, ale wszystko to nie wiele pomagało. Inży-

nier widział, że jeśli Syreń nie zrezygnuje z niektórych części planu, katastrofa jest nieunikniona.

Dlatego też postanowił trudnościom odważnie zajrzeć w oczy i w tym celu odwiedził Syrenia pewnego wieczoru. Syreniowie siedzieli na ganku, bo wieczór był ciepły chociaż ciemny. Zanosiło się na deszcz. Gawędzono czas jakiś obojętnie aż Syreń dobrze znający naturę inżyniera zagadnął:

— Gadajno z czem przyszedłeś. Przyzwyczaiłem się do myśli, że czeka nas jeszcze niejedna niespodzianka i jestem przygotowany na rozmaite przykrości. To wiem tylko, że nie ustąpię.

— Spodziewałem się tego po tobie — odpowiedział Kurzyna. Otóż doszedłem do przekonania, że będzie trzeba koniecznie zmniejszyć rozmiary planu. Nie mówię naturalnie o dworkach. Dociągnęliśmy je do połowy parteru i byłoby głupstwem przerywać tę robotę. Myślę o większych budowlach...

— O Świątyni i Domu Wspólnym? — przerwał Syreń.

— Albo o fabryce.

— O fabryce? To niemożliwe. Od fabryki należało wogóle zaczynać.

— Tak jest — przytakiwał Kurzyna. Fabry-

ka miała stworzyć podstawę zarobkową i fundament Słońcowa.

— I tak będzie! Bez niej wezmą djabli Słońców. Djabli wezmą...

— Spokojnie, Syreń. Nie gorączkuj się.

— Dom i Świątynia! — kiwał głową Syreń i szyderczy grymas skrzywił jego twarz. A przecie nie tylko chlebem żyje człowiek — mówi pismo. Szkoła, kino, bibljoteka, radjo, koncerty — ha! ha! ha! No dobrze, Kurzyna. Jeszcze raz zabierzmy się do cyfr.

— Ułożyłem jak najdokładniejszy kosztorys fabryki. Obliczając wszystko razem, z dynamo włącznie, rozchodziłoby się o dziesiątki miljonów — mniej więcej...

— Mniej więcej...? ha! ha! tylko mniej więcej o dziesiątki... Doskonale powiedziane!

— Tak. Na fundamenty Świątyni zaledwie położyliśmy żel-beton a przy Domu stoimy jeszcze na robotach ziemnych... Nie wystarczy brylancików...!

— Mało, powiadasz, brylancików? — drwił Syreń. Mało, mało. A tam tyle ich jeszcze zostało pod strażą krokodyla, że wybudowałbyś za nie dziesięć Domów! Kurzyna a możebyś ty zrobił wyprawę do Pałacu Zimowego? — kpił Syreń.

— Zapóźno, mój drogi. Jeden raz na stulecie

kwitnie kwiat paproci i zrywa go tylko naiwne dziecko albo taki szczęściarz, jak ty.

— Szczęściarz! — kapitalne. Tak, byłem szczęśliwy przez rok. Marzyłem. Do końca życia nie zapomnę tego wieczoru ubiegłej jesieni, gdyście mi oddali ten cichy dworek, gdzie teraz siedzimy. Srodze mnie zbudzono. Patrz jak ta zima i wiosna otynkowała głowę szczęściarzowi. A ty nie zmieniłeś się wcale. Któż to wie? Może właśnie tobie udałoby się wydrzeć z paszczy krokodyla z parę kwaterek kosztowności. Bo o mnie to już niema co gadać. I nawet nie próbowałbym... Kradzione nie tuczy — ha! ha! ha! Ale do roboty! Zaczyna kapać, przejdziemy na górę.

Wyciągnęli plany, księgi, stosy rachunków i zagłębili się w nie z taką zawziętością, że nie zauważyli nawet jak minęła północ. Syreń wytężał inteligencję, aby ocalić najcudniejsze pióra swej chimery, ale Kurzyna zimną brzytwą cyfry odcinał jedno po drugiem. Syreń decydował się na ustępstwa na pozór z męstwem, drwił i kpinami pokrywał rozpacz, ale w głębi szlochał gorzko, widząc jak pałace słońcowskie, jak dusza Słońcowa omdlewa i więdnie pod tchnieniem mroźnych kalkulacji rachmistrza. Jego rozgorączkowana myśl szukała jeszcze wybiegu ale na nic zdały się podstępy wobec rozsądnych racji Kurzyny. Więc już cofał

się słuchając w milczeniu, a jego rozpalone oczy wpatrywały się w jodłę, której gałązka niby krzyżyk ciemny zaglądała w okno.

Dobrze już po północy przerwała im dyskusję Stasia, od kilku tygodni niepostrzeżenie czuwająca nad mężem. Przyniosła czarną kawę i likier, aby panowie orzeźwili się po pracy. Syreń pocałował ją w rękę i na okamgnienie przytulił skroń pulsującą do jej ramienia ale zanim ona zrozumiała znaczenie nieoczekiwanego ruchu rzekł:

— Tak Stasiu. Zapewne wstrzymamy prace przy Domu Wspólnym i Świątyni...

— Dlaczego? — zapytała z lękiem.

— Ponieważ brakłoby na fabrykę.

Kurzyna jednem spojrzeniem ogarnął tę parę i po raz pierwszy odczuł, że w stosunku tych ludzi jest coś niepodobnego, coś zupełnie odmiennego, niż w innych małżeństwach. Wzruszony całował dłoń Stasi, która swem spojrzeniem struchlałem, pytającem usiłowała zgłębić rozmiar klęski.

— Niestety, pani Stanisławo. Nieraz już musiałem ulec pod ciężarem konieczności ale nigdy nie przyszło mi to z większą trudnością, niż dzisiaj.

— Julku? — a moje brylanty! — może moje brylanty...

Ciemny krzyżyk gałęzi jodłowej z dziwną

wymową kołysał się za oknem. Syreń machnął ręką.

— Mało a i tak należą one do ciebie i dzieci. Któż wie, co będzie? Kto może przewidzieć? Mój Słońców trzeszczy w fundamentach, Stasiu.

Zamilkli wszyscy troje wsłuchując się w okrutnie obojętny plusk deszczu.

Naraz w tę ciszę czarną uderzył niby błysk piorunu głos z dołu:

— Jest pazurnik!

Poskoczyli do okna.

— Kto tam?

— Baranica. Złapaliśmy złodzieja.

— Kto?

— Tatar.

Syreń i Kurzyna zbiegli natychmiast do ogródka. Baranica, Kurt, Kozioł, Kopcik milczącym kołem otaczali postać skuloną i jakby garbatą. Był to Tatar z tobołem na plecach. Baranica dał rozkaz i gromadka pomaszerowała przez lasek niby skradający się patrol wojskowy. Po kilku minutach zatrzymali się u tylnych drzwi dworku. Baranica surowym głosem kazał otworzyć, ścisnął Tatara za rękę i taszczył go na górę do pustej „sypialni“, a za nim pośpieszyli inni. W ciemności, nie rozróżniając swych twarzy, ciekawi i rozsierdzeni zarazem czekali niemi i groźni, jak przyczajone niebezpieczeń-

stwo. Ale gdy wpadła z lampką Małgorzata, Syreń wydał okrzyk i przyskoczywszy do więźnia przyglądał się uporczywie jego twarzy ospowatej, świecącej w półmroku żółtym blaskiem. Patrzył w nią jakby ją ujrzał po raz pierwszy.

— Ależ tak, to on, niewątpliwie on — rzekł półgłosem. Potem spytał: — Byłeś dwa lata temu w Warszawie?

— Byłem — pokornie odpowiedział Tatar, mrugając ze strachu powiekami.

— Tyś to odnosił mój bagaż z kurjera paryskiego, a na moje zapytanie odpowiedziałeś: „mnie nic do tego"? Pamiętasz?

Tatar z niepokojem zerkając na Baranicę mamrotał coś niewyraźnie.

— Gadaj! — zawołał niecierpliwie Syreń.

— Może... rychtyk... to był pan dyrektor... zabaczyłem... teraz widzę...

— Tak, to był on. Teraz dopiero, gdy jego twarz ukazała się nagle z ciemności, przypomniałem sobie, że ją skądś znam. Wówczas nie pojąłem twej odpowiedzi, ale dzisiaj powtórzyłeś mi ją po raz drugi. Dziękuję ci. Zrozumiałem ale trochę zapóźno. — Syreń zaśmiał się szyderczo. — Zapóźno.

Tatar nie wiedział ani dlaczego Syreń śmieje się ani co wogóle znaczą jego słowa. Usłyszał tylko w nich pogardę i odrazę, co go tem bar-

dziej uderzyło, ponieważ Syreń zawsze był uprzejmy nawet w ostatnich złych i smutnych czasach. Więc jął skamleć i jęczeć:

— To nie ja, proszę łaski pana dyrektora, ja nic, to oni...

— Skąd się wziąłeś w Czypławie? — indagował Syreń.

— Ja z tych stron ze wsi. Wojna mie przegnała bez całą Rosję i ja zamiarował ostać się w Warszawie. Bieda tam była, tom i wrócił na wieś.

— Po coś kradł? — nie miałeś co jeść?

— To nie ja, to oni — skomlił płaczliwie.

— Nie chamraj na ogólak ale gadaj wszyćko osobliwie, jak i co — ryknął Baranica.

Tatar odskoczył w bok.

— Nie bijta me, Wojciechu, o la Boga! — to oni! — piszczał drżącemi wargami.

Syreń wstrzymał pięść Baranicy, który już capnął Tatara za kark.

— Chtoby się ta poczwarował z takim...! — usprawiedliwiał się Baranica.

— Nie wolno, Wojciechu — rzekł Syreń i krzyknął na Tatara: — Będziesz gadał?

— Jak księdzu na spowiedzi — skwapliwie podchwycił struchlały więzień.

Tatar mówił a Kurzyna spisywał jego zeznania. Twórcą i przywódcą bandy okradającej Słońców był w istocie Fermoda. Oprócz Ta-

tara skaptował on sobie do pomocy Fidzika, Lewocza, Łukniewskiego i Barnabę. Kradli przez całą zimę i sprzedawali faktorowi Wierczaka.

— Ileś na tem zarobił?

— Najwięcej to miał z tego Fermoda, faktor i Wierczak.

— Pocóżeś w takim razie pomagał?

— Fermoda jeszcze gębował, co to sprawa burżujska.

— To on naprawdę jest bolszewikiem? — rzucił pytanie Kurzyna.

— On je sumienny bolszewik...

— To to bolszewiki mają kraść?

— Ano powiada, co bolszewiki ruskie furt kradną, to i on.

— Chytre, głupie zwierzę — zgrzytnął Syreń. Podpisz zeznania.

Tatar wahająco przestępował z nogi na nogę.

— Nie chcesz?

— Chcieć to chcę ale ja niepiśmienny, proszę łaski pana dyrektora.

Syreń żachnął się jak człowiek urażony w ranę niezagojoną.

— Nic nie rozumiesz i dlatego okradasz sam siebie. Zrób krzyżyk a wy wszyscy zaświadczycie prawdziwość zeznań i znaku. Baranica, oddaję Tatara pod waszą straż. Pilnujcie mi go!

— Już! — zameldował Baranica i ustawił się za plecami więźnia.

— Tylko żebyście go nie bili. Kozioł, Kurt, Kopcik -- zwrócił się Syreń do innych. — Jeszcze nie koniec. Wezwiecie w mojem imieniu wszystkich członków na zebranie ogólne kooperatywy na godzinę piątą z rana, tu u Baranicy. Nikomu naturalnie ani pisnąć, w czem rzecz. Żeby stawili się punktualnie! Wy, Kurt, pójdziecie zaraz do żony Tatara i szepniecie jej, żeście jej męża spotkali na szosie. Kazał jej powiedzieć, że jak załatwi interes, to wróci na południe, na drugą zmianę. Fermoda zaniepokojony nieobecnością Tatara może do niej zajrzeć, a zależy mi na tem, aby nie zwęszył niebezpieczeństwa. No, chłopcy, do widzenia o piątej!

Syreń wrócił do siebie, aby uspokoić Stasię, ale że już świtało, nie położył się do łóżka. Błądził po lesie wchłaniając świeżość poranka wiosennego. Spieczonemi oczyma patrzył się i dziwił, że wiosna to przecie, wiosna...! Świt już rozświetlił ziemię. Wiatr przegnał chmury i błękit rozległy i głęboki wisiał nad Słońcowem. Rozświergoliły się ptaszki a bezlik kropel migotem stubarwnym zagrał na drzewach, gdy w gałęzie uderzyły pierwsze promienie słońca. Kolorowe kwiaty leśne uśmiechnęły się na murawach, a zacienione wirydarze między krzewami nęciły oko swą głębią tajemną. Złotawe i zielone witki brzóz falowały giętkiemi

pasmami listowia a polanki pyszniły się gęstwą traw.

Oczy to jednak, oczy tylko poiły się czarem wiosny, gdy serce kurczyło się szemrząc swą pieśń smutną niby czarny strumień wijący się głuchym bulgotem w mrocznem uroczysku jaru. I tylko szmer ten ponury wydawał się prawdą, bo sprawy i rzeczy oczywiste wzdrygnęły się i zmąciły w chaos nierealny, przemykający się poprzez palce niby mgła. I tylko w głębi ponad okrutną muzyką wzrok duszy łowił i tracił, nizał i upuszczał niteczkę snującą się w dale świetliste, nienazwane, nad któremi znagła niby lśnienie lśnień, niby odblask łun przewionęła twarz dawno zmarłej Izabelli... przewionęła i znikła.

Zahuczały schrypłe trąby, wzywające do roboty i już między pniami tłukł się hałas pracujących.

Wnet miało rozpocząć się zebranie. Nie pora była na udręczenia i na zapuszczanie się w ponury ziąb słów Tatara, które Syreń usłyszał był przed laty. Należało postępować z gwałtowną szybkością. Jeśli im nic do tego, to cóż jemu do nich?

Zacisnął zęby i, nie odwzajemniając ukłonów robotników zgromadzonych już przed domem Baranicy, wszedł do wnętrza rozzłoconego brzaskiem promieni, wlewających się

przez okno. Robotnicy byli markotni i zgaszeni, albo źli i rozgorączkowani.

Syreń odrazu przystąpił do rzeczy. Oczy miał zimne i połyskliwe a głos krótki, świszczący i szyderczy.

— Słuchajcie dziedzice Słońcowa! — syknął zjadliwie. Złodzieje są tu między nami w pokoju. Niechaj się zgłoszą!

Szum bezładny podniósł się wśród tłumu.

— Niechaj się zgłoszą! — zakrzyknął Syreń.

Ludzie porwali się z ławek jakby ktoś wpuścił pomiędzy ich nogi żmiję jadowitą. Podniósł się gwar gromadny, którego nie można było rozpoznać i wyklarować. W tyle siepał się Fermoda i wyrywał na czoło. Szarpał się z tymi, co usiłowali go wstrzymać, aż się wydarł im i zbliżył o dwa kroki do Syrenia. Tuż obok stanął Baranica i bladą źrenicą, z ukosa baczył na Fermodę.

— Kto złodziej? — ryknął Fermoda, bluzgając w Syrenia posępnym ogniem oczu. — My tu robociarze i właściciele równi jeden drugiemu. Nie wolno w gębę rzucać złodziejstwami. Znamy się na tych burżujskich złodziejstwach. Burżuj bez złodzieja i bez policji nie wyżyje. Niech mu ino kto patrzy na palce — huzia! klawisznik! — grzmiał machając rękami i miotając korpusem jak spętany byk.

Syreń nachylił się do Fermody i żgnął go spojrzeniem:

— A to ty nie wiesz, kto okradł magazyn?

— Ja nie jestem lokajem pana dyrektora — warknął Fermoda. — Nie tykać mnie, żebym ja kogo nie tknął. Ja taki sam pan, jak każdy inny — widzicie go psiakrew! A cóż wy — zwrócił się do gromady — granda cholerna założyliście se kłódkę na pyski, gdy burżuj ubliża uczciwemu robotnikowi?

Ale gromada milczała.

Fermoda trząsł się z wściekłości i poczerwieniał przegryzając szczękami niby koń wędzidło. Naraz przygiął się, jakby zamierzał skoczyć na Syrenia. Baranica jednak zahaczył go za ramię i przygniótł z taką siłą, że Fermoda załamał się w kolanach.

— Pomalu, kondlu jeden! — zgrzytnął Baranica.

Syreń zawołał:

— Cicho! — zaraz będzie dowód. Przyprowadzić Tatara.

Tego nie spodziewał się Fermoda. Usłyszawszy rozkaz Syrenia wytrzeszczył oczy i otworzył usta, a kark napęczniał mu od przypływu krwi. Syreń usiadł na stołku wzgardliwie spoglądając po ludziach. Gdy wprowadzono Tatara poprosił Kurzynę, aby odczytał na głos zeznanie, którego wysłuchano z zapartym tchem,

poczem Tatar potwierdził je publiczną przysięgą, płacząc i bijąc się w piersi.

Syreń powstał i rzekł:

— Stawiam wniosek, ażeby Fermoda, Tatar, Fidzik, Lewocz, Łukniewski, Barnaba jako złodzieje okradający Słońców a zatem działający na szkodę i na zgubę naszego stowarzyszenia zostali wykluczeni z kooperatywy, aby w ciągu trzech dni wynieśli się stąd, aby dostęp został im na zawsze wzbroniony.

Cisza ponura zaległa pokój.

Syreń zaświszczał:

— Cóż milczycie? — czy mam wezwać policję?

— Wygnać psy parszywe! — huknął Baranica.

— Do kryminału! — wrzasnął ktoś.

Syreń gestem niecierpliwym uspokoił krzyk, zażądał głosowania formalnego i stwierdziwszy, że wszystkie głosy padły za banicją zawołał:

— Zrobić im miejsce!

Podniósł rękę i wyliczał uroczyście: — Józef Fermoda, Jan Fidzik, Mateusz Tatar, Jan Lewocz, Bartłomiej Łukniewski, Władysław Barnaba słuchajcie! Iżeście rękę położyli na własność społeczną, iżeście złodziejami z głupoty, ze złości duszy, z nienawiści djabelskiej do siebie samych, wypędzamy was na zawsze, by-

ście nie ważyli się nogą swoją stąpić kiedykolwiek na tę ziemię słońcowską. Precz ze Słońcowa!

Fermoda wykrzywił twarz śmiechem, włożył czapkę na głowę, splunął i pogwizdując przebierał się ku drzwiom, a za nim shańbieni i zawstydzeni wymykali się jego wspólnicy.

Syreń opuścił się na stołek i znużonym wzrokiem patrzył na sprawę odbywającą się w ciszy niezmąconej ani jednym dźwiękiem. Spostrzegł ze zdziwieniem, że pozostali członkowie są jacyś zakłopotani, niepewni i pokorni. Po chwili ciężkiej ciszy ten i ów, nie wiedząc, co ma począć z sobą, zaczynał zawracać do wyjścia, ale Syreń zatrzymał ich krzyknąwszy rozkazująco: — zostać!

Wzruszeni i zatrwożeni czekali z czapkami w rękach, zamieniając z sobą spojrzenia, niezaradni. Syreń spoglądał wciąż z uporem i wyczekująco aż wreszcie powstał i zaczął głosem urywanym, ciętym, złym:

— Od pół roku żyjecie wszyscy, oprócz kilku, jak leniuchy i darmozjady. Zaczynam gardzić wami. Pomyliłem się. Jeszcze nie dorośliście do Słońcowa. Pachnie wam brud, wszy, karty i wódka. Chcielibyście tylko wałkonić się i rozkazywać, chociaż rozkazujecie głupio, bo się na niczem nie znacie. Oddałem wam ogromny majątek a przecie mogłem był wylegiwać

się na puchach, obsługiwany przez lokajów, którzy całowaliby mnie po nogach, choćbym ich nawet bił po pysku. Nie żałuję jednak wygód tylko obawiam się, że wy ten skarb zmarnujecie. Dźwignąłem was z nędzy straszliwej, wskazałem drogę, bo sumienie nie pozwoliło mi używać, gdy innych nęka głód i nędza. Nie żądałem od was wdzięczności, ale zrozumienia. Wy nie zrozumieliście jednak ani mnie ani siebie i dzisiaj stanęliśmy przed bankructwem. Moja to wina, że was przedwcześnie dopuściłem do władzy ale wierzyłem w serca ludzi doświadczonych twardem życiem. Myślałem, że was wilgoć waszych nor, plugastwo waszej odzieży, przedwczesna starość waszych kobiet, strupy i choroby waszych dzieci zahartowały i nauczyły mądrości. Dopytuję się was tedy i żądam! Zajrzyjcie w sumienie i odpowiedzcie mi w obliczu Boga: czy wolicie wrócić do poniżenia i upodlenia dawnego, czy wam smakuje bat, czy też stać was na tyle woli, abyście byli panami u siebie i dla siebie? Czyli zapytuję was: jesteście gotowi pracować, krwią i potem własnym murować domy dla siebie, jak budowaliście je pod gwałtem dla innych, czy nie?

Łkania zrywały się wśród słuchaczy. Baranica wsadził kułak w oczy. Kozioł zapatrzył się w Syrenia błękitami swych oczu, jak bławatek

w niebo. Ładziński blady prężył się i chybotał. Tylko Kurt jeden słuchał i miarkował.

— Zapytuję was w obliczu Boga, w którego wierzę, czy gotowi jesteście dla dobra swojego i dla dobra swych dzieci, które już lepiej ogarną rozumem, w czem rzecz, niż wy, coście wyrośli w poniżeniu, zapytuję, czy mamy dalej stawiać Słońców, czy też djabłu zdać lejce i niech to rozleci się i popadnie w ruinę?

Słychać było lamenty i bicie się w piersi, jak w kościele. Ktoś wykrzyknął: „ja winny“, tam zawołał ktoś: „zmiłuj się, panie dyrektorze“.

Ale Syreniowi z gniewu aż posiniały policzki:

— Milczeć! Nie zwiodą mnie łzy i rzewności polskie. Kto bekiem i lamentem okłamuje sumienie, ten pójdzie za Fermodą i Tatarem. Albo będziecie twardzi jak to jarzmo, które sami musicie sobie nałożyć, aby wam go kto inny nie włożył — albo musicie wrócić do wszy, brudu i swoich nor, bo Słońców rozsypie się w gruzy. Do mężczyzn mówię i po raz trzeci zapytuję.

Wówczas wystąpił naprzód Kurt:

— Ja gotów, panie dyrektorze.

— Do czegóś gotów?

— Dzień i noc będę harował z dobrawoli, sumiennie. I ja tak myślę, że każdy z nich włoży sobie to jarzmo, jak to się mówiło w pańskiej

mowie. Ono tak i musi być! Tu powiem, że nie było jednego, coby go Fermoda nie namawiał do złodziejstwa a tylko przecie tamci dali mu ucho.

— Wiem, że wy, ale nie wszyscy.

— Pazurników tu już nie uświadczy pomiędzy nami — wtrącił Baranica.

— Ostatnia godzina nadeszła dla Słońcowa — zawołał Syreń — dlatego pytam was w gniewie i rozpaczy, czy przysięgacie poświęcić siebie! A jeżeli wapna zbraknie, to czy własną krwią będziecie spajać cegły, a gdy zbraknie benzyny to czy na swoich plecach będziecie nosili głazy na fabrykę?

— Będziemy! Będziemy!

— Nie wierzę — wołał Syreń. Przysięgnijcie!

— Na Boga! na rany Chrystusa, przysięgamy.

— Na rany Chrystusa przysięgniecie? — pytał ich w ekstazie.

— Tak! Juści! Na rany Chrystusa!

Zaczęli padać na klęczki i wyciągać palce do nieba.

— Dobrze! — mówił Syreń miłościwie obejmując twarze dziedziców Słońcowa. Dobrze! Dziękuję wam, o moi bracia, żeście mi wrócili wiarę... i sens życiu mojemu... Już byłem bardzo zmęczony... Pamiętajcie!

Głos mu się załamał. Wyczerpany usiadł ale zaraz podeszli do niego najbliżsi i wyprowadzili na powietrze a inni wiedli za nim spojrzenia surowe i znękane, ale pełne miłości zaklętej.

Przed swoim dworkiem uściskał się gorąco z robotnikami i pożegnał z nimi. Pragnął zostać sam w ogródku i usiadł sobie na ławeczce.

Już zakwitały maleńkie krzaczki bzu, zasadzone ręką Stasi a świerk wyniosły puścił świeże gałązki biało-zielone, które niby nowo narodzone dziatki czepiały się ramion wspaniale rozrosłej macierzy. Różnorakie łodyżki i trawki runi wiosennej niby mieczyki obosieczne, niby porosty skłębione, niby wachlarzyki, kształtu miseczek, tarcz, masztów dziecinnych, zbite już i gęste jak futro baranie, obrastały ogródek ciesząc i wabiąc oko swą miękkością zmysłową i giętkością zieloną, płową, pozłocistą, żółtą, niewypowiedzianie śliczną i ciągnącą swym czarem nigdy niewyczerpanym.

Wkrótce zbiegła Stasia z dziećmi różowemi ze snu. Dzieci całując ojca tuliły doń swe główki białe i rumiane niby brzoskwinie. Przygarnąwszy je do siebie, całował ich głowiny, wzrokiem wyblakłym obejmował te członeczki drobne, pachnące urokiem czystości nieskażonej. Tak był zmęczony, że patrzył na dzieci i nie widział ich. Dopiero gdy jęły biegać dokoła

niby dwie kulki słoneczne doznał po raz pierwszy od kilku tygodni uczucia wyzwolenia i wydało mu się jakby po długiem omdleniu otwierał oczy na ten świat wiosenny, radosny, rodzony, skąd przecie zawsze dobywał wiarę w sens życia i logikę własnych czynów. Teraz po nieskończenie długim pobycie w dziedzinie zmor i kaźni znowu ujrzał ten obraz bujny, pełny, kolorowy jako wyraz prawdy najgłębszej.

Ocknął się, przetarł oczy i rzekł do Stasi, przygotowującej śniadanie na ganku: — A jednak miałem słuszność. Z tymi ludźmi zbuduję Słońców. Moja jest prawda, nie Kurzyny.

I rozpuściwszy spojrzenie szeroko zatoczył niem krąg dokoła terenu swych prac i marzeń.

— Ileż mocy uśpionych spoczywa w duszy naszej! Tyle razy w ostatnich czasach wpadałem w rozpacz a przecie znowu wynurzyłem się na światło, na to słońce moje, co nas teraz pieści i cieszy.

— Bywałeś rzeczywiście bardzo przygnębiony. A wczoraj nawet wprost bałam się, czy nie jesteś chory.

— Groziła mi ciężka, najcięższa choroba... ale to przeszło już albo przejdzie prędko. Jakże tajemnicze są oddziaływania dusz na siebie. Kiedy ja w gniewie rzuciłem im pod nogi swą niemoc i rozpacz, kiedy karciłem ich najostrzejszemi słowami, wówczas zakiełkowało w nich

ziarno, które przez rok siałem na jałowe, jak mi się wydawało, ugory. Wtedy oni znaleźli w sobie siłę ofiary, aby podeprzeć mnie osłabionego. Nigdy nie wolno wątpić!

— Ale Fermody i jego przyjaciół nie przyjmiesz już chyba.

— Nie, stanowczo nie. On jest z tej liczby nieszczęsnych, których mierzi życie, słońce, twórczość i których przez długie wieki ludzkość nie zawróci na drogę wielkości. Może nigdy? Ależ on miotał się! Gryzł poprostu i klął swemi oczami, chciał spalić nas swą nienawiścią. I cóż mu kazało burzyć Słońców? Mógł tu przecie mieszkać, żyć, kształcić dzieci i uspokoić swą duszę. To zdolny człowiek, ale zabija go ambicja i zawiść... Przeklęty!

— Jeśli przeklęty to niewinny — cichutko powiedziała Stasia.

— Winny... Niemasz ludzi nieodpowiedzialnych za siebie. Ale nie mówmy o nim. Tak mi jakoś błogo i zacisznie. Słyszysz jak wygrywa kapela leśna? Siądź przy mnie.

— Pan dyrektor zapomina, że czas do szkoły. Ósma dochodzi.

— A prawda! Naturalnie — idz, idź! A kochaj te dzieci jak swoje, bo one wszystkie są dziećmi naszego Słońcowa. One dokończą cośmy zaczęli, naprawią, cośmy zepsuli. No idź!

— Może położysz się? Nie spałeś wcale i jesteś bardzo wzruszony.

— Nie, wolę tu odpocząć trochę a potem do roboty.

Ucałował jej rękę, a kiedy wyszła poza ogrodzenie z dziećmi i zapuściła się między drzewa wydała mu się zdaleka w tej białej sukni niby wielki kwiat wybujały a dzieci jak dwie stokrocie. Odwróciła się jeszcze raz. Wtedy posłał jej pozdrowienie dłonią i zasłuchał się w muzykę ziemi.

Wonie sączące się z kwiecia, traw i lasu, cisza przerywana echem roboty na placach, osnuwały, przenikały, chłodziły jego nerwy rozżarzone, a promienie słoneczne padały mu na twarz: Zamgliły się oczy, zakolebały, ściemniały pnie drzew i przeźrocze błękitne owionęło duszę słodyczą rozkoszną. Jeszcze zawirowały cienie wrażeń ostatnich, trwogą przeraził zarys twarzy Fermody, uśmiech wdzięczności spłynął na uważny i surowy wzrok Baranicy, ale razem zasunęły się gdzieś nagle widzenia i pomięszały, stały się wiotkie, wreszcie zbladły i przepadły.

Sino-mleczna przestrzeń, łagodna i kojąca, rozwarła się na lewo i na prawo i wychynęły z niej cienkie kontury czoła, ust, szyi — wspomnienia najrzewniejsze, najgłębiej w duszy spoczywające. Kredowe i białe jakieś, stawały się

coraz wyraźniejsze, zaczęły się ożywiać, pulsować, aż na wargi wyniknął uśmiech piękności nieziemskiej. W omdleniu rozkoszy bolesnej wglądał w oblicze anielskie aż spostrzegł i ujrzał, iż drgnęła na niem jedna powieka, mrugając, jakby przywoływała a potem zaznaczył się zarys całej postaci. Pochyliła się nad nim, poczem, tchnąwszy weń, odwróciła się i zaczęła się oddalać.

Syreń ocknął się i zerwał. Niby pocisk boleści nagłej przewierciło go uczucie tęsknoty gryzącej a bezmiernej jak tęsknota za nieskończonością. Przetarł oczy, obejrzał się dokoła, pobiegł kilka kroków jakby ścigał postać, co go nawiedziła we śnie, i przystanął. Ból piekący, nie do ugaszenia, rozlał się w jego żyłach. Zatruty nim ruszył niby wygnaniec z obrębu swego domu, dumając kędy zaczerpnąć napoju, coby zagasił żar tęsknicy przesycający go tak nawskroś, jak kolor przesyca nawskroś płatek kwiatu. Wszedł między drzewa najbliższe, zbłądził w zarośla, minął polankę aż stanął pod dębem, swym ulubieńcem, rosnącym opodal fundamentów Świątyni Bóstwa.

Fundamenty Świątyni Bóstwa sięgały dwu metrów wysokości ponad poziom ziemi. Kloce granitowe, głazy, belki, deski, gruz leżały pod murem i na bankietach czekając na twórczą siłę człowieka, aby je wyprowadziła z chaosu i uło-

żyła w kształt foremny i celowy. Syreń wszedł między gruzy i stanął na ławie bankietów. Wyobrażenie budowli żyło w jego duszy jak najprawdziwsza rzeczywistość. Jasna, piękna, ziejąca blaskiem na cały Słońców, opatrzona źrenicą patrzącą w niebo, serce Słońcowa i jego myśl najistotniejsza! Miałażby pozostać tylko w jego wyobraźni? Nie! Wytęży całą swą moc, będzie latami grosz ciułał...

Coś zaszeleściło na betonie niby tupot gołych stóp. Oglądnął się, ale nie było nikogo. Martwy, zapuszczony plac Świątyni leżał cichy, zamknięty zewsząd kolistą ścianą lasu.

Zeszedł na ziemię i usiadł na klocu kamiennym, plecami wspierając się o mur.

Spadło na niego znużenie takie, że z obojętnością wzgardliwą oddzielił się powiekami od świata zmysłów i w tejże chwili zapadł w sztolnię czarną, której ciemności były gęste niby masa szczelnie wypełniająca przestrzeń. Naraz otchłanie ciemności rozdarł wytrysk światła szkarłatnego, a wśród błędnych krużganków rozległ się głos przeraźliwy: „Julek, ratuj się!“ To Stasia woła — mignęło u progu świadomości. Ale zanim sygnał ostrzegawczy zdołał Syrenia przywołać do przytomności, grom runął. Tysiąc dzirytów wświdrowało się w oczy, w mózg i kości rozszarpując je i targa-

jąc na włókna wśród straszliwej, niemiłosiernej katuszy.

Czworogranny głaz wiszący nad głową śpiącego Syrenia stoczył się na jego nogi, połamał golenie i krwią zbryzgany legł obok zmiażdżonego ciała.

Z poza krawędzi muru zajrzały rozgorzałe oczy Fermody. Na widok kałuży krwi i zgniecionego ciała Syrenia zapłonął w nich błysk szaleństwa. Jęknąwszy skoczył Fermoda z muru i, niby zwierz dziki, galopem pognał między drzewa.

Dopiero po kilku godzinach odnaleziono Juljusza Syrenia. Serce jeszcze biło...

A zarząd Słońcowem objął Kurzyna.

KONIEC.